

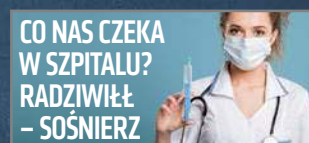
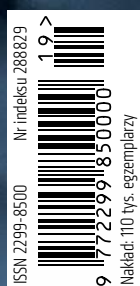


BEATA SZYDŁO W ROZMOWIE Z „DO RZECZY”

Tuskowi chodzi o własną karierę

„Ucho prezesa”
– czy szkodzi
Kaczyńskiemu?

Żenująca
autobiografia
szefa KOD



WROGOWIE WIARY UDERZAJĄ W CHODAKOWSKĄ

Czego już nie wolno katolikom w Polsce



Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

**POLSKA
WIELKI PROJEKT**



Wolność – polski projekt dla Europy

POLSKA WIELKI PROJEKT

**VII Kongres PWP
WARSZAWA 18-21 MAJA 2017 r.**

18 MAJA 2017 r. – Akademia Sztuk Pięknych,
ul. Wybrzeże Kościuszkowskie 37/39

19-21 MAJA 2017 r. – Teatr Wielki – Opera Narodowa,
Warszawa, pl. Teatralny 1

Rejestracja: www.polskawielkiprojekt.pl



Fundacja



INSTITUT
PRACOWNIKÓW
PUBLICZNYCH



prof. Zdzisław Krasnodębski
Posel do Parlamentu Europejskiego,
profesor socjologii, Uniwersytet w Bremie
eprasa.pl.d16181790b



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Konstytucyjne potyczki

Podczas uroczystości upamiętniających Konstytucję 3 maja prezydent Andrzej Duda powiedział, że należy rozpocząć debatę nad zmianami obecnej ustawy zasadniczej. Stwierdził też, że w 2018 r. zostanie przeprowadzone w Polsce referendum, w którym obywatele będą mogli się wypowiedzieć na temat obowiązującej konstytucji. „Chcę, aby w sprawie konstytucji odbyło się w naszym kraju w przyszłym roku, roku 100-lecia niepodległości, referendum” – mówił na pl. Zamkowym prezydent. Andrzej Duda dodał jeszcze, że ma nadzieję na ponadpartyjne porozumienie w tej sprawie.

Cóż, przysłowie mówi, że nadzieja umiera ostatnia, ale w tej sprawie już pierwsze komentarze przedstawicieli opozycji – mniej, bardziej i najbardziej antypisowskiej – złudzeń ani nadziei nie zostawiają. Jedni sądzą, że prezydent chce ukryć fakt, iż sam wcześniej prawo łamał, inni widzą

w jego propozycji kolejną makiażową sztuczkę władzy, dążenie do zalegalizowania rzekomo panującego w Polsce ustroju autorytarnego lub – a jakże można byłoby inaczej! – próbę wprowadzenia państwa wyznaniowego. Zabawne jest skądinąd przeglądanie różnych komentarzy: o ile nic nie mówią one o rzeczywistych zamierzeniach prezydenta, o tyle są doskonałym wręcz spisem wszystkich możliwych obaw, frustracji i resentymentów lewicowych liberałów. Uderz w stół, a nożyce się odezwą.

Potrzeba zmiany konstytucji powinna być przecież rzeczą oczywistą. Jeśli żyjemy w państwie, w którym znacząca część opinii publicznej uważa, że władza nieustannie łamie przepisy ustawy zasadniczej, a równie znacząca, może nawet większa część tak nie uważa, to znaczy, że przepisy są niejasne, a system nieskuteczny. Co więcej, zwolennicy tezy o tym, że rządzący łamią prawo i konstytucję, nie są w stanie wskazać ani

jednego przykładu ukarania owych rządzących, ani jednego przykładu sankcji za rzekomo złamane prawo. Co najwyżej odgrają się, że w przyszłości, kiedy przejmą władzę sami, wymierzają sprawiedliwość. Można zatem ze spokojem przyjąć, że opowieści o łamaniu prawa i demokracji są wyłącznie zręcznym narzędziem mobilizacji zwolenników, w żadnym razie nie opisują prawdziwego stanu rzeczy. Ten zaś jest choćby taki, że wybierany w wyborach powszechnych prezydent nie ma żadnych realnych kompetencji do realizacji przyrzeczeń, jakie złożył w trakcie kampanii. Polska ustawa zasadnicza przypomina nieco system pułapek, blokad, dźwigni, sznurów uniemożliwiających działanie. Argumentów za zmianą konstytucji można by wymieniać wiele i tu prezydentowi należy przyznać rację.

Podobnie wydaje się, że dobrym jego pomysłem jest wskazanie daty – 100-lecie odzyskania niepodległości to właściwy czas, żeby Polacy przyjęli nową ustawę zasadniczą. Taką, w której zamiast rozmazanego i niejasnego systemu wartości znajdzie się choćby wyraźne odniesienie do Boga i jasny podział władz. Tyle tylko – i to jest największa wada słów Andrzeja Dudy – że nie przedstawił on żadnego konkretnego projektu zmian. Stwierdzenie, że obywatele sami mają zabrać głos, jest tyleż słuszne, co mało pomocne. Owa mgławicowość i niejasność raczej wskazują na pomysł ad hoc, nie do końca przemyślany, raczej zagranie PR-owskie niż poważną chęć zmian ustrojowych. Jeśliby tak było, jeśli faktycznie głównym motywem głowy państwa byłoby wywołanie dyskusji o potrzebie dyskusji, to byłaby to wielka szkoda. ©©

RYSUNEK TYGODNIA

O królu Europy, wybaw nas
od 2tego kaczora albo
przynajmniej od Schetyny



Cezary Krzysztopa blogpublikacja.com



TEMAT TYGODNIA

16 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

ATAK ZA WIARĘ

Na Ewę Chodakowską po zamieszczeniu życzeń świątecznych spadła lawina internetowej nienawiści

19 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

ANTYCHRZEŚCIJAŃSKA DYKTATURA

KRAJ

22 ROZMOWA Z PREMIER
BEATĄ SZYDŁO

JESTEM SPOKOJNA O PRZYSZŁOŚĆ

Dług publiczny będzie się zmniejszał

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KWIECIEŃ MIESIĄCEM SONDAŻY

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SŁUŻĄCY PRL WALCZĄ
O PRZYWILEJE

32 MARCIN MAKOWSKI
MATEUSZ KIJOWSKI
– „BUNTOWNIK” BEZ WYBORU

34 ROZMOWA Z WIESŁAWEM JOHANNEM
POTRZEBNY JEST OKRĄGŁY STÓŁ
PRAWNIKÓW

38 ŁUKASZ WARZECHA
PIS KONTRA SATYRA

KULTURA

42 ANDRZEJ HORUBAŁA
ŻULCZYK RZĄDZI!
Rewelacyjny thriller
Jakuba Żulczyka

45 PIOTR GOCIEK
KASOWE PREMIERY KINOWE,
CZYLI W POGOŃ ZA REKORDAMI

48 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
PIŁKA, ORZEŁ I SWASTYKA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, TEATR, GRA

55 KRZYSZTOF MASŁOŃ
TOMASZ BUREK (1938–2017)

OPINIE

56 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ZIEMKIEWICZ ŁAMIE KRZESŁA
Książka Rafała A. Ziemkiewicza o Józefie
Piłsudskim

60 ROZMOWA Z KONSTANTYM
RADZIWIŁŁEM

SŁUŻBA ZDROWIA
TO NIE BIZNES

63 ROZMOWA
Z ANDRZEJEM
SOŚNIERZEM

SZPITALOM POTRZEBNA
KONKURENCJI



HISTORIA

68 PIOTR SEMKA
GDY KILIMANDŻARO BYŁO W RZESZY
Niemiecki kolonializm na wystawie w Berlinie

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI
W ŁÓŻKU Z WROGIEM
Seks jako broń służb specjalnych

76 WITOLD REPETOWICZ
RATUNEK DLA ZIEMI OCHRZCZONEJ KRWIĄ

80 SZEWACH WEISS
MIĘDZY SPARTĄ A ATENAMI

EKONOMIA

82 ROZMOWA Z PAWEŁEM BORYSEM
ROZWÓJ TO NIE TYLKO START-UPY
Fundusz dla rozwoju

84 STEFAN SEKOWSKI
JAK NIE UTOPIĆ W MIERZEI

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
ŚWIAT SZUKA CISZY
Bezbronni wobec hałasu

Dziękujemy



2017 Złoty Bank

pierwsza nagroda w konkursie Złoty Bankier



Już po raz szósty mBank zdobył tytuł Złotego Banku w plebiscycie organizowanym przez Bankiera i Puls Biznesu. To najważniejsza nagroda przyznawana za najwyższą jakość obsługi. Bank zdobył też wyróżnienie za stosowanie najlepszych praktyk w dziedzinie bezpieczeństwa.

To klienci motywują nas, by nie spoczywać na laurach i spełniać najwyższe standardy.

mBank.pl

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu głos o sporze Zychowicz – Nowak, a także skrót listu o naszym poprzednim temacie z okładki: „Chcę z nas zrobić antysemitów”.

Debate „Mity polskie”

Liczba i jakość argumentów w debacie Piotra Zychowicza i Andrzeja Nowaka „Polskie mity” („Do Rzeczy” nr 16/2017) godna jest tabunu historyków. Jestem obecnie w trakcie lektury tomu III „Dziejów Polski”, łatwo więc zgadnąć, za którą stroną się opowiadam.

Przy okazji chciałbym przypomnieć, jak swego czasu prof. A. Nowak wystosował rodzaj listu otwartego do członków PiS sugerujący, że zdecydowanie lepiej by było, aby przewodniczący partii nie ubiegał

się sam o prezydenturę ani o stanowisko premiera, ale wskazał inne osoby, których nie brak w jego otoczeniu. Spotkało się to z falą nieprzychylnych opinii, pomawiających wręcz A. Nowaka o szkodzenie partii w trudnym przedwyborczym okresie. No i dzisiaj widać jak na dłoni, kto w tym sporze miał rację.

Jeśli więc Cynceron się nie mylił, mówiąc: „Historia magistra vitae” (historia nauczycielką życia), to Andrzej Nowak pokazał swoją efektywność.

Waldemar Wigiłusz, Przemysław

„Nagonka na Polskę”

Kto inny jak nie zachodni Żydzi powinien się solidaryzować z Polakami, drugimi zaraz po nich ofiarami Holokaustu? [...]

Z dużym niesmakiem reaguję na „uświadczenie” Holokaustu mniejszości ży-

dowskich przy jednoczesnym umniejszaniu, a nawet ubliżaniu, innym męczennikom i prawdziwym bohaterom walczącym zbrojnie i konspiracyjnie. Polska była najbardziej okupowanym krajem zaatakowanym bez deklaracji wojny przez zrzeszone reżimy nazistowskich Niemiec oraz sowieckiej Rosji. Nasz rząd w Londynie nigdy się nie poddał, a nasi żołnierze walczyli do końca... [...]

Mateusz Calka

„Antymajówka w Europie”

W artykule o zagrożeniach terrorystycznych w poprzednim numerze „Do Rzeczy” w odniesieniu do Skandynawii wymieniałem m.in. Bornholm. Śródtytuł brzmiał „Szwecja”, więc można było odnieść mylnie wrażenie co do przynależności wyspy – ta jest oczywiście duńska. Łukasz Zboralski

REKLAMA

REKLAMA

Panu Ministrowi
Janowi Józefowi Kasprzykowi
serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają pracownicy
Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Naszej redakcyjnej koleżance

Annie Sobieskiej-
-Wójtowicz

wyrazy współczucia
z powodu śmierci
Ojca

składają współpracownicy
z tygodnika „Do Rzeczy”



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batorty Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępcy redaktora naczelnego: Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń,
Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: Kamila Baranowska, Olivier Bault,
Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciewicz,
Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela), Krzysztof Czaibski,
Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hodyńska, Jarosław Kałucki, Katarzyna,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Jakub Kowalski,
Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski,
Katarzyna Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Piniłoz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta,

Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torąński, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński,
Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wołski, Tomasz Wróblewski,
Wojciech Wybranowski, Igor Zaleski

DoRzeczy.pl redaguje
Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzy,
Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: Miłosz A. Lodowski

Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek
Okładka: Stach Leszczyński/PAP, Fotolia; oprac. graf.: PEGAZ

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batorty Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG
Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki
Zarząd Spółki Orle Pióro: Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAM:
Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży) reklama@dorzeczy.pl;
tel. +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:
Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA: Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchownik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detalicznej
na ustaloną przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz
zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca
wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych
w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za
zgoda wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych
na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Nasz Narodowy Wytwórca

Zaawansowane technologie **BIOMETRIA**

Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych S.A.

prowadzi badania nad coraz lepszymi zabezpieczeniami dokumentów identyfikacyjnych. Jest to szczególnie istotne dla bezpieczeństwa publicznego, wymagającego dziś rozwiązań systemowych, w których główną rolę odgrywają techniki biometryczne.





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ucho wszechmocne?

Niedawno, biorąc udział w „Łoży prasowej” TVN24, usłyszałem, jak Tomasz Wołek wynalazł nową przyczynę zmian sondażowych. Oto do spadku notowań PiS przyczynić się miał ponoć słynny komediowy serial „Ucho prezesa”.

Tydzień wcześniej z krytyką „Ucha...” wystąpił Ryszard Makowski na łamach tygodnika „W Sieci”, uznając serial za polityczną agitkę opozycji. Z kolei kibicująca opozycji Maria Nurowska skrytykowała „Ucho...” z zupełnie innych pozycji. „Ten serial obłaskawia zło, pokazuje Kaczyńskiego jako człowieka śmiesznego, ale sympatycznego” – obwieściła pisarka.

W tej medialnej debacie o prawdziwych intencjach komediowego serialu zwolennicy tezy o zaangażowaniu jego twórców na rzecz opozycji uzyskali nowy, silny argument. Oto w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” reżyser widowskiego Tomasz Wójcik opowiedział Agnieszce Kublik, jak straszne jest dla niego życie w Polsce rządzonej przez PiS.

„Nie mam problemu, żeby się utrzymać, nie muszę wybierać, czy kupić sobie jedzenie, czy lekarstwa.

Ale politycznie bardzo źle mi się żyje” – wyplakuje się reżyser „Ucha prezesa”. I dalej: „Jeżeli za dwa i pół roku PiS wygra wybory, to naprawdę nie będzie tu jak żyć. [...] Czy 500 zł jest warto tego, że nie ma Trybunału Konstytucyjnego? Że zaraz sędziowie będą musieli ogłaszać wyroki w zgodzie z linią partyjną?”. Jedno więc już wiemy. Reżyser „Ucha...” jest ogniem antykalczyzmu najczystszej próby. Wszystko jasne? Niezupełnie. Pamiętam, jak raptem parę miesięcy temu tygodnik „Polityka” miał dla odmiany zupełnie takie same obawy jak Maria Nurowska. Jej publicysta zastanawiał się, czy „Ucho...” nie jest aby jakąś makiaweliczną sztuczką PiS, aby „uczłowieczyć prezesa”.

Sam oglądam „Ucho...” nieregularnie. Część spostrzeżeń z olimpu rządzącej partii jest trafna, część to zupełnie nietrafione klisze z wyobrażeń Krystyny Jandy. Ot, choćby wizerunek syna szefowej sekretariatu pani Basi jako nacjonalistycznego kibola, który tolerowany jest przez „Prezesa”. Każdy, kto poznał Kaczyńskiego, wie, że akurat chuliganerki nie cierpi jak mało kto. Najbardziej dostaje się w serialu prezydentowi

Andrzejowi Dudzie, ale i ostatnio „Ucho...” kpiło ze Schetyny, z Petru, Kukiza i Kosiniaka-Kamysza. Na razie scenarzyści serialu nie naruszają niepokalanej czci Donalda Tuska. Ciekawe jest jednak to, jaką uwagę przywiązują do tej produkcji zarówno zwolennicy strony rządowej, jak i opozycji.

Winna jest chyba niesłabnąca absolutyzacja sporu. Dla przeciwników władzy każdy program nieprzedstawiający Kaczyńskiego jako osobę stawianą przed Trybunałem Stanu, już budzi podejrzenie o ciche wspieranie jego partii. Z kolei najtwardsi zwolennicy PiS tak bardzo obawiają się sondażowego efektu kuli śniegowej dla opozycji, że nie bawi ich serial mogący choćby nieco zmienić nastroje.

Nie dziwię się takim lękom. Zapisuję je w pamięci jako jedno z czynników krajobrazu politycznej popkultury.

Liderzy PiS powinni przeglądać się w tym krzywym zwierciadle, raczej wypatrując śmiesznoetek, które nękają każdą elitę władzy, niż rzucać na serial gromy. A przy okazji trochę się mimo wszystko pośmiać. Także z siebie. © ©

KSIĄŻĘ FILIP NA EMERYTURZE

W ubiegłym tygodniu w pałacu Buckingham zwołano spotkanie wszystkich królewskich pracowników. Brytyjska rodzina królewska poinformowała po nim, że od jesieni książę Filip nie będzie już pełnił żadnych funkcji publicznych. Mąż królowej Elżbiety kończy oficjalną działalność w wieku 95 lat. Nadal ma patronować licznym organizacjom, ale nie będzie już uczestniczył w ich spotkaniach. Książę Filip jest najdłużej panującym małżonkiem władcy w historii imperium brytyjskiego. (luz) © ©



FOT. GETTY IMAGES

Kulisy śledztwa w sprawie sprzedaży „Rzeczpospolitej”

Prokuratorskie postępowanie w sprawie sprzedaży przez Skarb Państwa spółki Presspublica wydającej m.in. „Rzeczpospolita” nie zakończy się, jak planowano, w czerwcu. Śledczy badają m.in. ewentualne zawyżenie wycen udziałów zabezpieczających raty, jakie miał płacić Grzegorz Hajdarowicz

Śledztwo w sprawie sprzedaży w 2011 r. przez Skarb Państwa 49 proc. udziałów w spółce Presspublica wydającej najbardziej wówczas opiniotwórczy dziennik „Rzeczpospolita” oraz tygodnik „Uważam Rze” prywatnemu przedsiębiorcy Grzegorzowi Hajdarowiczowi wszczęto latem ubiegłego roku po zawiadomieniu, jakie złożył w prokuraturze ówczesny minister skarbu Dawid Jackiewicz. Audyt transakcji, jaki przeprowadził resort, wskazywał, że mogło dojść do działania na szkodę interesów państwa. Kilkakrotnie przedłużane postępowanie miało ostatecznie zakończyć się w czerwcu tego roku. Jak dowiedziało się „Do Rzeczy”, tak się jednak nie stanie.

– Zakres zaplanowanych czynności dowodowych w sprawie wskazuje na konieczność wystąpienia do Prokuratury Krajowej z wnioskiem o przedłużenie tego postępowania na dalszy czas oznaczony – poinformował nas prok. Marek Sosnowski, naczelnik Wydziału I Prokuratury Regionalnej w Krakowie. Dodał też, że stosowny wniosek zostanie skierowany do Prokuratury Krajowej na początku czerwca.

Prokuratura nie chce udzielać informacji o wykonanych dotąd czynnościach. Do tej pory nikomu nie postawiono zarzutów. – Postępowanie znajduje się w fazie in rem (w sprawie,

nie przeciwko konkretnym osobom – przyp. red.) – informuje prok. Sosnowski.

Nieoficjalnie z kręgów zbliżonych do organów ścigania udało nam się dowiedzieć, że dotychczasowe zeznania świadków i zebrane materiały mogą wskazywać, iż przy zawieraniu umowy sprzedaży spółki mogło dojść do zawyżenia wycen udziałów stanowiących zabezpieczenie płatności kolejnych rat za sprzedaż udziałów w Presspublic na rzecz Grzegorza Hajdarowicza przez Przedsiębiorstwo Wydawnicze „Rzeczpospolita” SA (spółka Skarbu Państwa zarządzająca Presspublicą). Co to mogłoby oznaczać? Tyle, że gdyby Hajdarowicz przestał spłacać raty (ostatecznie zapłacił całą kwotę) zabezpieczenia, jakie złożył, a które Skarb Państwa uznał za wystarczające, nie pokryłyby należności. Nasze źródła mówią, że w tym przypadku może chodzić o kwotę ok. 3,9 mln zł. Badana jest też sprawa kilkakrotnego aneksowania umowy sprzedaży spółki, za każdym razem z korzyścią dla kupujących.

– W tej sprawie niezbędne będą dalsza analiza materiału dowodowego i opinie biegłych – mówi jeden z naszych informatorów.

Na zaskakującą życzliwość państwowych urzędników przy sprzedaży spółki wydającej „Rzeczpospolita” i „Uważam Rze” Grzegorzowi Hajdarowiczowi zwracali też uwagę

kontrolerzy, którzy w 2016 r. badali całą transakcję. Z ich ustaleń wynikało, że termin składania ofert na zakup spółki był tak krótki, iż ograniczało to możliwość przygotowania oferty potencjalnym inwestorom. Wpłynęła tylko jedna oferta – złożona przez spółkę Gremi Grzegorza Hajdarowicza. Przedsiębiorca zaproponował za zakup Presspublici 40 mln zł. Tymczasem wycena przygotowana przez Skarb Państwa

szacowała wartość spółki na 60 mln zł. Po negocjacjach Hajdarowicz podniósł swoją ofertę do 55 mln zł, natomiast państwowi urzędnicy dokonali „autokorekty”, obniżając wartość spółki. Nasze źródła mówią, że w dokumentach ministerstwa brakuje szczegółowych analiz wskazujących na zasadność tej „autokorekty”.

Grzegorz Hajdarowicz do tej pory nie został przesłuchany w charakterze świadka. ©

REKLAMA

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Legionowie toczy się pod sygnaturą I NS 150/17 postępowanie w sprawie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Eudakowskim, zmarłym w dniu 11 sierpnia 2013 roku w Legionowie, ostatnio stale zamieszkałym w Legionowie przy ulicy Łowickiej 18.

Wzywa się spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili do Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zdemaskowani

Od czasu, kiedy Piotr Lisiewicz zdemaskował wchodzący wtedy na rynek tygodnik „Uważam Rze” – konkretnie odkrył, że został założony przez WSI po to, aby nie dopuścić do wzrostu sprzedaży jego rodzimej „Gazety Polskiej” – nie traktuję go zbyt poważnie. Tym bardziej że tego rodzaju rewelacje pozostają jego żywiołem, i choć konkurencję pod

ze swym darem wypatrywania najbardziej ukrytych spisków znalazł się w grupie szturmowej. Nie chcieliśmy tej wojny komentować. Większość tych, którzy to robią, uważa ją za kompromitującą nie tylko dla obu stron, lecz także dla całej, z całą świadomością, jak umowna to nazwa, „prawicy” – i, jak rzadko, akurat z większością się zgadzam. Gdy z jednej strony padają oskarżenia, że kto krytykuje Bartłomieja Misiewicza, ten niech nie liczy na sukcesy po Jarosławie Kaczyńskim (! – pisałem, że daj Boże zdrowie prezesowi, bo gdyby nie daj Bóg, zaczęłaby się jazda, przy której „dekompozycja sanacji” to pikuś), z drugiej zaś stosowane są tak nowatorskie formy dziennikarskie jak rozmowa anonimowego dziennikarza z anonimowym „ważnym politykiem PiS”, chce się tylko omijać sprawę jak najszybszym łukiem. I czyniłbym tak dalej, gdyby nie wspomniany Lisiewicz właśnie,

który najwyraźniej postanowił nas do tej wojny włączyć.

Wobszernym artykule demaskuje „prawicowy zamach na Macierewicza”, w którym to poczesną rolę okazuje się odgrywać nasz tygodnik. Tak przenikliwy demaskator jak Lisiewicz dobrze wie, że kto krytykuje Misiewicza, temu nie chodzi o Misiewicza, ani nawet o Macierewicza, lecz o zniszczenie prawdy o Smoleńsku. Którą to prawdę znają Lisiewicz oraz jego redakcja, i jest to prawda jedyna, niewątpliwa, objawiona przez Macierewicza właśnie, i jedynie ta prawda daje, prawda, prawo do rządzenia Polską – albowiem kto jej zaprzecza, ten jest z WSI (z wyjątkiem tych z FSB).

Mogę tylko – za radą lekarza – zapewnić Lisiewicza, że oczywiście ma słuszość, ale nie musi jej ogłaszać światu. My na szczęście nie ubiegamy się o sukcesy po Jarosławie Kaczyńskim. © ©

Ta wojna jest kompromitująca dla całej, z całą świadomością, jak umowna to nazwa, „prawicy”

tym względem ma w swojej redakcji dużą, pozostaje jednym z ich głównych dostarczycieli w autorskiej stajni Tomasza Sakiewicza.

Jasna sprawa, że kiedy wybuchła wojna pomiędzy tym ostatnim a braćmi Karnowskimi, Lisiewicz



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Imigranci

We Włoszech minister spraw wewnętrznych igrał z myślą, by imigrantów czekających na rozpatrzenie podań o azyl posłać do społecznie użytecznej, ale bezpłatnej pracy. We włoskim obozie postępu zawrzało: „To cios w ludzką godność! Obozy uchodźców zamienia się w obozy pracy!”. Minister podał tyły: praca będzie ochotnicza. Postępowcy uznali jednak, że byłoby to haniebnym wywieraniem presji, bo imigranci mogą pomyśleć, iż inaczej nie dostaną azylu. Minister zamilkł.

Cofnijmy się w czasie. Berlin Zachodni 1982 r. Władze miasta

zdecydowały, że otrzymujący pomoc socjalną obcokrajowcy (w tym tysiące polskich imigrantów i wasz felietonista) powinni pracować dwa tygodnie na rzecz miasta pod groźbą utraty wsparcia. Wśród tysięcy Polaków zawrzało. Polska społeczność zorganizowała spotkanie z władzami miasta. Jeden z liderów wypalił: „My się zgadzamy na pracę, ale każdy w swoim zawodzie”. Zachodniobерliński senator osłupiał. Z ust polskiego plastyka usłyszałem w kuluarach: „Chcę ze mnie robota zrobić!”.

Wychodzę niedawno z domu i przecieram oczy: na ulicy, na chodnikach, a nawet wokół śmietników

czysto jak w Szwajcarii. Z miotłą uwija się młody człowiek czarny jak heban. Na pudle postawił talerzyk i przykleił kartkę z napisem:

Jestem imigrantem z Nigerii. Chcę się zintegrować i szukam pracy. Jestem inżynierem. Pracy nie znalazłem, więc postanowiłem sprzątać wasze ulice. Jeśli ktoś chciałby mnie wesprzeć, bardzo proszę. Miotły i śmietniczki też mile widziane”. Włosi gremialnie wrzucali pieniądze, ale każdy podchodził do Nigeryjczyka, by mu ucisnąć dłoń, zamienić z nim kilka słów i spytać, czy może w czymś jeszcze pomóc. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie delegalizować ONR!

To, że do delegalizacji ONR nawołuje lewica, z Platformą włącznie, mnie nie dziwi. Jak słusznie zauważył Robert Gwiazdowski – lewica konkurencji nie lubi, a uchwalona dopiero co deklaracja ideowa Obozu Narodowo-Radykalnego dość jednoznacznie zalicza go do ugrupowań etatystycznej lewicy właśnie, upatrującej remedium na problemy we wzmacnianiu roli państwa w wielu dziedzinach. Przy tym deklaracja ta nie pozostawia wątpliwości, że ONR nie akceptuje kryteriów rasowych, a o przynależności do narodu w oczach jego członków decyduje wpisanie się we wspólnotę kulturową i historyczną, a nie kolor skóry.

Gazeta Wyborcza” wpadła – rzecz jasna – w histerię po tym, jak przez stołeczne ulice przeszła cokolwiek szczupła grupa ONR-owców, ale to także było łatwe do przewidzenia. Skoro dla ludzi z Czerskiej nawet Dmowski załapuje się na faszystę, to coś dopiero ONR, nawet współczesny?! Hanna Gronkiewicz-Waltz oznajmiła, że oczekuje od Zbigniewa Ziobry, iż ten złoży wniosek do sądu o delegalizację ONR. Tak, ta sama Gronkiewicz-Waltz, która za niewielkie pieniądze udzieliła „Krytyce Politycznej” lokalu

na rogu ulic Świętokrzyskiej i Nowego Świata, w którym to budynku 11 listopada 2011 r. schronili się bandyci z niemieckiej Antify po tym, jak napadli na członków grup rekonstrukcyjnych w historycznych strojach.

Jednak nawoływania do delegalizacji ONR po-brzmiewają także po stronie konserwatywnej, a to już świadczy o sporej lekkomyślności. Instrument, jakim jest sądowa delegalizacja ugrupowania politycznego, powinien być stosowany w sytuacjach absolutnie ekstremalnych, bo po obu stronach politycznej przepaści są ludzie, którzy chcieliby z niego zrobić pałkę na przeciwników. Są tacy, którzy pragnęliby zdelegalizować PiS, i tacy, którzy to samo chcieliby uczynić z PO.

Tymczasem do delegalizacji ONR nie ma dziś żadnych faktycznych podstaw, nawet jeśli komuś bardzo nie podoba się rodowód tej organizacji. W deklaracji tej organizacji nie ma niczego, co byłoby uzasadnieniem takiego kroku. Gdyby zatem mimo to taka procedura się rozpoczęła – nawet jeśli miałaby się skończyć niczym – stworzy to precedens i w atmosferze wojny przełame kolejną barierę. Ze szkodą dla wszystkich. ©

RZECZNIK PREZYDENTA ZŁOŻYŁ REZYGNACJĘ

Marek Magierowski, dyrektor Biura Prasowego Kancelarii Prezydenta, złożył w piątek rezygnację. Jej oficjalnym powodem, jak podaje portal wPolityce.pl, który o sprawie poinformował jako pierwszy,

mają być względy rodzinne. – Zapewniłem pana prezydenta, że może liczyć na moją pomoc i wsparcie, zawsze i wszędzie tam, gdzie uzna to za stosowne – powiedział wPolityce.pl Magierowski.

Marek Magierowski został zatrudniony w Pałacu Prezydenckim we wrześniu 2015 r. Rzecznikiem prezydenta był od grudnia 2015 r. Wcześniej pracował m.in. w „Do Rzeczy” i „Rzeczpospolitej”. (raw) ©

KSIĘGARNIA



WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 14 maja 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

ŻAL SŁÓW, KTÓRE NIE PADNĄ

Piosenkarka Natalia Szroeder bierze udział w 20. edycji „Tańca z gwiazdami” i z tego, co piszą plotkarskie portale, jest jedną z faworytek programu. W ostatnim wywiadzie piosenkarka wyznała, że nie lubi się publicznie wypowiadać na tematy polityczne, co nie znaczy, że nie ma własnych poglądów. – Mam swoje poglądy polityczne, jasne i wyraźne. Interesuję się polityką. Staram się nie mówić o tym publicznie. Nie czuję w sobie takiego autorytetu. Nie mam dużej wiedzy, żeby się nią dzielić tak szeroko. Pani Krystyna Janda i Maja Ostaszewska mają tę sławę. Nie wyobrażam sobie, żeby komuś grozić za to, że ma odmienne poglądy. Kiedyś się trochę wypowiedziałam i bardzo mnie za to skrytykował Internet – przyznaje. Aż sprawdziliśmy, co takiego Natalia w przeszłości politycznego powiedziała. I o kim. – Dobrze mu z oczu patrzy. Myślę też, że jest bardzo mądrym mężczyzną. Sprawiedliwym. Sympatycznym. Fajnym – tak mówiła trzy lata temu o... Donaldzie Tusku. Trochę żal, że Natalia postanowiła pozbawić świat kolejnych podobnie wnikliwych analiz politycznych.

DZIECKIEM BYĆ

Doda w najnowszym wywiadzie przyznała się do tego, że jest dużym dzieckiem, a jej spontaniczność i emocjonalność to efekt pielęgnowania w sobie pierwiastka dziecięcego. Doda twierdzi też, że nie jest to żaden infantylizm, lecz po prostu „niewinna wiara w innych ludzi”. – Dorosłość, ta, którą nam się narzuca i która jest nazwana dorosłością, bardzo mnie nudzi i zawodzi – dodaje. – Bycie dużym dzieckiem to nie jest żadna ujmą, żadna dyskredytacja czy sposób obrażania kogoś. Wręcz przeciwnie. Oznacza to, że mam niewinną duszę, że podchodzę do każdego jak do tabula rasa, mam w sobie czystą miłość do człowieka – wyznaje wokalistka. Czysta miłość do drugiego człowieka najbardziej dobitnie dała o sobie znać wtedy, gdy Doda szarpała się z koleżanką z show-biznesu w damskiej toalecie jednego z klubów. Może jej niewinna dusza miała wtedy wolne?

CHWALI SIĘ?

Celebrytka Anna Mucha postanowiła się podzielić z nami informacją o swoich słabościach. Mówi, że lubi ulegać pokusom i jeśli ma na coś ochotę, to to robi, je i kupuje. Bez względu na cenę, kalorie i konsekwencje. Na pytanie, czy często pozwala sobie na słodczy i inne przyjemności, Mucha odpowiedziała: – Ja sobie pozwalam. Wychodzę z założenia, że najlepszy sposób na pokusy to



ulegać im – stwierdziła. – Ostatnio mnie otrzeźwiło, bo zdałam sobie sprawę, że na majtki wydałam taką ilość pieniędzy, że była to suma nieprzyzwoita – zdradziła. Nie bardzo wiemy, czym Mucha chciała się pochwalić bardziej.

Tym, że jednak nosi bieliznę, czy tym, że dużo na nią wydaje. Tak czy owak polski show-biznes schodzi na psy. Kiedyś celebryci chwalili się jachtami, nowymi autami albo chociaż nowymi żonami. A teraz co? Nowe majtki.



FOT. TRICOLORS

KTO CZEGO OCZEKUJE

Grażyna Wolszczak, aktorka, zdradziła, że założyła sobie Snapchata, a zainspirowała ją do tego Michelle Obama. 58-letnia aktorka na bieżąco relacjonuje tam przebieg swojego dnia i mówi, że „wkręciła się w snapowanie”. – Wsiąkłam. Wszystko robię sama – chwali się gwiazda. Przy okazji Wolszczak, udzielając się w mediach społecznościowych, odkrywa rzeczy już dawno odkryte. Na przykład to, że jej refleksyjne posty z życiowymi mądrościami przegrywają zdecydowanie z fotkami, na których robi głupie miny. – Zauważyłam z przykrością, że jak chcę powiedzieć coś poważnego na Facebooku, to nikogo to nie obchodzi, a jak wrzucę jakąś zabawną fotkę, to jest dużo lajków. Nikt nie wymaga od aktorki, żeby miała poważne przemyślenia – konkluduje. Mam nadzieję, by do podobnych wniosków doszli też inni aktorzy. I aktorki. Tak, Janda też.

WIELOLETNIA WALKA O BRWI

Z cyklu dramaty gwiazd. Marina Łuczenko – Szczęsna, kiedyś piosenkarka, dziś żona piłkarza Wojciecha Szczęsnego, wystąpiła w jakiejś telewizji w roli ekspertki od makijażu. Zasiadła w jury jakiegoś konkursu, w którym miała oceniać starania młodych dziewcząt w dziedzinie make-upu. Fachowo odniosła się do problemu brwi.

– Bardzo trudno dobrać odpowiedni kształt brwi do rysów naszej twarzy. Zajęło mi to lata. Korzystałam z porad w gazetach i tak naprawdę się szpeciłam. Te zasady nie są uniwersalne – tłumaczyła ze złością. Prawdziwa kobieta sukcesu. Z poświęceniem latami walczyła o swoje brwi i dziś może się pochwalić efektem. I to w telewizji! W takich momentach wzruszenie odbiera mowę. ©

FOT. PAMEŁA GROMADA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, na szczęście już za nami ten festiwal hipokryzji i januszostwa związany z długim weekendem oraz May Holidays. Pamiętamy, jak jeszcze niedawno było to świeckie święto wszystkich normalnych mieszkańców tego kraju, kiedy wraz z Bronkiem i czekoladowym orłem demonstrowaliśmy przywiązanie do europejskiej tradycji i kultury.

Teraz zaś mieliśmy festiwal grillowania, picia piwa i najazd januszów oraz grażyn na modne ośrodki wypoczynkowe, a wszystko to oczywiście za „500+” i za cichym przyzwoleniem obozu rządzącego.

W dodatku jeszcze musieliśmy oglądać, jak przedstawiciele rządu obłudnie cieszyli się 3 maja z konstytucji, którą później tak bestialsko podeptali, pobili kablem od żelazka niczym wąsaty janusz osobożone, a następnie wyrzucili do śmieci. Naprawdę cieszymy się, że już jesteśmy spokojnie w korpo i do następnych długich weekendów nie będziemy musieli być świadkiniami i świadkami podobnych wydarzeń.

Wcieniu tych wszystkich fashystofskich uroczystości niemal niezauważona przemknęła rocznica przystąpienia tego kraju do Unii Europejskiej.

Myśleliśmy, iż w tym roku ta rocznica nie przypada, za to będą przypadać różne rocznice związane z przegranymi bitwami, powstaniami i innymi powodami do obnoszenia się z tenkrajową martyrologią.

Tymczasem rocznica przystąpienia do Unii jednak przypadła. Z tej okazji zorganizowaliśmy mały event: narysowaliśmy kredkami unijną flagę na podłodze w mieszkaniu (iż na mieście padało), a następnie odśpiewaliśmy „Ode do radości”. Oczywiście po cichu, iżby nie przyszli nas internować siepacze Kaczafiego. Jesteśmy co prawda opozycją totalną, ale w granicach komfortu, a internowanie wiązałoby się przecież z pewnymi niedogodnościami.

Na pewno nie jesteśmy tak odważni jak Mateusz Kijowski, który właśnie wydaje biografię, z której wżruszył nas zwłaszcza taki fragment: „Z dnia na dzień skromny informatyk, bo-

rykający się z trudnościami życia codziennego hipster z pod [xD DD – przyp. Redakcji] Warszawy stał się postacią rozpoznawalną na całym świecie [...] na przekór oportunistom i uzurpatorom Buntownik nie pozwolił się złamać”.

Podpowiadamy inne wersje: „Pewnego dnia do skromnego informatyka, borykającego się z trudnościami dnia codziennego hipstera z pod Warszawy, puka czarodziej Gandalf, burząc tym samym jego dotychczasowe życie. Na przekór oportunistom i uzurpatorom Informatyk musi zniszczyć Jedyny Pierścień i ustrzec ten kraj przed złowieszczym okiem Kaczaurona”.

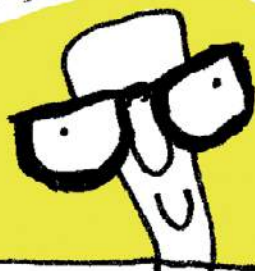
„Pewnego dnia do skromnego informatyka, borykającego się z trudnościami dnia codziennego hipstera z pod Warszawy przylatuje tajemnicza sowa. Przynosi zaproszenie do szkoły magii Hogwart, gdzie Informatyk ma wygłosić prelekcję o demokracji oraz spotkać się z Albussem Dumbledore’em”.

„Pewnego dnia do skromnego informatyka, borykającego się z trudnościami dnia codziennego hipstera z pod Warszawy, puka tajemniczy białowłósy jegomość. Dziwny przybysz mówi: miecz przeznaczenia ma dwa końce, jednym jesteś ty. Informatyk nie rozumie, ale odbiera miecz, aby walczyć z demonami tego kraju”.

Pragniemy też poinformować, iż zdecydowaliśmy się nie przyjmować odznaczenia państwowego przyznanego przez prezydenta Andrzeja Dudę. Gwoli ścisłości: nie zostaliśmy co prawda przedstawieni do żadnego odznaczenia, ale jakby co, to wyraźnie podkreślamy: odmawiamy!!! i prosimy, iżby się pan prezydent nie fatygował xD

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W naszym Wiodącym Medium
mamy trzy działy: be, cacy
i 12 fsta, lowy...



możesz kryzys



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

Głupia sprawa z tym referendum w sprawie konstytucji. W pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana nikt nie wiedział, że mu takie herezje chodzą po głowie. A tu masz babo placek – wyrwał się i teraz kłopot. Wyjaśniamy zatem – Krzysiek Szczerski wiedział.

Wszeregach Totale Opposition propozycja prezydenta Andrzeja Sebastiana wywołała słuszny szok i oburzenie. Jakim bowiem prawem gość, który w wyborach prezydenckich dostał zaledwie 8,6 mln głosów, śmie się wypowiadać w sprawie konstytucji, którą w referendum poparło aż 6,3 mln wyborców? To się w głowie nie mieści!

Obrazek rodzajowy. Impreza z okazji 3 Maja, Pałac Prezydencki. Na salonach pojawia się Jan Maria Tomaszewski, z zawodu kuzyn Kaczora-Dyktatora. Zamiast atmosfery patriotycznej, podniosłej, zwycięża jednak popkultura. Co chwila Jan Maria jest bowiem witany tekstem: „A miałbyś dwie dychy pożyczyć, na fajki?”. Z czego wynika niezbie, że w serii „Ucho prezesa” szczególnie chętnie oglądany jest odcinek siódmy – „Siemandero!”.

Zmiany, zmiany. Nowoczesna Kropka i jej wielki petru Rysiek Petru wyprowadzają się z pięknego biura przy ul. Mokotowskiej w Warszawie. Wiedzieliśmy, że strata subwencji zaboli, nie przypuszczaliśmy jednak, że tak bardzo.

Wsumie mogliśmy podejrzewać, że sytuacja jest trudna. Tak trudna, że Rysiek podczas ostatniej wizyty w Brukseli łąził po korytarzach i nieustannie komentował sytuację polityczną w kraju. Wiewiórki zanotowały całą tyradę, ale niestety nie da się jej zacytować. Najbardziej nadający się do druku fragment brzmiał: „wszystkich zaje...ać”.

Rysiek nie sprecyzował, o kogo chodzi, ale stawiamy na Schetynę.

Wwiewiórki z Nowoczesnej mówią, że wielka miłość Petru, znaczy Joaśka Schmidt, będzie jednak musiała kandydować na prezydenta Poznania. Żeby ratować dobre imię swoje i Ryśka. No i żeby pokazać wszystkim, których trzeba „zaje...ać”, że Nowoczesna nie da się podzielić ani

zniszczyć. I że też ma jakichś kandydatów. Problem w tym, mówią wiewiórki, że między Ryśkiem a Joasią już nie jest tak jak dawniej.

Poznańskie gryzonie opowiadają, że dawny prezydent miasta Grobelny Ryszard wraca do gry. No, może nie do gry, tylko do gierki. Gowinowcy chcieliby go wystawić w wyborach samorządowych. Na szczęście nie na prezydenta, tylko tak po prostu, do sejmiku wojewódzkiego.

dwaj panowie g

W wyjaśniamy, tropimy, ujawniamy. Od dłuższego czasu po mieście krążyły plotki o fatalnym stanie zdrowia Kaczora-Dyktatora. Lista schorzeń, na jakie miał cierpieć Prezes, obejmowała m.in. wszystkie rodzaje nowotworów. Zainteresowaliśmy się tematem. Plotki wzięły się stąd, że Kaczor-Dyktator widziany był w jednym ze szpitali. I to tyle, jeśli chodzi o prawdę. Poza tym, owszem, Prezes został gruntownie przebadany, ale tu plotka zdycha. Jak na człowieka hołdującego churchillowskiej zasadzie „no sports” Prezes okazał się w zadziwiająco dobrej kondycji. Przypominamy naszym opozycyjnym totalniakom, że Churchill, opuszczając urząd premiera, miał 71, a potem żył jeszcze lat 20.

Atak w ogóle izby przyjęć dwóch warszawskich szpitali, a mianowicie przy ul. Wołoskiej (MSW) i Szaserów (MON), to miejsca, gdzie umieściłibyśmy stałe rezydenty – gdybyśmy tylko byli obcymi wywiadami. Jedna z najważniejszych osób w państwie opowiadała nam ostatnio, jak izba przyjęć obdzwaniała po kolei kilka miejsc, informując, jaki to VIP akurat przybył do szpitala i co mu prawdopodobnie dolega. Tak, wiemy, kolorowe gazety same się przecież nie robią.



FOT. ROBERT CARDZINSKI

Tymczasem u Grzeška. Ekstazę w partii wywołał tajny sondaż, w którym PeŁo wygrywa w Warszawie z Prawem i Sprawiedliwością w stosunku 31 do 28 proc. W wyborach 2015 r. było 30:28 dla zjednoczonych kaczystów. Jeszcze większą ekstazę wywołało to, że Nowoczesna Kropka ma w Warszawie 10 proc., a w wyborach miała 13 proc. Podzielamy radość platformersów. Też uważamy, że należy umieć się cieszyć z rzeczy małych.

Są już pierwsze dobre skutki powrotu króla Europy do krajowej polityki (na razie w charakterze przesłuchiwanego w prokuraturze świadka). Mecenasek Roman Giertych wybielił sobie zęby. Wiadomość pewna, bo z kręgów świadczących usługi medyczne.

Apropos króla Europy. To wszystko przez niego. Co? Kłopoty medialne resortu Antoniego Macierewicza. Chodzi o to, że po PR-owskich wyczynach Tuska w czasach rządów PeŁo-Peezel Antoni uznał, że PR to takie medialne kłamstwa, którymi posługują się oszuści. A on nie jest oszustem, więc

posługiwał się nie będzie. Prawda sama się bowiem obroni. Z tego samego założenia wychodzi nasz leśny ulubieniec Jan Szyszko. Szeregi skrzywdzonych przez Tuska rosną.

Uwaga, ujawniamy mroczne sekrety MON! Minister Antoni torturuje swoich podwładnych! Z dobrych źródeł wiemy, że zwołuje odprawy na Klonowej o północy. Co gorsza, nie tylko w dni robocze, lecz także w weekendy. To już zwyczajny terror i faszyzm.

Uśmieśliśmy się trochę z „listy Morawieckiego” krążącej po mediach. Tej wyliczającej rzekomo wiernych nadpremierowi ludzi, których postanowił ulokować w rozmaitych miejscach. Śmialiśmy się, bo generalnie nie ma ona wiele wspólnego z rzeczywistością. Przestaliśmy się śmiać, kiedy wiewiórki opowiedziały, że to PR-owcy związani z nadpremierem przygotowali listę jako fejk, żeby wyprzedzić ewentualne odpalenie prawdziwej listy. Też lubimy teorie spiskowe, więc bijemy brawo.

Oklaskujemy też nagrodę Konfederacji Lewiatan dla reżyserki Agnieszki Holland. Otrzymała ją w kategorii „odważne myślenie”. Mamy jednak mieszane uczucia. To prawda, żeby udzielać wywiadów „Lisweekowi”, trzeba być w dzisiejszych czasach szalenie odważnym. Z myśleniem nie ma to jednak wiele wspólnego.

Zuznaniem przyjęliśmy także nagrodę specjalną Lewiatana dla tygodnika „Polityka” i jej naczelnego Jerzego Baczyńskiego. Także uważamy, że dla tygodników kierowanych przez kapusiów PRL-owskich służb specjalnych powinny być nagrody specjalne.

Żli ludzie opowiadają, że Tomek Terlikowski przestanie być naczelnym TV Republika. Stacją ma pokierować Dorota Kania. Jeszcze bardziej źli ludzie opowiadają, że wszystko to z powodu zbyt umiarkowanego entuzjazmu Tomka wobec nowego pracownika stacji, Misiewicza Bartłomieja. Czego to ludzie nie wymyślą. ©©

REKLAMA



CENTRUM KSZTAŁCENIA MENEDŻERÓW

Centre For Management Training

Uniwersytet Warszawski, Wydział Zarządzania

Zaprasza na 27 edycję w języku angielskim
INTERNATIONAL MBA PROGRAMME



Uznany przez Międzynarodową Agencję Rankingową „EDUNIVERSAL” za najlepszy program MBA w Europie Centralnej i Wschodniej (I miejsce <http://www.best-masters.com/ranking-master-mba-full-time-in-eastern-europe.html>).

Jest to program międzynarodowy w wymiarze treści edukacyjnych, składu kadry dydaktycznej i profilu uczestników.

Absolwenci zajmują wysokie stanowiska menedżerskie w renomowanych instytucjach krajowych i zagranicznych.

Jako full time program prowadzony jest od września 2017 roku do kwietnia 2019 roku.

Kandydaci proszeni są o przekazywanie do Centrum, najlepiej drogą elektroniczną, następujących dokumentów:

1. application form (zob. www.cmt.wz.uw.edu.pl)
2. kopia dyplomu ukończenia studiów wyższych.

Po ich otrzymaniu będą zaproszeni na rozmowę kwalifikacyjną w języku angielskim.

Kontakt z Centrum:

Warszawa 02-678, ul. Szturmowa 3, budynek C, pokoje 316-317

tel. 22 847 17 42, 22 553 41 30, e-mail: cmt@wz.uw.edu.pl, www.cmt.wz.uw.edu.pl

Atak za wiare



Agnieszka Niewińska

Trenerka fitness Ewa Chodakowska zamieściła życzenia świąteczne. I spadła na nią lawina internetowej nienawiści

Ktoś zhakował moją skrzynkę mailową. Ktoś wysłał mi memy z obrzydliwymi słowami ubranymi w cudzysłów i podpisanymi moim imieniem i nazwiskiem. Słowami, których nigdy nie wypowiedziałam! Ktoś zostawia wulgarne komentarze, wyśmiewające i wytykające mi wiarę... aż wreszcie ktoś próbuje mnie zastraszyć, próbuje mnie szantażować, grożąc mi opublikowaniem fałszywych materiałów na mój temat. Daje wyraźnie do zrozumienia, że chce zaszkodzić mojemu wizerunkowi. Czy to AŻ TAK źle, że jestem katoliczką?"

Wpis o takiej treści zamieściła na swoim profilu na Facebooku znana trenerka Ewa Chodakowska. Burza wokół niej rozpętała się po jej poście z Wielkiego Piątku. Między okładką polecanego przez nią magazynu o zdrowym stylu życia a kolejnym selfie i motywacyjnym przekazie pojawiło się zdjęcie z Chrystusem na krzyżu i wielkanocne życzenia gwiazdy fitnessu dla jej fanów. Chodakowska zacytowała Jana Pawła II: „Życzę wam wszystkim, drodzy bracia i siostry, byście przeżywali to Triduum sacrum, czwartek, piątek, Wielką Sobotę, wigilię paschalną, a potem Wielkanoc, coraz głębiej. Przeżywali, ale także dawali świadectwo. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«. W Niedzielę Wielkanocną zamieściła kolejny post: „Chrystus Zmartwychwstał!!! Alleluja!!”.

„NIE WSPIERASZ KOBIET?”

Trenerka dostała setki podziękowań za swój wpis, wielkanocnych życzeń. Jednak części fanów Chodakowskiej (a jej profil na Facebooku śledzi przeszło 2 mln osób) nie spodobało się, że w swoich postach odwołała się do przekonań religijnych. „Dlaczego z fajnej platformy fitnessowo-zdrowotno-lifestyle'owej robić kazalnice? Mówiłaś, że nie angażujesz się politycznie i religijnie? Wiara to prywatna sprawa” – komentowała jedna z internutek. Inna pozwoliła sobie na ostrzejsze słowa: „Co Ty, Ewka, nie wspierasz kobiet w walce o ich prawa, ale wrzucasz jakiś katolicki bełkot? Ja Ci życzę,

żebyś otworzyła oczy. Mogłabyś zrobić tyle dobrego dla kobiet w Polsce...”

Chodakowska, znana z tego, że jest bardzo aktywna w mediach społecznościowych, odpowiadała na dziesiątki komentarzy. Tłumaczyła, że nie przestanie wyznawać wiary w Boga ani chodzić do kościoła z tego powodu, że ludzie Kościoła popełniają błędy, krzywdzą innych, grzeszą. „Ja chodzę do kościoła dla Boga... i dla siebie” – tłumaczyła. „Tylko ludzie słabi wstydzą się wiary” – napisała w jednym z komentarzy. Internautce, która zarzucała jej „wrzucanie katolickiego bełkotu”, odpowiedziała: „Właśnie w tej chwili wykazałaś się kompletnym brakiem tolerancji. Odbierasz mi prawo wolności słowa, prawo, o które walczysz. Wolność wyboru! Tak? Zatem hipokryzję odłóż na bok. Jest Wielki Piątek, ja jestem katoliczką. Praktykującą! Jeśli ten fakt Cię razi, a moje refleksje nazywasz bełkotem, w tej samej chwili strzelasz sobie w kolano”.

Trenerka do sprawy powróciła we wpisie opublikowanym podczas świąt, które spędziła w Atenach z bliskimi pochodzącego z Grecji męża. Dziwiła się burzą, jaką wywołały opublikowane przez nią życzenia. „Nie zrobiłam niczego, czego nie można by się było spodziewać po praktykującym katoliku. Moja postawa nie ma nic wspólnego z heroizmem, nigdy nie kryłam tego, kim jestem :) ba! Jestem dumna z tego, kim jestem!!” – napisała. „Zamiast życzeń o pisanekach i kurczaczkach zacytowałam słowa Jana Pawła II nawołujące do refleksji. I przez chwilę poczułam, jakbym co najmniej się komuś naraziła. Jakby moje życzenia, a później komentarze, były jakimś »coming outem«... a może chwytem marketingowym... Serio???? Nie jestem święta i świętej z siebie nie robię, ale tak! Chodzę na niedzielne msze i modłę się co wieczór” – zadeklarowała Chodakowska. I przytaczała nieprzychylnie komentarze, jakie pojawiły się pod zdjęciem z greckiej restauracji. „Zostałam sztycytka rozliczona z tego zdjęcia na jednym z portali plotkarskich. »Taka przywiązana do konserwatywnych wartości, ale śniadanie już nie takie tradycyjne«. A pod nim same podłe komentarze, jak to się dwa dni temu »lan-sowałam« na katoliczkę, a teraz proszę... Marszczę brwi... i drapię się po głowie. Hmm... Czy to znaczy, że od teraz »mam się mieć na baczności«, bo będę rozliczana z każdej kropki?”.

Szymon Sikorski, specjalista w dziedzinie PR z agencji Publicon, zwraca uwagę, że media społecznościowe takie jak Facebook

są raczej lewicowo-liberalne. – Na Facebooku dobrze widziany jest buddyzm, ćwiczenie jogi. Madonna opowiadająca o kabale nie wywoła takiego poruszenia jak gwiazda przyznająca się do wiary katolickiej, bo ta ma wyjątkowo zły PR – zaznacza.

Nie trzeba wiele, by nakręcić spiralę negatywnych komentarzy w mediach społecznościowych. – Mechanizm Facebooka sprawia, że jego użytkownicy funkcjonują w swego rodzaju bąblach, bo algorytm pokazuje treści zgodne z naszymi przekonaniami i zainteresowaniami. W związku z tym poglądy w sieci z czasem się polaryzują – tłumaczy Paweł Wieczorek, medioznawca z Uniwersytetu SWPS. – Członkowie grup o różnych poglądach mogą mieć jednak wspólne zainteresowania, w tym fitness czy aktywność fizyczną. Nagłe pojawienie się komunikatu, np. związanego z religią, w miejscu dotąd światopoglądowo neutralnym zaskakuje i wywołuje reakcję osób, które na dany temat mają własne zdanie. Część osób oburzy się i skomentuje, niektóre komentarze przybiorą formę hejtu. Do hejtowania przyznaje się zresztą 11,3 proc. polskich internautów. Warto przy tym zwrócić uwagę, że nie każda krytyczna uwaga jest hejtem – podkreśla medioznawca.

W piątek po Wielkiejnocy Chodakowska zadeklarowała, że jest nieugięta i wielkanocnego postu nie usunie mimo pogróżek, szantażu i ataku hakerskiego. W mediach sprawy komentować nie chce. Jak powiedziała nam jej menedżerka, Joanna Getka-Kaczor, trenerka zdecydowała, że jeśli będzie wracać do sprawy, to jedynie na swoim portalu w mediach społecznościowych. Dodała, że nie ma tu mowy o żadnej PR-owskiej zagrywce, a sprawa naprawdę jest poważna.

– Zarówno groźby, jak i znieważenie, czyli użycie słów obelżywych pod czymś adresem, podlegają karze, nawet jeśli wysłane zostały drogą elektroniczną – przez e-mail czy portal społecznościowy – przestrzega prof. Piotr Kruszyński, adwokat i karnista z Uniwersytetu Warszawskiego. – Jeśli pani Chodakowska dostała takie wiadomości, to powinna zgłosić sprawę prokuraturze. Ustalenie sprawcy jest trudne, ale nie niemożliwe – radzi. Trenerka już poinformowała, że sprawę skierowała do swojego prawnika.

DZIEWCZYNA Z BIESZCZAD

Zawrotna kariera Ewy Chodakowskiej z pewnością będzie przedmiotem analiz

■ specjalistów z dziedziny marketingu, tematem prac magisterskich i doktoratów. Z fitnessową propozycją pojawiła się w 2012 r. i już po dwóch latach ćwiczyły z nią tysiące kobiet, a jej profil śledziło 600 tys. osób. W ciągu kilku lat Chodakowska zawładnęła wyobraźnią milionów Polek. „Trenerkę wszystkich Polek” – jak ochrzciły ją media – znają także panowie, nawet ci, którzy stronią od sportu, zdrowego stylu życia i zbilansowanej diety.

Pochodzi z podkarpackiego Sanoka. Jest najmłodsza w rodzinie. Jej rodzeństwo – dwie siostry i brat – jest sporo od niej starsze, bo – jak mówiła sama Chodakowska – nie była dzieckiem planowanym przez rodziców. Jej mama miała 39 lat, kiedy zaszła w ciążę, a w latach 80. późne macierzyństwo nie było szczególnie popularne.

Chodakowska chętnie wraca w rodzinne strony, dzieli się w sieci zdjęciami z Sanoka i okolic, odpowiada na zaproszenia sanockiego I LO, którego jest absolwentką. Trenuje z młodzieżą, nie stroni od wspólnych fotografii z uczniami ani dawnymi nauczycielami. I choć jest jedną z najbardziej znanych sanoczanek, to w wywiadzie udzielonym w programie Magdy Mołek w TVN mówiła o sobie:

„Jestem zwykłą dziewczyną z Bieszczad, która wychowała się w bardzo dobrej atmosferze, która dostała bardzo dużo miłości i ma ogromną nadzieję na przekazywanie jej dalej”.

Zanim z „dziewczyny z Bieszczad” przeistoczyła się w gwiazdę fitnessu, wyjechała do Grecji. Miała zabawić tam dwa tygodnie, odpocząć, zebrać myśli. Została dwa lata. To tam poznała swojego męża Lefterisa Kavoukisa, znanego w Grecji trenera personalnego. W Atenach Chodakowska zdobywała uprawnienia w zawodzie trenerki. I choć krajowe konkurentki w fitnessowej branży zarzucają jej, że nie skończyła AWF, robi błędy i ćwiczącym może przyprawić o kontuzję, ta ripostuje, że ma niezbędne kwalifikacje zdobyte m.in. w ateńskiej Akademii Pilatesu i w college'u IAFA, gdzie przez dwa lata kształciła się w dziedzinie trenera per-

sonalnego i trenera fitness. Po powrocie do Polski zaczęła podbijać polski rynek spalania kalorii.

Przed nią Polki nie miały tak medialnej fitnessowej idolkę, która by zainspirowała je do wstania z kanap, włożenia gimnastycznych strojów i ćwiczenia przed telewizorem – bez drogiego sprzętu i sportowych gadżetów. Chodakowska zaczęła wydawać poradniki – o przemianie w 30 dni, zdrowym odżywianiu. Na YouTube pojawiły się treningi z nią. Zachęcała do walki o „brazylijskie pośladki” i „ekstrafigurę”. Prowadziła bloki ćwiczeń w programach śniadaniowych. W sprzedaży pojawiały się kolejne płyty z jej treningami dostosowanymi do różnych potrzeb.

Reklamę robią jej same ćwiczące. Wysyłają zdjęcia sprzed rozpoczęcia treningów

dłospisem na każdy dzień i listą zakupów wysyłaną na smartfon. Dwumiesięczny program to koszt 99 zł.

BEZ JOGINEK

Wiarę w Boga Chodakowska wyniosła z rodzinnego domu. „Odkąd pamiętam, cała jej rodzina jest bardzo wierząca, zawsze chodzili do kościoła” – napisała na Facebooku jedna z sanoczanek. I dodała, że Chodakowscy to w Sanoku szanowana rodzina, której wiara nie jest na pokaz.

Trenerka nie narzuca się jednak ze swoimi przekonaniami. Przy okazji burzy wokół jej życzeń napisała, że pozwala sobie na to raz w roku, w Wielki Piątek. W wywiadach dotychczas nie skupiała się na temacie swojej wiary, ale też jej nie ukrywała. W TVN podkreśliła, że co niedziela chodzi do kościoła: „Jest taki dzień, w którym się zatrzymuję i trochę z siebie wszystko zrzucam. Uwielbiam niedzielić przez to, że mogę iść i się wyciszyć, mogę się pomodlić, trochę zostawić i trochę zaczerpnąć siły na następny tydzień. I chwala Bogu za tę niedzielę”.

Lawiny nieprzychylnych komentarzy po cytacie z Jana Pawła II i zdjęciu ukrzyżowanego Chrystusa wcale nie muszą oznaczać, że straci część fanów. – O ile hejt pod adresem np. lekarzy czy polityków sprawia, że w oczach części osób tracą oni na

wiarygodności, o tyle hejtowani celebryci zarówno stają się dużo mniej wiarygodni dla jednych, jak i zyskują na wiarygodności u innych – wskazuje Paweł Wieczorek.

Szymon Sikorski dodaje, że choć jako specjalista od PR zapewne doradzałby milczenie w sprawie własnych poglądów osobie, która chce sprzedawać jakiś uniwersalny produkt rzeszy klientów, to w przypadku Chodakowskiej nie sądzi, by jej to zaszkodziło. – Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, jakie reakcje może wywołać zamieszczony na jej profilu facebookowym cytat z Jana Pawła II, ale jestem zdania, że nie straci z tego powodu popularności. Ciężko pracuje, osiągnęła ogromny sukces, a przy tym pozostała zupełnie normalną osobą. Może kilka joginek zrezygnuje z ćwiczenia z nią, ale też wielu ludzi zainteresuje się Chodakowską właśnie z tego powodu, że zmanifestowała swoje poglądy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ewa Chodakowska wiarę w Boga wyniosła z rodzinnego domu. FOT. TOMASZ URBANEK/EAST NEWS

z nią i po tym, jak udało im się zrzucić kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt kilogramów. Chodakowska publikuje je na swoim profilu, chwali i prosi o lajki. Nie szczędi też motywacyjnych wtrętów, przez co niektórzy nazywają ją nawet „Paulo Coelho fitnessu”.

Z Ewą Chodakowską ćwiczą już nie tylko panie z całej Polski, lecz także gwiazdy show-biznesu. Na obozy treningowe z Chodakowską jeżdżą: Małgorzata Rozenek znana jako Perfekcyjna Pani Domu, Agnieszka Woźniak-Starak, prezenterka TVN, i była modelka Karolina Malinowska.

Chodakowska to dziś już nie tylko trenerka, lecz także marka, wielkie przedsięwzięcie biznesowe. Sprzedaje płyty z treningami, książki, organizuje treningi i obozy, wydaje własne czasopismo, proponuje indywidualną dietę. Na jej stronie Bebio.pl można wykupić program z ja-

Antychrześcijańska dyktatura



Tomasz P. Terlikowski

Starcie cywilizacji trwa również w Europie, a jednym z jego elementów jest próba ukształtowania katolików na miarę liberalnej demokracji poprzez zakazywanie im katolickich zachowań

Zderzenie wielkich uniwersalistycznych systemów religijnych czy ideologicznych nie jest wbrew temu, co się sądzi, cechą charakterystyczną tylko krajów Bliskiego Wschodu i Indii. W starciu cywilizacji chrześcijanie uczestniczą także w pozornie tolerancyjnych i promujących wolność religijnych krajach Europy czy w Stanach Zjednoczonych. Tyle że tu z chrześcijanami nie ścierają się muzułmanie, buddyści ani hinduiści, ale... zwolennicy rzekomo promującej wolność sumienia i wyznania liberalnej demokracji. Wiele lat temu przestrzegał przed taką możliwością późniejszy papież, a wówczas prefekt Kongregacji Nauki Wiary, kard. Joseph Ratzinger. „Narasta groźba dyktatury opinii – kto nie trzyma z innymi, ten zostaje odizolowany, dlatego nawet zacni ludzie nie śmiały się już przyznać do takich nonkonformistów. Ewentualna dyktatura antychrześcijańska byłaby przypuszczalnie znacznie subtelniejsza niż wszystko, co dotychczas znaliśmy. Byłaby na pozór przyjazna religii, pod warunkiem jednak, że religia nie tykałaby jej wzorców zachowania i myślenia” – mówił kard. Ratzinger w wywiadzie rzece „Sól ziemi”.

ZAMILCZEĆ SACRUM

I właśnie z takim zjawiskiem mamy coraz częściej do czynienia, także w Polsce. Liberalni, rzekomo, demokraci podkreślają, że oczywiście opowiadają się za wolnością sumienia i głęboko

szanują Kościół, ale... pod warunkiem, że zaakceptuje on w całości wszystkie dogmaty, mity i tabu, jakie wytworzył liberalny świat. Ich naruszenie (nawet jeśli jest w pełni zgodne, a nawet wymagane przez Kościół oraz Ewangelię) jest natychmiast piętnowane jako fanatyzm i fundamentalizm (to chyba obecnie największe grzechy, według przynajmniej kryteriów „świata”), integryzm, zacykanie, średniowieczne myślenie (swoją drogą, akurat tego argumentu używają zazwyczaj ludzie, którzy o tej epoce dziejów nie mają zielonego pojęcia), niewiedza, brak otwartości, tolerancji itd., itp.

Nazbyt naocznie przekonała się o tym choćby Ewa Chodakowska, która na swoim profilu na Facebooku złożyła religijne życzenia w Wielki Piątek. I od razu zaczął się hejt, którego istotą był zarzut, że trenerka niepotrzebnie okazuje swoją wiarę, promuje się na niej (to akurat „opinia” Karoliny Korwin-Piotrowskiej), a do tego narzuca swoim odbiorcom przestarzałe wzorce zachowań i średniowieczne wartości. Sytuacja była tym bardziej kuriozalna, że Chodakowska po prostu złożyła religijne życzenia w religijne święto, czyli okazała swoją wiarę w możliwie najbardziej niekolidujący z niczymi poglądami sposób. Trudno sobie bowiem wyobrazić wielkopiątkowe życzenia, które całkowicie ignorują aspekt religijny. No, chyba żeby wziąć przykład z „Dziennika Gazety Prawnej”, który właśnie w tym dniu składał życzenia „piątkowego zamyślenia”,

nie wyjaśniając, dlaczego niby akurat ten piątek ma być takim czasem, a nie standardowym „piątuniem”, w którym zwyczajnie się imprezuje.

Taki model świętowania chrześcijańskich przeciwieństw z ducha i litery świąt prezentuje się od dawna. Zaczęło się od Bożego Narodzenia, które przekształciło się już dawno w „świętą rodzinę”, „zimowe”, w których główną rolę odgrywa pajac w czerwonych gaciach, z niewiadomych powodów nazywany świętym mikołajem czy Santa Claus (to już komuniści byli uczciwsi, bo nazwali go Dziadkiem Mrozem), a nie rodzący się wówczas, objawiający się światu Jezus. I niechby tylko chrześcijanie czy konkretniej katolicy ośmielili się przypomnieć, że bez Jezusa te święta nie mają sensu – natychmiast na ich głowy posypałyby się gromy, że narzucają innym swój światopogląd, że są nietolerancyjni i naruszają uczucia religijne innowierców. I dlatego w Danii czy nawet we Włoszech coraz częściej nie stawia się już szopek w miejscach publicznych, a bożonarodzeniowe jasełka coraz częściej pozbawione są jakichkolwiek elementów religijnych. Chrześcijanie zaś, w tym coraz częściej niestety także duchowni, coraz śmielej i chętniej uczestniczą w tym procesie.

Najmocniejszym tego przykładem wcale nie jest szwedzka biskupka, która chciała zdejmować krzyże z kościołów luterkańskich, by nie urazić muzułmanów, ale katolicki duchowny z Włoch – ks. Franco Corbo – który, aby nie urazić muzułmanów, zbudował islamsko-imigrancką szopkę. Matka Boża jest w niej ubrana w islamską burkę, a św. Józef w tradycyjny muzułmański strój dla mężczyzny. Na ścianach szopki są napisy: „Obcy won”. – Wszystkie religie i narodowości są poniżane i niszczone przez egoizm zachodniej kultury – podkreśla. Chwilę później wygłasza ślepą pochwałę islamu. – Islam,

■ tak jak każda religia, jest synonimem dla pokoju i braterstwa – oznajmia. A gdy dziennikarz pyta go o ISIS, przekonuje, że nie ma on nic wspólnego z islamem, który jest – a jakże! – religią pokoju i miłości. W ten sposób szopka z narzędzia ewangelizacji (tak pomyślał ją św. Franciszek z Asyżu) staje się narzędziem ideologii lewicy. I niechby ktoś spróbował zaprotestować – od razu zostałby uznany za oszołoma, fanatyka i fundamentalistę.

MORALNOŚĆ SUROWO ZAKAZANA

Jeszcze groźniejsze dla chrześcijan jest głoszenie lub – co gorsza – egzekwowanie (nawet wobec samych siebie) katolickich standardów moralnych. Za to można, najzwyczajniej w świecie, stanąć przed sądem i zostać skazanym. Katolik – a przekonałem się o tym osobiście, gdy sąd zakazał mi wypowiadać się o pewnej osobie, i jej tożsamości płciowej, która działała w partii Palikota – który przypomina, że operacja wycięcia męskich narządów czy pozbawienie kobiety macicy nie zmieniają ich tożsamości płciowej, lecz są jedynie okaleczeniem, musi liczyć się już nie tylko z nagonką medialną (do tego można się przyzwyczaić), lecz także z wyrokiem skazującym. W Polsce zazwyczaj jest to „tylko” zakaz kwestionowania tożsamości płciowej, ale na świecie coraz częściej są to wyroki potężnych grzywien, które kończą działalność publicznych skazanych.

Teraz w Stanach Zjednoczonych jedna z największych i najpotężniejszych organizacji zajmujących się ograniczaniem praw ludzi wierzących, czyli American Civil Liberties Union, złożyła pozew przeciw katolickiemu szpitalowi, który odmówił wycięcia macicy osobie transseksualnej. Chodzi o kobietę, która twierdzi, że jest mężczyzną, i używa imienia oraz nazwiska Evan Minton oraz za pomocą takiego okaleczenia chciała upodobnić się do mężczyzny. Adwokaci ACLU argumentują, że lekarze wycinali macicę z innych powodów, a zatem odmowa wycięcia macicy ze względu na „uzgodnienie płci” jest dyskryminacją ze względu na tożsamość seksualną i płciową Minton. Problem z taką argumentacją jest tylko taki, że lekarze amputują również nogi, ale nie w sytuacji, gdy ktoś twierdzi, że jest wężem, i domaga się uzgodnienia jego gatunku z odczuciami poprzez pozbawienie go kończyn. Sprawa jest tym bardziej skandaliczna,

że szpital, o którym mowa, choć sam odmówił przeprowadzenia okaleczenia, wysłał pacjentkę do innej placówki, która okaleczyła ją zgodnie z życzeniem. Nie było więc mowy o jakimkolwiek problemie, a jedynym powodem, dla którego wytoczono proces, jest – jak podkreśla Bill Donohue z Catholic League – „wojna ACLU z katolickimi szpitalami”. – Im chodzi o to, by naruszyć integralność moralną katolickich placówek i zmusić je do aborcji, sterylizacji oraz okaleczenia, które pozostają w sprzeczności z katolickimi zasadami – podkreśla Donohue.

Absurd? Oczywiście, że tak, ale absurd wpisany w styl działania liberalnych demokratów. Ich celem jest doprowadzenie do sytuacji, w której placówki katolickie będą katolickie jedynie z nazwy, a ich szefostwo, nawet jeśli zachowa ich dawne, piękne religijne nazwy, i tak będzie realizowało wizję moralności właściwą liberalnemu światu. I to się udaje. Kilkanaście dni temu w Belgii doprowadzono do sytuacji,

w której główni przeciwnicy wykonywania eutanazji chorych psychicznie, czyli szpitale prowadzone przez Zgromadzenie Braci Miłosierdzia, ustąpiły ze swojego stanowiska i wydały zgodę, by również w ich katolickich placówkach likwidować ludzi z autyzmem, depresją czy ze schizofrenią.

Do niedawna zgromadzenie było jednym z fundamentów oporu wobec zabijania przez lekarzy osób chorych psychicznie, a jego przełożony generalny, brat René Stockman, jednym z najmocniejszych oponentów eutanazji. To się jednak zmieniło, gdy pod koniec kwietnia tego roku zarząd kontrolujący w Belgii instytucje Braci Miłosierdzia poinformował, że od teraz eutanazja będzie dokonywana także w ich instytucjach. „Poważnie traktujemy beznadziejne cierpienia nie do zniesienia i prośbę pacjentów o eutanazję. Z drugiej jednak strony chcemy chronić życie i zadbać o to, by eutanazja była wykonywana tylko wtedy,



FOT. FOTOLIA



Chodzi o to, by ukształtować nowy model katolika, który będzie w istocie obyczajowym i światopoglądowym liberałem czy lewicowcem i niczym się nie będzie różnił od „otwartego”, „liberalnego nowego człowieka”

gdy nie ma już rozsądnej możliwości wyleczenia pacjenta” – napisali przedstawiciele zgromadzenia na swojej belgijskiej stronie internetowej.

I choć przełożony generalny zgromadzenia jest zszokowany taką decyzją organu zarządzającego szpitalami oraz podkreśla, że nie wolno się zgodzić na to, by w ścianach instytucji zakonnych przeprowadzano eutanazję, to sprawa wydaje się przesądzona, bo nie tylko belgijskie sądy skazały już pierwsze katolickie placówki odmawiające eutanazji, lecz także szef zarządu instytucji zarządzającej szpitalami Braci Miłosierdzia, Raf De Rycke, oznajmił, że zabijanie chorych pacjentów nie jest sprzeczne z etosem Braci Miłosierdzia. Jego zdaniem nie ma też mowy o zmianie opcji. – Chcemy, by nasi pacjenci mieli możliwość wyboru opcji: pro-life albo eutanazji – mówi. I dodaje, że jego zdaniem postawa taka nie jest sprzeczna z tym, czego naucza Franciszek, który mocno sprzeciwia się eutanazji. – Zaczy-

namy od tych samych fundamentalnych wartości: nienaruszalność życia jest dla nas ważnym fundamentem, ale nie jest ona dla nas wartością absolutną. W tej kwestii nadajemy na innych falach niż Rzym – zaznacza De Rycke.

BRONIĆ MAŁŻEŃSTW, ALE HOMOSEKSUALNYCH

Biada też tym katolikom, którzy zdecydują się uczestniczyć w akcjach broniących tradycyjnych wartości. Oni muszą się liczyć z tym, że na ich głowy zwali się absolutny hejt. Gdy moja żona zaczęła bronić życia na forum publicznym czy współorganizować akcje przeciw czarnym marszom, natychmiast facebookowy profil „Sok z Buraka” zaczął formułować absolutnie nieprawdziwe oskarżenia przeciwko niej, sugerując, jakoby usunęła ona ciężę w roku 1993. I choć sprawa jest już w prokuraturze, a „Sok z Buraka” usunął ze swoich stron (pod naciskiem adwokatów) oszczerczy

mem, to nieprawdziwe oskarżenie nadal powraca.

O tym, jak niebezpieczna jest obrona wartości, boleśnie przekonuje się także choćby Dominika Figurska. Gdy wystąpiła z mężem Michałem Chorościńskim w spocie promującym akcję broniącą normalnej rodziny złożonej z mamy, taty i dzieci, a sprzeciwiającym się tzw. małżeństwom homoseksualnym, media zaczęły na wyrywki przypominać jej przeszłość i błędy, pomijając, że później nie tylko zrobiła wszystko, by je naprawić, lecz także odbudowała swoje małżeństwo.

Media zdecydowały się zarzucić jej hipokryzję. Tego zarzutu nikt by jednak nie formułował, gdyby Dominika oznajmiła, że jest za „małżeństwami” homoseksualnymi, albo przekonywała, że katolicyzm ją zniewala. Niestety (z punktu widzenia mediów) Figurska nie tylko się z mężem nawróciła, lecz także otwarcie o tym mówi i propaguje wartości, które przyjęła. A tego nie wolno jej wybaczyć.

Słynna okładka „Newsweeka” z rodziną prezydenta Andrzeja Dudy także była próbą zastraszania ludzi, którzy chcą głosić katolickie poglądy na temat małżeństwa. Tak się bowiem składa, że Renata Grochal swój „wstrząsający” tekst o tym, że prof. Jan Tadeusz Duda prowadził przyszłego prezydenta na roraty, a jakby tego było mało, codziennie się z żoną i dziećmi modlił, opublikowała krótko po tym, jak ojciec prezydenta wystąpił w tym samym spocie na temat małżeństwa, za który oberwało się Figurskiej. Modlitwę może by mu przebaczone, ale występowania przeciw idolom liberalnej opinii i ich ideologicznym przedmiotom wiary już nie.

Wszystkie te działania, odnoszące się zarówno do jednostek, jak i instytucji, mają ten sam cel. Chodzi, w największym skrócie, o to, by ukształtować nowy model katolika, który będzie w istocie obyczajowym i światopoglądowym liberałem czy lewicowcem i niczym się różnił od „otwartego”, „liberalnego nowego człowieka”. W ogromnej większości dokonuje się tego przez wychowanie i edukację, ale – gdy nie przynosi to efektów – stosuje się metody przymusu medialnego czy wręcz prawnego. I tak kształtuje się nowa „antychrześcijańska dyktatura”, przed którą ostrzegał kard. Joseph Ratzinger, późniejszy papież Benedykt XVI. Atak na Chodakowską jest tylko jedną z niewielkich bitew w tej wielkiej walce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z premier Beatą Szydło
rozmawiają
Kamila Baranowska i Piotr Gabryel

Jestem spokojna o przyszłość

KAMILA BARANOWSKA, PIOTR GABRYEL:
Wyjeżdża pani właśnie do Chin. Czy ta wizyta może przynieść przełom w stosunkach polsko-chińskich?

BEATA SZYDŁO: Najistotniejsze jest to, byśmy podpisali umowy na konkretne projekty, i taki jest cel tej wizyty. W ubiegłym roku wizyta przewodniczącego Chińskiej Republiki Ludowej w Polsce, wizyta prezydenta Dudy w Chinach, polsko-chińskie forum gospodarcze, które odbyło się w Warszawie, obudziły ogromne nadzieje i czas to konkretyzować. Razem ze mną do Chin jedzie minister rolnictwa, ponieważ chcemy nawiązać ścisłą współpracę, jeśli chodzi o rynek warzyw, owoców i mięsa. Zależy nam na zacieśnieniu współpracy w dziedzinie turystyki, a także gospodarki wodnej. Do Chin lecą z nami także prezes KGHM, bo kolejna płaszczyzna współpracy to sprawy inwestycyjne, a także nowo powołany pełnomocnik rządu ds. budowy Centralnego Portu Lotniczego. Teraz mogę już zdradzić, że tą osobą będzie pan Mikołaj Wild, który był wcześniej wiceministrem skarbu, zanim resort ten został zlikwidowany. Jeśli bowiem poważnie traktujemy to przedsięwzięcie, to musi to być osoba, która z pełną determinacją ten projekt poprowadzi i skoordynuje. To dla Polski ważny projekt cywilizacyjny, bo w grę wchodzi nie tylko wybudowanie samego portu lotniczego, lecz także całego centrum logistycznego, być może także hubu kolejowego. Oczywiście projekt ten przewidziany jest na wiele lat, chcemy go jednak zapoczątkować jeszcze w tej kadencji.

Prezydent Andrzej Duda zapowiedział organizację referendum w sprawie konstytucji w 2018 r. Podziela pani opinię, że obecna konstytucja wprowadza zamęt w relacjach na szczęblu władzy wykonawczej?

Doświadczam tego osobiście, pełniąc funkcję premiera. Wiem, że te niedopowiedzenia i niedookreślenia w konstytucji mogą prowadzić – jeśli byłyby organy, które nie chcą ze sobą współpracować z powodów politycznych – do bardzo poważnych napięć i kryzysów politycznych. Mam ten komfort, że bardzo dobrze mi się współpracuje z prezydentem Dudą, ale bywają sytuacje, gdy nie jest wyraźnie dookreślone, co należy do których kompetencji. To jeden z przykładów warty dyskusji przy okazji debaty nad możliwymi zmianami konstytucji.

Do którego modelu ustrojowego pani bliżej – kanclerskiego czy prezydenckiego?

Jako premier powinienam powiedzieć, że do kanclerskiego, natomiast prawda jest taka, że jestem zwolennikiem rozpoczęcia poważnej dyskusji na ten temat. To nie jest kwestia, którą w naszym środowisku politycznym podnosimy po raz pierwszy, bo wiele razy mówił o tym Jarosław Kaczyński, o konieczności zmian w konstytucji mówiliśmy też w kampanii wyborczej. Oczywiście, aby tego dokonać, trzeba mieć odpowiednią większość w parlamencie, ale zapowiedź pana prezydenta odczytuję raczej jako wolę rozpoczęcia dyskusji na ten temat. Uważam, że referendum są dobrym narzędziem komunikacji z obywatelami. Chociaż, co niektórzy postrzegają jako niekonsekwencję, jestem w tej chwili przeciwna referendum w sprawie reformy edukacji.

A nie jest to niekonsekwencja?

Gdyby organizatorzy referendum zgłosili swoją inicjatywę przed podpisaniem przez pana prezydenta projektu ustawy, obiema rękami podpisałabym się pod nią. Teraz sytuacja wygląda tak, że reforma rusza 1 września i na tym etapie referendum wprowadziłoby tylko niepotrzebny chaos. Reforma jest wdrażana, samorządy przygotowały sieć szkół, nauczyciele już otrzymują konkretne propozycje pracy, rodzice zaczynają przyzwyczajać się do perspektywy zmian. Nie możemy fundować rodzicom i nauczycielom chaosu oraz niepewności swojego losu. W tej chwili reformę trzeba ze spokojem wprowadzić i oczywiście monitorować oraz analizować.

Jak się pani współpracuje z szefem Rady Europejskiej Donaldem Tuskiem?

Właściwie w ogóle mi się nie współpracuje, bo poza tym, że Donald Tusk organizuje spotkania Rady Europejskiej, jego rola jest mocno ograniczona. Wynika to z tego, że on sam z jednej strony nie ma zbyt wielu kompetencji, a z drugiej nie przejawia specjalnej aktywności, aby samodzielnie kreować politykę europejską. Jeżeli pytają państwo o to, czy Donald Tusk próbuje być bezstronny, to odpowiadam, że nie jest bezstronny. Bezstronność szefa Rady Europejskiej nie polega na tym, że siedząc za stołem w Brukseli, udziela każdemu po kolei głosu, lecz na tym, że w ważnych sprawach nie angażował się w wewnętrzną walkę polityczną w państwach członkowskich. Tymczasem Tusk angażował się w grudniu ubiegłego roku, gdy był politykiem aktywnie wspierającym wymierzony przeciwko

polskiemu rządowi protest – dał wtedy jasny sygnał, że oto przyjechał z Brukseli polityczny lider opozycji. Niedawna wizyta 19 kwietnia w Warszawie tylko potwierdziła to, że realizuje swój polityczny projekt i chce stanąć na czele opozycji.

Czy sytuacja, w której ważne unijne stanowiska zajmują liderzy opozycji, skłócenia z własnymi rządami, może się w przyszłości powtórzyć?

Dla mnie jest niedopuszczalne, by na ważne stanowiska unijne była wybierana osoba, która nie ma poparcia swojego rządu. I mówiłam moim kolegom z innych państw, że niedługo sami mogą znaleźć się w podobnej sytuacji. Postąpiłam słusznie i pokazałam, że jestem jedynym premierem, który potrafi uczciwie powiedzieć prawdę. Moi koledzy doskonale wiedzieli, że mam rację, tylko Tusk z powodu sieci powiązań i różnych układów, interesów rządzących Unią był dla nich wygodny. Myślę, że w bardzo krótkim czasie refleksja, jak duży był to błąd, pojawi się u moich kolegów. Zresztą po wyborze Tuska było poczucie, że stało się coś nie tak, stąd decyzja, że w ciągu pół roku Rada Europejska przyjmie ścisłe warunki powoływania osób na ważne stanowiska.

Tak z czysto politycznego punktu widzenia – twarde upieranie się przy sprzeciwie wobec Tuska i stawianie sprawy na ostrzu noża nie było poważnym błędem?

Przyznaję, że jeszcze do 19 kwietnia miałam pewne wątpliwości, czy rzeczywiście tak zdecydowane przeciwstawienie się miało sens, że być może należało się wstrzymać od głosu, bo to, że nie możemy poprzeć jego kandydatury, było oczywiste. Trudno wyobrazić sobie, by polski rząd popierał kandydata, który stoi w opozycji do niego. Jednak w momencie, gdy zobaczyłam ten cały show, jaki Donald Tusk zrobił z przyjazdu do Warszawy na przesłuchanie w prokuraturze, moje wątpliwości zniknęły. Stało się jasne, że Tusk ma własny projekt polityczny i bez względu na to, jak byśmy się zachowali, i tak realizowałby swój plan. Niestety, w tym planie nie ma interesu Polski, tu chodzi tylko o jego indywidualną karierę.

Nawet jeśli, to jego reaktywacja na krajowej scenie politycznej została mocno przyspieszona, co przełożyło się na spadki PiS i wzrost Platformy w sondażach.

Nie jesteśmy w kampanii wyborczej, więc podchodzę do tych wyników ze spokojem. Sondaże są ważne i trzeba się im

■ przyglądać, choć te ostatnie są zastanawiające, zwłaszcza że ta sama pracownia w odstępie kilku dni publikowała różniące się od siebie badania. Dla mnie najważniejsze jest to, by skoncentrować się na pracy, usunąć błędy, które popełniamy, wyciągnąć wnioski z tego, co nam nie wychodzi, poprawić i zrealizować to, na co umówiliśmy się z Polakami. Najważniejszym sondażem będą wybory. Jestem przekonana, że Polacy docenią zmiany, które wprowadzamy.

Pani premier mówi o usuwaniu błędów i wyciąganiu wniosków. Czy dotyczy to także, a może przede wszystkim napięć wewnątrz rządu, do których coraz częściej dochodzi?

Pamiętajmy, że Platforma zjada Nowoczesną, która oscyluje już w granicach progu wyborczego. Co oczywiście nie znaczy, że my nie musimy patrzeć na to, co się dzieje z naszym zapleczem. Napięcia między ministrami są rzeczą naturalną. Są elementem dyskusji, wymiany argumentów. To normalne. Powołaliśmy Komitet Ekonomiczny, aby już na etapie rządowym te różnice zdań wyłapywać i wypracowywać wspólne stanowisko w sprawach gospodarczych. Przy czym nie oszukujmy się – nie zawsze jest to możliwe. Natomiast niestety często dzieje się tak, że te emocje wylewają się poza rząd i na to zgody być nie może.

Dlatego po słowach minister Anny Streżyńskiej, w których skrytykowała niektóre pomysły rządu, wezwała pani ministrów na dywanik?

To nie było spotkanie zwołane nagle, było zapowiedziane dużo wcześniej, zbiegło się jedynie w czasie z wypowiedzią pani minister i zostało odebrane jako odpowiedź na jej słowa. Dementuję: to nie było spotkanie kierowane do konkretnego ministra. Na tej naradzie mówiłam o ważnych dla mnie kwestiach – o dyscyplinie medialnej i legislacyjnej, o wzajemnym komunikowaniu się, o lojalności ministrów wobec siebie nawzajem. Ministrów, którzy zbyt łatwo oraz zbyt chętnie biegali do mediów i opowiadali różne rzeczy, mamy wielu i ustaliliśmy, że trzeba z tym skończyć. Jeśli te ustalenia nie będą respektowane, to będą musiała wyciągnąć wnioski.

Nie ma pani poczucia, że po 17 miesiącach rządzenia szwankuje konstrukcja dwóch ośrodków decyzyjnych? Ministrów musi dyscyplinować osobno pani premier i osobno prezes Jarosław Kaczyński.

Jesteśmy rządem Prawa i Sprawiedliwości i oprócz spotkań z liderem partii Jarosławem Kaczyńskim regularnie

uczestniczę także w spotkaniach kierownictwa partii. Nie widzę w tym niczego nadzwyczajnego, nie ma rządów bezpartyjnych, rząd jest tworzony przez partię po to, by realizować program tej partii, a więc ośrodek jest jeden, wspólny.

Można odnieść wrażenie, że realizując ów program i obietnice wyborcze, rząd otwiera zbyt dużo frontów naraz, zniechęcając do siebie wyborców, którzy nie lubią wielkich zmian. Może PiS zbyt wiele ludziom obiecał?

Naruszyliśmy wiele interesów różnych grup, ale jeżeli chcemy zmieniać Polskę, to nie ma innego wyjścia. Dyskusja, czy dałoby się wprowadzać te reformy szybciej, czy nie można z części zrezygnować, będzie się zawsze toczyła. Zmiany, które wprowadzamy, były oczekiwane przez ludzi. Edukacja, służba zdrowia, sądy, wiek emerytalny, bezpieczeństwo – te tematy pojawiały się zawsze na naszych spotkaniach wyborczych. Mam poczucie, że nasze zmiany wpisują się w oczekiwania obywateli, nie wpisują się za to w oczekiwania elit, które zawłaszczyły pewne obszary życia publicznego, i kiedy teraz są z nich wypychane, budzi to ich sprzeciw.

Koszty wizerunkowe w związku z reformami to jedno, ale większe koszty wizerunkowe rząd ponosi w związku ze sprawami, które nie powinny się wydarzyć, takimi jak serial dotyczący pana Misiewicza czy zapowiedzi niedopracowanych ustaw, które są wycofywane, tak jak np. ustawa metropolitalna.

Mamy tego świadomość i będziemy z tego wyciągać wnioski. Na to kładę nacisk w rozmowach z ministrami, to samo powinno też dotyczyć posłów. Najpierw przyjęcie pewnych rozwiązań i ich uzgodnienie. Dopiero wtedy, gdy są już ostatecznie dopracowane, można je przedstawiać opinii publicznej. Do tej pory niekoniecznie ta kolejność była zachowana.

Rząd już wie, że realizacja niektórych obietnic wyborczych będzie kosztowna, dlatego obniżając wiek emerytalny, jednocześnie zachęca ludzi, by pracowali dłużej. Nie lepiej po prostu zrezygnować z tej reformy?

Uważam, że powrót do poprzedniego wieku emerytalnego należał się ludziom, bo tej zmiany poprzedni rząd PO-PSL dokonał bez najmniejszego szacunku dla obywateli, bez konsultacji, bez pytania o zdanie kogokolwiek, przegłosowując ją bardzo szybko. Naszym celem było to, aby każdy mógł decydować o tym, jak długo chce i jest w stanie pracować.

Oczywiście zastanawiamy się nad tym, jakie zachęty zastosować, by ci, którzy chcą i mogą dłużej pracować, nie zrezygnowali z zatrudnienia, bo dzięki temu będą mieli wyższe emerytury. Wysokość emerytur jest dziś poważnym problemem, choć staramy się wprowadzać pozytywne zmiany i w tym obszarze. Jeśli chodzi o finanse publiczne, to jestem spokojna o przyszłość tego, co robimy, bo znam już w tej chwili plan budżetu na rok 2018 i prognozy na lata 2019 i 2020.

Zatem mylą się ci, którzy twierdzą, że przywrócenie wieku emerytalnego będzie kosztowało podatników kilka miliardów w tym roku i 10 mld w przyszłym?

W tej sprawie mam zaufanie do mojego ministra finansów Mateusza Morawieckiego, który mówi, że możemy być spokojni, jeżeli chodzi o sytuację budżetu. Zresztą z naszych analiz jednoznacznie wynika, że finanse publiczne są w bardzo dobrej kondycji, co jest efektem m.in. bardzo dobrych wyników gospodarczych.

Pod koniec ubiegłego roku nasz dług publiczny wyniósł 54 proc. PKB, mierzymy w stronę 55 proc., przed nami granica 60 proc. Nie boi się pani z jednej strony o konstytucyjną barierę, a z drugiej o kondycję polskich finansów publicznych?

Finanse publiczne są pod kontrolą. Nie wiem, skąd pan redaktor ma takie informacje, że dług publiczny będzie rósł, bo według wszelkich naszych analiz z roku na rok będzie się zmniejszał. Inne kraje europejskie, szczególnie te z południa Europy, mogą nam takiej kondycji finansów pozazdrościć. Wdrażamy ambitne reformy, ale jednocześnie realizujemy wiele innych działań uszczelniających np. system podatkowy, które przyczyniają się do wzrostu wpływów do budżetu.

Jesteśmy jedną z najszybciej rozwijających się gospodarek w Unii Europejskiej. Wskaźniki gospodarcze Polski są w tej chwili bardzo dobre. Nawet nasi oponenci przyznają, że być może Polska osiągnie w tym roku wzrost na poziomie 4 proc. PKB. Projekt programu PiS jest dokładnie policzony. Jesteśmy rozsądną ekipą, która chce dynamicznie pobudzać gospodarkę. Myślimy o wzroście gospodarczym, o stabilności finansów i jednocześnie o realizacji obietnic społecznych, tak by to wszystko razem współgrało.

Czy podobnie gwarantem powodzenia modernizacji armii jest minister Antoni Macierewicz? Kiedy polska armia będzie na tyle uzbrojona, że nie

będziemy musieli liczyć głównie na sojuszników? Co ze śmigłowcami? Co z systemem obrony przeciwrakietowej? Co z obroną terytorialną?

Jeśli chodzi o przetargi, to ja również oczekuję, że te rozstrzygnięcia wreszcie zapadną. Sprawę caracali uważam za zamkniętą, umowa nie została podpisana, bo była niekorzystna dla Polski. W tej chwili minister obrony stoi przed wyzwaniem, aby przyspieszyć nie tylko kwestię śmigłowców, lecz także pozostałych planowanych przetargów. Mam nadzieję, że do końca roku te plany zostaną zrealizowane, i myślę, że determinacja ministra Macierewicza, by wzmocnić polską armię, jest na tyle duża, iż tak się stanie. Jest propozycja, by zwiększyć nakłady na armię, ale o tym więcej powiemy przy okazji przygotowania budżetu na rok 2018.

Skoro jesteśmy przy resorcie obrony – czy w obozie rządzącym nie ma poczucia, że Antoni Macierewicz staje się wizerunkowym obciążeniem dla rządu?

Antoni Macierewicz na pewno jest najbardziej atakowanym ministrem w rządzie. Jest osobą dynamiczną, ekspresyjną, ale naruszył bardzo wiele interesów nie tylko jako szef MON, lecz także jako osoba, która od lat próbuje wyjaśnić to, co wydarzyło się w Smoleńsku. Fala hejtu, która się na niego wylewa, rozpowszechnianie różnego rodzaju informacji nie zawsze sprawdzonych i nieprawdziwych to rzecz niebywała. Stąd później odczucie niektórych, że jest politykiem, który popełnia same błędy czy z którym są jakieś kłopoty wizerunkowe. Co oczywiście nie oznacza, że jak każdy minister w rządzie nie musi

mieli w tych negocjacjach? Co z rozbudową gazoportu i wreszcie – czy są szanse na Baltic Pipe?

Robimy wszystko, abyśmy nie musieli działać w warunkach jakiegokolwiek presji. Zarówno rozbudowa gazoportu, jak i projekt Baltic Pipe są bardzo realne. Nie mogę dziś mówić o szczegółach. W ostatnich tygodniach odbyłam sporo rozmów z premierem Danii. Oba stronom zależy na tym, aby ten projekt doprowadzić do końca, teraz trwają negocjacje i mam nadzieję, że już niedługo będziemy mogli zakomunikować dobre wiadomości. Mamy też alternatywny plan, gdyby projekt Baltic Pipe w określonym terminie nie został zrealizowany. Dywersyfikacja źródeł dostaw gazu jest ważnym punktem w naszym planie.

Czy widzi pani jakiegokolwiek szanse na zablokowanie niekorzystnego dla Polski projektu Nord Stream II?

Nie jesteśmy sami, budujemy silną koalicję państw Unii, które sprzeciwiają się temu projektowi. Oczywiście to nie jest łatwe, kluczem są tu Niemcy. Na każdym spotkaniu z panią kanclerz Merkel poruszam ten temat. Ona stoi na stanowisku, że to problem biznesowy. Ja zawsze odpowiadam, że jednak polityczny. Zapewniam jednak, że nasza aktywność w tej kwestii nie jest zakończona. Dużą rolę ma tutaj do odegrania Komisja Europejska.

Rozmawiamy, nie znając wyników II tury wyborów prezydenckich we Francji. Jak pani odebrała słowa Emmanuela Macrona, który stwierdził, że Polska nie jest ustrojem „otwartej i wolnej demokracji”?

Polityk, który ubiega się o ważne funkcje, powinien bardziej ważyć słowa. Macron wypowiedział się nieodpowiedzialnie. Tendencja pokazywania, że tutaj jest lepsza Europa, a wy jesteście gdzieś na uboczu, panująca wśród polityków starej Unii, jest niepokojąca. To próba budowy Europy dwóch prędkości i to, że udaje się w tej chwili temu przeciwstawić, to kwestia determinacji Europy Środkowej. Jeśli nie będzie opamiętania, jeśli nie zmieni się ta narracja, to projekt europejski będzie miał coraz większe problemy. Polska będzie współpracować z prezydentem Francji i uszanujemy każdy wybór Francuzów. Jeśli będzie to pan Macron, to chętnie zaproszę go do naszego kraju, by zobaczył, jak dobrze ma się Polska i jak bezpiecznym, demokratycznym jest państwem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK

Platforma mówiła o 70 śmigłowcach, potem była mowa o 50, teraz już mówimy o kilkunastu. Czy Polska ma pieniądze na uzbrojenie armii?

Mamy pieniądze i chcemy, aby pieniądze przeznaczone na uzbrojenie polskiej armii również pracowały na rozwój polskiej gospodarki, by były wydawane w polskich zakładach. To ważny elementów Planu na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Przy czym proszę mi wierzyć, że to nie są łatwe przetargi ani łatwe zakupy, czego dowodem jest choćby zakup samolotów dla VIP-ów. Wydawało się, że w ostatnim momencie nie dojdzie do skutku, bo były problemy z firmami, które stanęły do przetargów. Determinacja ministerstwa doprowadziła do tego, że sprawę pomyślnie zakończono i na podobną determinację liczę także przy kolejnych decyzjach.

się pilnować, by błędów nie popełniać, bo i jemu się to zdarzało.

Bywa, że odczucia wyborców są decydujące. Sprawa Misiewicza może okazać się ważniejsza od dobrych wskaźników gospodarczych. W 2007 r. PiS przegrywał wybory przy bardzo dobrej sytuacji gospodarczej.

Staram się bardzo wnikliwie analizować tamten czas i wyciągać wnioski, bo rzeczywiście to był bardzo dobry okres dla polskiej gospodarki i niestety PiS przegrał przyspieszone, ze względu na bardzo trudną koalicję, wybory. Mam tego świadomość i próbuję tę świadomość zakorzenić także u moich ministrów.

Zbliża się czas ewentualnych rozmów z Rosją na temat umowy gazowej. Jaką pozycję będziemy



Bezzałogowce to sprzęt, bez którego coraz trudniej obejść się na współczesnym polu walki. Polska Grupa Zbrojeniowa wychodzi naprzeciw potrzebom Sił Zbrojnych i oferuje im kilka rodzajów nowoczesnych dronów

Współczesne pole walki dynamicznie ewoluuje, a punkt docelowy tych zmian jest trudny do przewidzenia. Wiadomo jednak, że kluczową determinantą modyfikacji prowadzenia operacji militarnych i rozpoznawczych jest postęp technologiczny. To nie liczba żołnierzy czy ciężkiego sprzętu zapewnia dziś przewagę taktyczną, lecz przede wszystkim stopień implementacji w armii sprzętu wykorzystującego najnowocześniejsze technologie. Systemy satelitarne, platformy kosmiczne, cybertechnologie, nowoczesne środki walki radioelektronicznej czy bezzałogowe statki powietrzne – to technologie, które w dużej mierze decydują o skuteczności operacji prowadzonych przez nowoczesne armie.

BEZZAŁOGOWE KOMPETENCJE POLSKIEGO PRZEMYSŁU

Narodowy koncern obronny Polska Grupa Zbrojeniowa dysponuje potencjałem technologicznym do produkcji nowoczesnych bezzałogowców. PGZ ma w ofercie wiele dronów: od statków pionowego startu i lądowania do taktycznych dronów średniego zasięgu. Oferta bezzałogowców Polskiej Grupy Zbrojeniowej po raz pierwszy została zaprezentowana w lipcu ub.r. podczas dynamicznego pokazu, który odbył się na terenie Badań Dynamicznych

Drony z polskich



Drony Neox i Atrax kupione przez dęblską Szkołę Orłąt FOT. PGZ SA

Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia w Drawsku Pomorskim. Kilka miesięcy później, w listopadzie ub.r., w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 2 w Bydgoszczy Polska Grupa Zbrojeniowa utworzyła Centrum Kompetencyjne Systemów Bezzałogowych Statków

Powietrznych. To jednostka koordynująca prace nad innowacyjnymi systemami bezzałogowymi na poziomie Grupy Kapitałowej PGZ. Celem utworzenia Centrum w Bydgoszczy jest wskazanie lidera technicznego i koordynatora wszystkich projektów związanych z bezzałogowymi



Dron E-310 na wyrzutni startowej FOT. PGZ SA

fabryk

statkami powietrznymi, jakie prowadzone są przez zakłady skonsolidowane w ramach Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Prace realizowane przez Centrum Kompetencyjne wykorzystują potencjał projektowy i produkcyjny spółek z Grupy PGZ.

– Wojskowe Zakłady Lotnicze nr 2 w Bydgoszczy to zakład, który szczególnie dobrze realizuje zadania wyznaczone przez Ministerstwo Obrony Narodowej. Jestem pod wielkim wrażeniem bydgoskich zakładów nie tylko z powodu imponujących działań na rzecz Sił Zbrojnych, lecz także dlatego, że stale rozszerzają one swoją ofertę o produkcję dla innych służb mundurowych oraz na rynek cywilny. Utworzenie Centrum Kompetencyjnego bezzałogowców w Bydgoszczy oznacza, że WZL-2 będą integratorem innowacyjnych technologii w tym zakresie dla całej Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Stwarza to perspektywę wieloletniego rozwoju dla bydgoskich zakładów oraz wyjścia z polskimi produktami na rynki zagraniczne w okresie już po realizacji Planu Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych

– powiedział sekretarz stanu w resorcie obrony Bartosz Kownacki podczas oficjalnej uroczystości związanej z utworzeniem Centrum.

– Tworząc Centrum Kompetencyjne Systemów BSP, stwarzamy doskonałe warunki do pracy dla polskich projektantów i konstruktorów. Centrum będzie miejscem, gdzie przedstawiciele świata nauki i przemysłu obronnego będą wspólnie pracować nad innowacyjnymi rozwiązaniami technologicznymi, nad nowatorskimi projektami w pełni polskich bezzałogowców. Rozwijanie innowacyjnych technologii w oparciu o polską myśl technologiczną to jeden z priorytetów Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Jestem przekonany, że te wysiłki już wkrótce zaowocują nowoczesnymi produktami przeznaczonymi nie tylko dla Sił Zbrojnych RP, lecz także na rynek cywilny – podkreślił wiceprezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej Maciej Lew-Mirski podczas tej samej uroczystości.

PGZ GOTOWA DO PRODUKCJI DRONÓW

Wyposażenie polskich Sił Zbrojnych – także nowo formowanych Wojsk Obrony Terytorialnej – w systemy bezzałogowe to jeden z priorytetów kierownictwa Ministerstwa Obrony Narodowej. Polska Grupa Zbrojeniowa, która jest podstawowym partnerem resortu obrony w zakresie zabezpieczenia dostaw sprzętu i uzbrojenia dla wojska, jest gotowa do realizacji zadań wytyczonych jej przez ministerstwo. Dotyczy to także dostaw bezzałogowych statków powietrznych dla Sił Zbrojnych RP. W tym zakresie oferta Polskiej Grupy Zbrojeniowej jest szeroka i kompleksowa.

PGZ w konsorcjum z Instytutem Technicznym Wojsk Lotniczych już teraz produkuje drony kategorii mikro. Chodzi o drony z rodziny Atrax. To bezzałogowce pionowego startu i lądowania, zaprojektowane z myślą o realizacji militarnych działań kinetycznych. Bezzałogowce tego typu mogą wykorzystywać uzbrojenie konwencjonalne, np. granaty czy kumulacyjne ładunki wybuchowe.

Polska Grupa Zbrojeniowa, również w konsorcjum z Instytutem Technicznym Wojsk Lotniczych, ma w ofercie także drony kategorii mini. To bezzałogowce NeoX C – przeznaczone do zadań rozpoznawczych, a także wyposażone w głowicę bojową z ładunkiem kumulacyjnym NeoX S, które zostały zaprojektowane do zadań

rozpoznawczo-uderzeniowych. Bezzałogowce typu Neox Polska Grupa Zbrojeniowa oferuje Siłom Zbrojnym w ramach programu o kryptonimie Wizjer.

Drony Neox i Atrax zostały kupione w przetargu otwartym przez Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych w Dęblinie, gdzie są one wykorzystywane do szkolenia żołnierzy-operatorów bezzałogowców. Na polskich dronach szkolić się będą żołnierze nie tylko Sił Zbrojnych RP, lecz także innych państw członkowskich NATO.

Inny program dotyczący bezzałogowych statków powietrznych, ujęty w Planie Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych, nosi kryptonim Orlik. Dotyczy on pozyskania dronów taktycznych krótkiego zasięgu. W tym zakresie konsorcjum PGZ SA, Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 2, spółki PIT-RADWAR oraz Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych oferuje polskiemu wojsku dron o roboczej nazwie E-310. Kolejne testy tego systemu potwierdzają wysokie zaawansowanie technologiczne wdrażanych rozwiązań oraz spełnienie wymagań stawianych bezzałogowcom tej kategorii. E-310 wyposażony jest w głowicę z kamerami elektrooptycznymi i na podczerwień wraz z systemem łączności i przekazywania danych. To statek, który legitymuje się ponad 200-godzinnyim nalotem w warunkach zbliżonych do realiów współczesnego pola walki.

Na tym jednak nie koniec. Polska Grupa Zbrojeniowa przygotowuje także ofertę bezzałogowców w ramach programu „Gryf” oraz programu „Zefir”. Z analiz PGZ wynika, że BSP typu „Gryf” powinny być częścią składową narodowego systemu dowodzenia i analizy danych. Wymagają one produkcji i serwisowania przez doświadczoną kadrę specjalistów. Polska Grupa Zbrojeniowa już teraz ma kompetencje i potencjał ludzki, żeby zrealizować rozwój, produkcję oraz serwisowanie tych dronów w oparciu o krajowy przemysł. W grę wchodzi także współpraca z koncernami zagranicznymi. Z kolei w ramach programu „Zefir” PGZ SA uczestniczyła w dialogu technicznym i opracowaniu założeń do umowy offsetowej z potencjalnym dostawcą zagranicznym. Dialog prowadziło Biuro Offsetowe MON. W przebiegu tego procesu Polska Grupa Zbrojeniowa została zdefiniowana przez resort obrony jako główny offsetobiorca ze strony polskiego przemysłu obronnego.



Rafał A. Ziemkiewicz

Platforma podgrzewała atmosferę przed „proeuropejską” demonstracją w stolicy. Trudno, by nie użyła do tego także sondaży

W jednej z najgłośniejszych scen powieści Witolda Gombrowicza „Ferdydurke” chłopcy rywalizujący o przywództwo w klasie staczają pojedynkę na miny. Trudno było oprzeć się temu skojarzeniu, kiedy się obserwowało kwietniowy pojedynek na sondaże prowadzony między anty- i prorządowymi mediami. Zdaniem jednych polityków i mediów dowodzący, że władza PiS upada, zdaniem innych – że ma się doskonale.

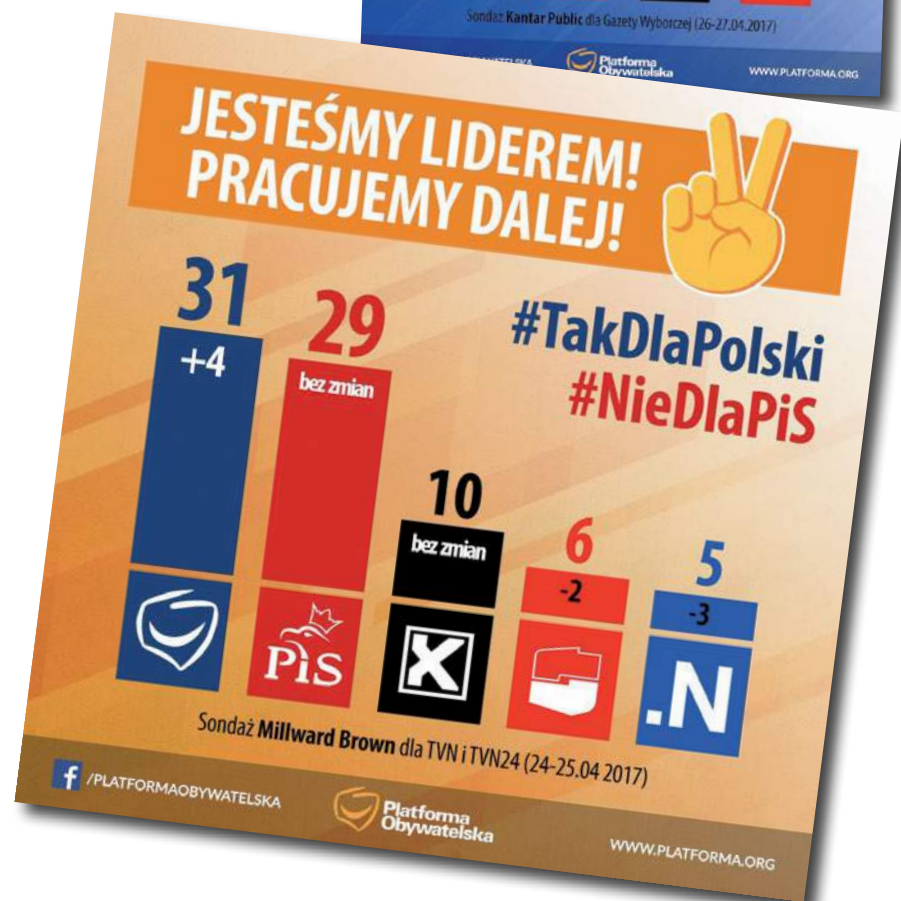
SERIA SENSACJI

Serię sondażowych sensacji rozpoczęło badanie wykonane przez pracownię Kantar dla „Gazety Wyborczej” pod koniec marca – z wynikiem 27:24 dla PiS dał on asumpt do ogłoszenia, że partia Schetyny „dogania” partię Kaczyńskiego. Wynik wskazywał istotnie na dużą zmianę nastrojów społecznych w porównaniu z sondażem tej samej pracowni z połowy marca, w którym PiS „wyceniono” jeszcze na 35 proc., a PO na 21.

Tydzień później, na początku kwietnia, w sondażu dla TVN, Kantar ustalił proporcje na 29:27, wciąż na korzyść PiS. Po prawej stronie Internetu i w związanych z PiS mediach wywołało to objawy lekkiej paniki, którą pozwoliłem sobie skomentować w felietonie dobrą radą: najlepszą radą na słabe notowania jest zamówienie własnych sondaży przeciwko sondażom opozycji. Nie wiem, czy za moją radą, czy wiedząc to bez niej, portal wPolityce.pl istotnie sondaż taki zamówił – w tej samej pracowni Kantar. I mógł ogłosić z uspokajającym komentarzem, że kryzys był chwilowy, gdyż poparcie dla PiS wynosi 35 proc, a dla PO tylko 26. Jednak już tydzień później, 14 kwietnia, zostaje opublikowany sondaż Kantar dla „Gazety Wyborczej”, a w nim PO znowu jest tylko o jeden punktka za PiS – 28 do 27 proc. Po kilku dniach znowu sensacja: PiS dosłownie miażdży PO niemal dwukrotną przewagą – według badania Kantar z 20 kwietnia na PiS głosować chce 38 proc. badanych, a na PO tylko 19 proc.



PO fetowała każdy z sondaży, w którym odnotowywano jej wzrost – czyli te zamawiane przez TVN czy „Gazetę Wyborczą”



Kwiecień miesiącem sondaży

Radosną fiestę w PiS przerywa jednak sondażowa sensacja z 26 kwietnia: w kolejnym sondażu Kantar, tym razem dla „Faktów” TVN, PO po raz pierwszy od wielu miesięcy odnotowuje większe poparcie niż PiS, wygrywając w stosunku 31 do 29. Sukces PO potwierdza dwa dni później sondaż Kantar dla „Gazety Wyborczej” – z mniejszą przewagą, bo 28 do 27, ale jednak Schetyna wygrywa. „To już trend?” – dopytuje się z nadzieją „Wyborcza”. Odpowiedź wypada niejednoznacznie, bo nazajutrz kolejny sondaż Kantar dla „Wiadomości” TVP (z 29 kwietnia) przywraca poprzednią kolejność: PiS – 31 proc., PO – 29.

Dla skrótu ograniczam tu streszczenie sondażowego kwietnia tylko do dokonani pracowni Kantar Public, Kantar TNS i Kantar Millward Brown. W wojnie na sondaże uczestniczyły jednak także inne pracownice, przede wszystkim zawsze przodujący w ogłaszaniu sensacji IBRIŚ (ten sam, który ogłosił pięć miesięcy temu, że najpopularniejszą partią w Polsce jest Nowoczesna, a dawno temu zasłynął ogłoszeniem, iż gdyby Republikanie Przemysław Wiplera wystartowali jako osobna siła polityczna, poparłoby ich 19 proc. wyborców) czy starające się mu w tym nie ustępować IPSOS oraz Pollster. Sensacje przyniosły nie tylko badania preferencji partyjnych – równoległe z wyjściem w tym wyścigu na prowadzenie PO ogłoszono, że Andrzej Duda przegrałby w wyborach prezydenckich z Donaldem Tuskiem. Oczywiście natychmiast pojawiły się inne sondaże, według których nie przegrałby.

Zjawisko nie jest nowe, ale w ostatnim miesiącu zasypywanie czytelników, widzów i internautów sondażowymi jednodniowymi sensacjami przybrało rozmiary dotąd niespotykane. Pracownice, jak przywoływane tu firmy spod wspólnego brandu Kantar, dosłownie dwoiły się i troiły, by sprostać zamówieniom kolejnych mediów. Sugestia, że zamówienia obejmowały nie tylko samo przeprowadzenie sondażu, lecz także uzyskanie w nim wyniku pasującego do linii politycznej medium, mogłaby zostać uznana za insynuację – ale obserwując, jak nawet te same pracownice przynoszą z dnia na dzień diametralnie różne wyniki, w zależności od tego, czy płacą ITI z Agorą, czy spółka Fatria, trudno się takiego podejrzania pozbyć.

Pracownice w każdym razie mogą sobie pozwolić na wiele. Do wyborów daleko, więc rysowanych przez nie słupeków i tak nikt w żaden sposób nie zweryfikuje –

chyba że pokazaniem innych słupeków czy pasków, które jednak warto będą tyle samo co te pierwsze. Odbiorca, jak w każdej innej sprawie, sam zadecyduje, w co chce wierzyć – w to, że władza PiS jest przez społeczeństwo odrzucana, czy wręcz przeciwnie, że od 20 lat żaden rząd nie miał po tak długim czasie sprawowania władzy równie wysokich ocen jak gabinet Beaty Szydło (bo i taki sondaż w minionym miesiącu ogłoszono). Ewentualnie machnie na wszystko ręką.

PLAN PLATFORMY

Skąd to wzmożenie? Wydaje się, że praprzyczyną sondażowego ożywienia był polityczny plan PO, stawiający na wielką, „proeuropejską” demonstrację 6 maja w Warszawie. Grzegorz Schetyna nie był oczywiście tak naiwny, by uważać, że nawet, gdyby rzeczywiście udało mu się ściągnąć do Warszawy ćwierć miliona maszerujących, którą to liczbę puścił w świat rządzony przez PO warszawski ratusz po marszu ubiegłorocznym (PO zresztą uparcie się jej trzyma, mimo iż nawet wierna mu „Wyborcza” uznała ją za pięciokrotnie zawyżoną), w żaden sposób nie wstrząsnie to sceną polityczną ani nie przekona do opozycji zwolenników władzy. Oczywiście dla komentatorów celem demonstracji było skonsumowanie upadku Nowoczesnej i KOD. Platforma chciała udowodnić, że wbrew snutom przez ostatni rok w mediach obozu III RP dywagacjom, tylko ona jest poważną, silną opozycją wobec PiS, tylko ona może odebrać Kaczyńskiemu władzę, zatem wszelka dalsza krytyka PO i jej rządów czy sugestie, że powinna się ona zmienić, są agenturalną dywersją kryptozwolenników Kaczyńskiego.

W tym celu demonstracja PO musiała przyćmić wcześniejse imprezy organizowane przez KOD z udziałem Nowoczesnej. Także tę „największą w dziejach III RP”, „ćwierćmilionową”, którą 7 maja 2016 r. zorganizowała kosztem kilku milionów złotych i siłami swych biur poselskich sama PO, ale wobec jej ówczesnej słabości i niechęci „wajchowych” z antypisowskich mediów propagandowy efekt skonsumowała wtedy konkurencja. Tym razem sukces miał być jednoznacznie sukcesem PO, kończącym okres sporów o dominację w obozie „opozycji totalnej”, partia nie szczędziła więc pieniędzy na billboardy, oklejanie reklamami Marszu Wolności od zewnątrz i od wewnątrz warszawskich autobusów oraz tramwa-

jów oraz zasypywanie zaproszeniami skrzynek pocztowych, dbając o należyte wyeksponowanie na wszystkich tych reklamach swojego logo. Trudno podejrzewać, żeby uruchamiając cały posiadany potencjał, zapomniała o tak istotnym narzędziu jak sondaże.

Dla każdego, kto zastanowi się nad sytuacją „opozycji totalnej”, musi być oczywiste, że jej największym problemem jest dziś zniechęcenie. Liczebność kolejnych protestów, zbyt częstych i słabo przygotowanych, spada tak, że niektóre (np. demonstracja pod Sądem Najwyższym) wyszły już po prostu groteskowo. Na rozczarowanie przywódcami nałożył się demobilizujący brak wyrażonych efektów. Wyborca antypisu, miesiącami podtrzymywany w nadziei, że rząd PiS za chwilę zostanie zmuszony do odejścia, znużył się jałowością nieustannej hysterii, popadł w depresję i marazm. Sukces manifestacji ulicznej wymaga pchnięcia w niego choć na kilka tygodni nowej nadziei, wprawienia w przekonanie, że karta się odwraca i warto znowu rzucić się „do walki”.

Właśnie ten efekt miały dać sondaże – o tyle dla PO same z siebie życzliwe, że odnotowujące słabość Nowoczesnej, którą wystarczało tylko odpowiednią metodologią i „dowadzaniami” należycie podkreślić, aby stworzyć wrażenie (stwarzanie wrażenia stało się bowiem w czasach postpolityki równie ważne, a nawet ważniejsze od tworzenia faktów), że Tusk znowu jest najpopularniejszym w Polsce politykiem, a PO po „zjedzeniu” Nowoczesnej najpopularniejszą partią. Nie wzięto tylko pod uwagę, że w ten wewnętrzny spór opozycji wmiesza się PiS, atakując kontrsondażami, a nawet lustrując (ustami Pawła Szefernackera) jednego z szefów sondażowni dostarczającej PO propagandowej amunicji.

Tymczasem z dokonanego przez Marcina Paladego zestawienia średniej wszystkich ogłoszonych w kwietniu sondaży z wynikami wyborów parlamentarnych w 2015 r. wynika, że nic się w nastrojach Polaków nie zmieniło – wzrosty i spadki poszczególnych partii od tego czasu mieszczą się w granicach błędu statystycznego, względnie tylko nieznacznie go przekraczają.

Jak pamięta bowiem każdy czytelnik Gombrowicza, pojedynek na miny nie przyniósł rozstrzygnięcia. Potrzeba było dopiero tradycyjnej bijatyki, na pięści. A na to jeszcze nie czas.



Do oporu przeciw ustawie utracającej emerytalne przywileje funkcjonariuszom PRL wzywał m.in. Marek Dukaczewski, były szef WSi. FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Knur sra po gaciach. Niedługo się zesra” – tak grozi na Facebooku wiceministrowi spraw wewnętrznych Jarosławowi Zielińskiemu masywnie zbudowany mężczyzna. To Andrzej B. Jak wynika z materiałów IPN, od końca lat 70. do 1990 r. funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej zajmujący się m.in. zabezpieczeniem operacyjnym WSW, słuchacz Wyższej Szkoły Oficerskiej MSW im. Feliksa Dzierżyńskiego w Legionowie. „Ma się czego bać”, „Niedługo przyjdziemy po niego” – wtórują byłemu milicjantowi inni uczestnicy dyskusji w sieci. Kilku ukrywa się pod anonimowymi kontami. Komentują wpis na założonej przez Federację Stowarzyszeń Służb Mundurowych RP facebookowej stronie „NiezaSŁUŻYLIŚMY”.

– Nie tylko ja otrzymuję podobne pogroźki, listy z groźbami trafiły też do wielu posłów PiS, do ich biur poselskich. Nie chciałbym się do tego odnosić – mówi „Do Rzeczy” wiceminister Zieliński. I dodaje: – Sprawiedliwość dziejowa dotyka

Służbowy bunt



Wojciech Wybranowski

Ludzie komunistycznej bezpieki kolejny raz próbują zatrzymać odebranie im przywilejów finansowych. Wiele jednak wskazuje na to, że tym razem akcja nie przyniesie ani rozgłosu, ani efektu

byłych esbeków o 27 lat za późno, przecież nie może być tak, żeby za represje, tortury i szykany otrzymywali wysokie świadczenia.

KÓŁKA MUNDUROWYCH

Byli funkcjonariusze MO i SB zagrożeni redukcją świadczeń emerytalnych zbierają

się na profilach internetowych i w zamkniętych grupach dyskusyjnych. Te pączkują w ostatnich miesiącach po tym, jak rząd zapowiedział przyjęcie ustawy dezubekizacyjnej.

„Nareszcie się obudziliście, oby nie było już za późno. [...] Zbliża się 6 maja, możecie

wyść na ulicę jak wszyscy, a nie przeciw wszystkim. Nie bójcie się, wszystkich was nie zwolnią. [...]” – nawołuje na jednej z takich stron ilustrowanej zaciśniętą pięścią i hasłem „No pasaran”, grafiką znaną z komunistycznych plakatów propagandowych, Agnieszka S., była naczelnik Wydziału Prewencji Policji w Makowie Mazowieckim, a wcześniej, od połowy lat 80., funkcjonariuszka Milicji Obywatelskiej.

Z kolei były funkcjonariusz komunistycznej SB Włodzimierz Sokołowski, obecnie bardziej znany pod literackim pseudonimem Vincent Severski, podburza: „Jak się państwo czujecie, kiedy tracimy nasze emerytury, te, które nam dano i wam obiecano?”

Próba obniżenia wynagrodzeń byłych funkcjonariuszy komunistycznej bezpieki kolejny już raz wywołała burzę w tym środowisku. Wśród polityków i w mediach społecznościowych, które dziś są najszybszym przekazywaczem informacji, natychmiast uaktywnili się byli funkcyj-

nariusze SB i ludzie ze ściślej wierchuszki WSi.

ESBECY BRONIA PIENIĘDZY

Pod koniec ubiegłego roku prezydent Andrzej Duda podpisał projekt „ustawy dezubekizacyjnej” przygotowanej przez MSWiA. Jej przepisy zaczną obowiązywać od października, mają przynieść państwu blisko 540 mln zł oszczędności poprzez obniżenie emerytur i rent byłych funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa PRL „za służbę na rzecz totalitarnego państwa od 22 lipca 1944 r. do 31 lipca 1990 r.”. Od jesieni emerytura byłych esbeków i funkcjonariuszy komunistycznego wywiadu nie będzie mogła być wyższa niż średnie świadczenie w ZUS (emerytura to ok. 2 tys. zł, renta – ok. 1,5 tys. zł). Zgodnie z przepisami z ustawy zwolnione będą mogły być – decyzją szefa MSW – wyłącznie osoby, które w bezpieczeństwie służyły krótko, a później zasłużyły się już dla wolnej Polski.

Byli funkcjonariusze służb PRL przeciw ustawie protestowali już w połowie ubiegłego roku – zorganizowali masowe pisanie listów z protestami do parlamentarzystów i pikietę, na której pojawili się również politycy opozycji. Byli blisko sukcesu i doprowadzenia do złagodzenia przepisów odbierających im przywileje.

– W PiS pojawiły się takie obawy jak wtedy, gdy w 2006 r. przyjmowaliśmy ustawę lustracyjną. Że przepisy zbyt ostre, że burza medialna nam zaszkodzi, bo rzeczywiście na medialną propagandę, iż uderzamy w bohaterów operacji antyterrorystycznych, zasłużonych dla Polski nie potrafiliśmy odpowiedzieć chociażby pokazaniem prawdziwej roli, jaką ci „bohaterowie” odgrywali w PRL – opowiada nam jeden z posłów PiS. – Na szczęście z Nowogrodzkiej

przyszło jasne polecenie: „Nie cofamy się”.

Tuż przed długim majowym weekendem byli PRL-owcy funkcjonariusze znów wyszli na ulice w obronie swoich wysokich emerytur. Wśród demonstrantów był m.in. Henryk Jasik, były szef Departamentu I Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Służby Bezpieczeństwa.

Demonstrację zorganizowała Federacja Stowarzyszeń Służb Mundurowych wraz z politykami SLD. – Pierwszym celem jest powołanie komitetów protestacyjnych [...], drugim powołanie obywatelskiego komitetu inicjatywy ustawodawczej – mówił podczas wiecu, na którym pojawiło się ok. 200 osób, Zdzisław Czarniecki, prezydent Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych.

Do oporu wzywał też Marek Dukaczewski, były szef zlikwidowanych Wojskowych Służb Informacyjnych. – Ustawa obejmuje bezbronnych, starych ludzi, którym nie pozwolono dożyć swoich dni. Jeżeli ktokolwiek ludzi się, że ta ustawa dotknie tylko żołnierzy służb specjalnych, to jest w błędzie – grzmiał były szef wywiadu wojskowego PRL i absolwent kursów GRU w Moskwie.

Zanim jednak zorganizowano wiec, byli esbecy i funkcjonariusze służb wojskowych PRL chcieli się spotkać w Sejmie. Konferencję zgłosili europosłowie SLD: Bogusław Liberadzki, Krystyna Łybacka i Janusz Zemke. W ostatniej chwili, po interwencji poseł Krystyny Pawłowicz (PiS), która nagłośniła sprawę, Kancelaria Sejmu cofnęła zgodę na organizację spotkania w budynkach parlamentu.

– Zaraz po tym zaczęłam otrzymywać pogróżki. Kilka anonimowych, jedna podpisana jako jakiś „Pożarski”. Że „będziesz wisieć z Kaczorem”, że „dosięgnie mnie karząca ręka sprawiedliwości”, że „śmierć

mnie nie minie” – opowiada „Do Rzeczy” prof. Krystyna Pawłowicz.

Według informatorów naszego tygodnika zorganizowaną pod koniec kwietnia akcją ludzie byłych służb specjalnych PRL przygotowywali od kilku miesięcy. Nasze źródła wskazują, że w pierwszym kwartale tego roku miało dojść do nieoficjalnego spotkania Marka Dukaczewskiego z byłym prezydentem Bronisławem Komorowskim. Rozmowa miała dotyczyć m.in. protestów wobec „ustawy dezubekizacyjnej”.

Byli funkcjonariusze bezpieczeństwa PRL rozpowszechniają w Internecie adresy zaufanych kancelarii prawnych, które mogą pomóc ich kolegom w procesach przeciwko obniżeniu świadczeń emerytalnych.

Ludzie PRL-owskich służb już po raz trzeci podejmują walkę o pieniądze. W 2006 r. głośna była sprawa Aleksan-

dra Mleczkzi, byłego zastępcy naczelnika V Wydziału SB w Krakowie, absolwenta dwumiesięcznego kursu dla agentów KGB, który na prowadzonym przez siebie blogu pod pseudonimem próbował organizować byłych esbeków przeciwko przygotowywanej wówczas przez PiS nowelizacji ustawy lustracyjnej. W 2009 r. PO ustawą obniżyła emeryturę ok. 25 tys. osób z cywilnych służb specjalnych PRL i dziecięciu członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (w ustawie znalazła się luka, bo przepisy nie objęły rent inwalidzkich, na które uciekła część oficerów dawnej SB). Po przyjęciu tej ustawy ok. 1,6 tys. byłych funkcjonariuszy SB złożyło skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Ten nie zgodził się na rozpoznanie skarg, uznając, że nie doszło do „nadmiernych obciążeń dla skarżących”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Legionowie toczy się pod sygnaturą I Ns 96/17 postępowanie w sprawie o stwierdzenie nabycia spadku po Pawle Andrzeju Michałowskim, zmarłym w dniu 7 stycznia 2017 roku w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym w Michałowie-Grabinie przy ulicy Lipowej 9.

Wzywa się spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili do Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Marcin Makowski

Lider KOD wydaje w Londynie książkę „Buntownik”. Oficjalnie to dalsza część walki z dyktaturą w Polsce. A praktycznie – unik, który pozwoli uchronić tantiemy przed komornikiem

„Buntownik” bez wyboru

FOT. MICHAŁ DYJUK/POLSKA PRESS/EST NEWS

Raz na jakiś czas pojawiają się newsy, które wydają się zbyt absurdalne, aby były prawdziwe. Właśnie do tej kategorii zakwalifikowałem informację o książce wydawanej przez Mateusza Kijowskiego. Lampkę ostrzegawczą zapalał już sam tytuł, brzmiący jak manifest pokolenia: „Buntownik. Kijowski o KOD, Polsce, Europie i demokracji”. Pomyślałem, że może ktoś po prostu wrabia człowieka i z premedytacją stworzył stronę pełną błędów składniowych oraz ortograficz-

nych, głównemu bohaterowi nadając ego Wałęsy, Sikorskiego i Balcerowicza razem wziętych. Przecież nawet sam Kijowski nie może wierzyć, że jest „skromnym informatykiem, hipsterem z pod Warszawy, który z dnia na dzień, borykając się z trudnościami życia codziennego, stał się postacią poznawalną na całym świecie” (pisownia oryginalna). I do tego tak wpływowa, że „przywódcy Unii Europejskiej, szefowie partii opozycyjnych w Polsce, dziennikarze zarówno krajowych, jak i światowych

mediów – wszyscy zabiegali o kontakty z »buntownikiem« Kijowskim”.

Po kilku godzinach medialnej ciszy i narastającego napięcia sam Kijowski wrzucił w końcu na Facebooka grafikę ze zdjęciem, na którym podnosi w geście triumfu wklejoną nieudolnie konstytucję. „Taki projekt jest... Książka powstaje. Możecie pomóc” – napisał, dodając link do strony.

TRYBUN LUDOWY

Jak czytamy w materiałach prasowych, „»Buntownik« ma być rodzajem reportażu napisanym z niejakim Piotrem Surmaczyńskim, który zbiera w całość historyczną wizytę Kijowskiego w Londynie w marcu 2017 roku”. W Polsce wydarzenie to przeszło kompletnie bez echa, ale w rzeczywistości „Mateusz, jako jedyna osoba spoza Wielkiej Brytanii, przemawiał tam w towarzystwie liderów brytyjskiej opozycji i organizacji pozarządowych w czasie demonstracji »United for Europe«”.

Buntownik, który prosi o wsparcie (przelew w wysokości sześciu funtów w ramach „przedpłaty” za dzieło albo 250 funtów jako gestu dobrej woli i „sponsoringu”), oferuje w zamian dostęp do limitowanej serii wydania „wzbogaconej o fotografie, które nie będą dostępne w kolejnej edycji książki” oraz „odręczną dedykację imienną Mateusza Kijowskiego”. Gdyby znalazł się też ktoś na tyle odważny, aby zostać mecenasem projektu, wtedy wydawca „umieści nazwisko w podziękowaniach na początku książki”.

Tyle jeśli chodzi o sprawy formalne, ostatecznie są one przecież tylko didaskaliai do rzeczy naprawdę istotnych, czyli „odpowiedzi na pytanie, kim naprawdę jest Lider KOD i jaka jest jego wizja demokracji, której chce bronić”. Słuchając tej opowieści – ze względu nie tylko na wygodę, lecz także na własne bezpieczeństwo – warto usiąść.

SKROMNY INFORMATYK

Kim jest Mateusz Kijowski we własnych oczach? W jaki sposób wyjaśnia potknięcia i rolę w obecnej opozycji? Zaczniemy od początku. Jest jesień 2015 r., „władzę w Polsce przejęli populiści, a wielu Polaków zaniemowiło z niedowierzania”. Jak tłumaczy „buntownik”, pomimo „dosyć słabego wyniku na poziomie 18 proc. uprawnionych do głosowania” partia Jarosława Kaczyńskiego uzyskała „bezwzględna” większość w parlamencie, rozpoczynając tym samym „populistyczną

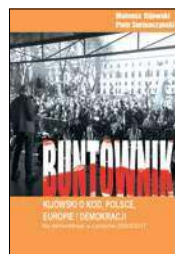
rewolucję". Jak mają w zwyczaju wszyscy geniusze zła, również Kaczyński wziął na cel „liberalne państwo prawa i jego obywateli”, którzy nie spodziewali się zamachu na demokrację, gubiąc się w skomplikowanej rzeczywistości i pierwszy raz po upadku komunizmu „czując strach, aby powiedzieć głośno, co myślą o władzy”. Na szczęście w najmroczniejszym momencie, gdy znikąd nie było widać nadziei, pojawił się on. Jednym z pierwszych buntowników, „którzy pociągnęli za sobą innych, był Mateusz Kijowski”, w proroczym geście zakładający na Facebooku grupę „Komitet Obrony Demokracji”, którą w kilkanaście godzin zasiłowały dziesiątki tysięcy osób.

Właśnie tak Kijowski „stał się symbolem oporu przeciwko prawicowemu populizmowi”, z dnia na dzień ze „skromnego informatyka” dorastając do miana człowieka legendy, „wroga numer jeden” grabarzy wolności. Ponieważ nie mogli oni znieść jego bezinteresownego zaangażowania, na początku próbowali zrobić z niego „oderwanego od koryta ubeka, następnie w efekcie hackerskiej prowokacji propagowano insynuacje, że przechowuje i rozpowszechnia dziecięcą pornografię. Niebawem »wytropiono« również i podano do publicznej wiadomości jego zadłużenie alimentacyjne”. „»Buntownika« starano się zniszczyć na wiele sposobów” – pisze sam o sobie Kijowski. Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że lider KOD Mazowsze nie odniesie się do zagadnień dla niego znacznie mniej wygodnych, czyli tzw. afery fakturowej. Tylko brak wiary i uleganie wrogiej propagandzie mogą zamknąć oczy na

prawdziwy przebieg wypadków, podczas których „grupa aktywistów stowarzyszenia powstałego przy Komitecie Obrony Demokracji dołączyła do obozu populistycznej władzy w atakach na lidera KOD-u”, a w przestrzeni publicznej pojawiły się nieprawdziwe zarzuty, że Kijowski okrada swoją organizację. „Pomimo znalezienia się pod medialnym prężeniem, wbrew całej machinie opresji populistycznego reżimu w Polsce, na przekór oportunistom i uzurpatorom Buntownik nie pozwolił się złamać”.

LONDON CALLING

Nieustępliwość „buntownika” manifestuje się również w tym, że na przekór rządowej cenzurze jego książka da nadzieję strapiionym masom niczym komunistyczny drugi obieg, szmuglowany zza granicy do kraju. Jak tłumaczy wydawca, „publikacja powstaje w niezależnym wydawnictwie w Londynie i będzie dostępna w Polsce jedynie poprzez prywatne i niezależne kanały dystrybucyjne, poza oficjalnym rynkiem księgarskim w kraju”. Ponieważ obecna sytuacja w Polsce przypomina tę sprzed 1989 r., „»Buntownik« nie może zostać wydany i rozprowadzany oficjalnymi kanałami dystrybucji w Polsce. Niestety, kraj pod pewnymi względami cofa się do czasów wczesnego PRL-u”. Tym samym nieuchronnie dochodzimy do epilogu historii „buntownika”, który poza walką o demokrację, zasłużył



**MATEUSZ KIJOWSKI,
PIOTR SURMACZYŃSKI**
„BUNTOWNIK”
2017

się na jeszcze jednym odcinku społecznego oporu wobec reżimu. Wydając książkę wraz ze współautorem, pobierając za nią opłatę w obcej walucie oraz poruszając się poza polskim obiegiem wydawniczym, nie notuje wobec polskiego fiskusa żadnego dochodu i tym samym przechytrza siepaczy PiS-owskiego aparatu represji, którzy tylko czekają, aby zająć wszelkie dochody skromnego informatyka na poczet długu alimentacyjnego wynoszącego niespełna 220 tys. zł.

Proszę sobie wyobrazić, ile samozaparcia i wyrzeczeń kosztuje zorganizowanie całego procesu odcinania ostatnich kuponów od sławy, tak aby nie ugiąć karku przed Jarosławem Kaczyńskim. Jak wielki ciężar nosi zaszczyty przez własne środowisko Kijowski?! Jeśli historia „buntownika”, o którego uwagę zabiegają największy przywódca świata, czegoś nas uczy, to na pewno tego, że nawet w najmroczniejszej nocy autorytaryzmu może zaświecić promień wolności. W tym przypadku jak w trakcie wojny – z serca Londynu. Tam ręce komornika nie sięgną, a gdy już przesłanie o demokracji dotrze do polskich domów i będzie czytane za zamkniętymi drzwiami w obawie przed PiS-owcami, misja „buntownika” zostanie zakończona. I będzie mógł wrócić z poczuciem triumfu do żywota hipstera, wiedząc, że jego walka była słuszna, a cel sprawiedliwy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

„Ja nie wykonałam wyroków sądów, ale to jest nic przy tym, co robi PiS”

(Julia Pitera)

Najważniejsze słowa padają o 8:02 w RMF FM.



Z Wiesławem Johannem, sędzią Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku, przedstawicielem prezydenta w Krajowej Radzie Sądownictwa rozmawia Maciej Pieczyński

Potrzebny jest okrągły stół prawników



MACIEJ PIECZYŃSKI: Jakie są pańskim zdaniem największe słabości polskiego sądownictwa?

WIESŁAW JOHANN: Każdy powinien mieć prawo do rozstrzygnięcia swojej sprawy przed niezawisłym, bezstronnym sądem. To jeden z fundamentów demokratycznego państwa. Prawo do sądu jest podstawowym prawem każdego człowieka, które gwarantuje mu prawo do wolności, swobód politycznych, osobistych, ekonomicznych...

To piękna teoria, a jak z praktyką w Polsce?

Z perspektywy pięćdziesięciu paru lat obserwacji wymiaru sprawiedliwości od środka nie mogę ocenić kondycji sądownictwa zbyt pozytywnie. Słabe orzecznictwo i przewlekłość postępowań – to najczęściej podnoszone problemy i na tym tle wypadamy blado w zestawieniu z państwami zachodu Europy. Niestety, polskie sądownictwo po okresie PRL nie było w stanie dokonać nawet nie tyle lustracji, ile weryfikacji. Powtarzałem wielokrotnie, powtórzę i teraz: pan profesor Strzembosz mylił się, mówiąc, że środowisko sędziowskie samo się oczyści, bo jakoś do tej pory to samooczyszczenie nie nastąpiło. Sędziowie, którzy w PRL skazywali działaczy opozycji, sądzą nadal. Wielkim problemem jest rozwarstwienie między starym i nowym pokoleniem sędziów. Pojawiające się do tej pory próby reformowania tego systemu nie przynosiły żadnych efektów. Wielokrotnie nowelizowano Kodeks karny, Kodeks postępowania karnego, Kodeks cywilny, Kodeks postępowania cywilnego. Tymczasem prawo karne, podobnie jak i prawo cywilne, powinno być prawem stabilnym. Nie można go zmieniać co pięć minut w zależności od jakiejś koncepcji politycznej. Prawo powinno być tworzone zgodnie z zasadą tzw. przyzwoitej legislacji...

To bardzo ogólne pojęcie.

Pojęcie przyzwoitej legislacji zostało dokładnie rozkodowane przez orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego. Chodzi o uchwalanie aktów prawnych zgodnie z trybem przewidzianym w konstytucji, regulaminie sejmowym czy w innych aktach normatywnych, o stanowienie prawa zgodnie z zasadami technik prawodawczych, takimi jak to, że prawo nie może działać wstecz, że powinno zapewniać ochronę praw nabytych. Powinno budzić zaufanie obywatela do państwa, być jasne, precyzyjne, niewymagające nadmiernej

FOT. DAREK GOLIŃSKI / FORUM

interpretacji. A w Polsce tworzy się prawo nie w oparciu o te uniwersalne zasady, ale w zależności od politycznych potrzeb...

PiS też próbuje reformować sądownictwo. Jak pan ocenia te próby?

Do tej pory zapoznałem się z treścią nowelizacji ustawy o ustroju sądów powszechnych, ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa, i nie do końca się z tymi pomysłami zgadzam. Według mnie te projekty zakładają ingerencję władzy wykonawczej w sferę władzy sądowniczej. Tak należy interpretować rozwiązanie, zgodnie z którym minister sprawiedliwości i prokurator generalny w jednej osobie miałyby decydować o tym, kto będzie prezesem, a kto wiceprezesem danego sądu, od sądów rejonowych począwszy, przez sądy okręgowe, na apelacyjnych skończywszy. Rozumiem, że celem tego zabiegu jest stworzenie jednolitego systemu kierowania wymiarem sprawiedliwości, ale w moim przekonaniu w tym procesie powinien uczestniczyć samorząd sędziowski. Niekoniecznie stowarzyszenia sędziowskie, bo to rzeczywiście jest raczej towarzystwo wzajemnej adoracji, ale już kolegia czy zgromadzenia sędziowskie powinny mieć jakiś wpływ na to, kto będzie kierował tym czy innym sądem. Obawiam się, że jeżeli prezesi sądów będą wyznaczani z góry, spoza środowiska, to ich współdziałanie z szerokim gremium sędziowskim nie będzie sprawnie się układać. Co do propozycji nowelizacji ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa to jestem członkiem Rady od półtora

roku i nie dostrzegam potrzeby, aby KRS należało przemeblować. Oczywiście podczas posiedzeń zdarzają się dyskusje merytoryczne, w które gdzieś wplata się elementy polityki, ale mnie to nie interesuje. Z poglądami wielu moich kolegów z KRS zwyczajnie się nie zgadzam, ale jesteśmy w stanie normalnie dyskutować i wypowiadać się w sposób konkretny oraz rzeczowy, ponad podziałami. Krajowa Rada Sądownictwa jest organem konstytucyjnym, mającym bardzo wyraźne kompetencje zapisane w ustawie zasadniczej, więc nie można przy niej dowolnie majstrować. To prawda, że tryb i organizację pracy KRS określa ustawa, ale powiadam: powinniśmy mimo wszystko przy tym całym sporze prawno-politycznym zachować pewien umiar w interesie wymiaru sprawiedliwości, aby uspokoić atmosferę. Biorąc pod uwagę protesty sędziów, ciężko znaleźć pole do konsensusu między rządem a częścią środowisk prawniczych, ale może rozwiązaniem byłby prawniczy okrągły stół, do którego minister Ziobro zaprosiłby dobrych legislatorów...

Dobrze. Jednak czy wierzy pan, że skonfliktowane strony będą chciały usiąść do rozmów?

To właśnie najbardziej mnie martwi, że merytoryczna dyskusja na ten temat obłana jest politycznym sosem. Zapomnijmy na chwilę o polityce, popatrzmy na problemy wymiaru sprawiedliwości w kategoriach merytorycznych. Jestem zwolennikiem dogadywania się ponad podziałami. Nieprzejednany spór prowadzi donikąd.

A jaki jest pański pomysł na reformę sądownictwa?

Mam kilka pomysłów, ale dopóki nie przybiorą one postaci konkretnych i mających szansę na realizację planów, dopóty nie zmusi mnie pan do ich przedstawienia na łamach mediów. Dla mnie najważniejsze jest to, by wymiar sprawiedliwości realizował swoją podstawową powinność, czyli stał na straży praworządności, strzegł statusu Polski jako demokratycznego państwa prawa. Niezależnie od tego, czy mówimy o sędziu karnym, cywilnym, sędziu pracy czy administracyjnym – ma się kierować przede wszystkim zasadą bezstronności, rzetelności, niezawisłości i uczciwości.

A czy nie jest problemem zbyt ograniczona odpowiedzialność sędziów za błędy?

Zaczynamy wkraczać w sferę niezawisłości. Sędzia orzeka w zgodzie z własnym sumieniem, nie jest też nieomylny. Od naprawiania ewentualnych błędów są wyższe instancje.

Jednak to naprawianie błędów. A co z odpowiedzialnością sędziów?

Wszystko zależy od rodzaju błędu, o jakim mówimy. Sędziowie nie są omnibusami. Na pewno zwykłych ludzkich błędów nie wyeliminuje proponowana zasada losowania spraw pomiędzy sędziów wszystkich instancji, bo jeśli specjalista od prawa karnego wylosuje sprawę z dziedziny prawa finansowego, to pomyłka jest bardzo prawdopodobna. Jeśli ktoś mówi, że zna się na wszystkim, to mówi nieprawdę. Natomiast już zupełnie inną

REKLAMA

RMF FM

Numer 1 wśród opiniotwórczych stacji radiowych w 2016 roku wg Instytutu Monitorowania Mediów

Program	Audycja
Poranna Rozmowa RMF	2 191 000 słuchaczy
Gość Radia Zet	1 306 000 słuchaczy
Salon Polityczny Trójki	712 000 słuchaczy
Gość Poranka (Tok FM 7:45)	276 000 słuchaczy

Robert Mazurek

Źródło: Radio Track, Kantar MillwardBrown; 12.2016-02.2017; audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie, TG: ogół badanych, wielkość próby: 14 894.

■ kategorią są przypadki sędziego Łęczyńskiego czy sędziego Tulei, którzy do swoich uzasadnień wprowadzali element polityczny. Na to nie może być zgody. Sędzia jest zobowiązany wypowiadać się na temat stanu faktycznego, na temat dowodów, które zostały zebrane w toku postępowania, ma oceniać kwalifikację prawną czynu, a nie polityczną. Nazwanie metod CBA stalinowskimi było nadużyciem nie do przyjęcia.

Jak znaleźć równowagę między niezawisłością sędziów a ich odpowiedzialnością za mieszanie się w politykę?

Sędzia, który wprowadza do swojego orzecznictwa elementy polityczne, powinien odpowiadać za to dyscyplinarnie. Kropka. Od tego jest przełożony, żeby zwrócić uwagę, aby wszcząć postępowanie...

A może właśnie prezes sądu spoza konkretnego środowiska sędziowskiego to dobre rozwiązanie, bo jest mniejsza szansa, że będzie się kierował solidarnością środowiskową?

Argumentując w ten sposób, dojdziemy donikąd, bo wówczas dojdziemy do wniosku, że w każdej korporacji panuje wewnętrzna zмова, która uniemożliwia odpowiedzialność. Prezes sądu powinien być sędzią, nie urzędnikiem. Natomiast ci sędziowie, którzy sprzeniewierzają się swojej przysiędze, składanej przed prezydentem w momencie odebrania nominacji, którzy nie potrafią przestrzegać najprostszych zasad, strzec interesów obywateli, powinni sami wycofać się z zawodu.

Bodaj najczęściej podnoszonym problemem sądownictwa jest przewlekłość postępowań. Jest na to jakaś rada?

To nie jest taka prosta sprawa. Sędziowie są zawaleni sprawami. Jedni mają ich mniej, inni więcej. Jedni są bardziej rzetelni w swojej pracy, inni mniej. Poza tym proszę pamiętać, że bardzo często, szczególnie w procesach karnych, to adwokaci, za pomocą różnego rodzaju zabiegów, zgodnych zresztą z prawem, przeciągają postępowania. Natomiast dla mnie niedopuszczalna jest sytuacja, w której sędzia nie potrafi wyznaczyć terminu rozprawy w ciągu sześciu miesięcy. Tak nieudolny sędzia powinien ponosić odpowiedzialność służbową przed prezesem sądu. Reasumując: przewlekłość postępowań ma różne aspekty, a bardzo często wynika po prostu ze zwykłego niechlujstwa.

A co z oświadczeniami majątkowymi sędziów? Powinny być jawne?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że powinny być jawne. Nie trafiają do mnie żałosne argumenty w rodzaju, że „przestępcy się dowiedzą, jaki sędzia ma majątek”. Jeżeli funkcjonariusze publiczni składają oświadczenia majątkowe, to dlaczego sędzia miałby tego nie robić?! To przecież kwestia jawności życia publicznego. Sędzia musi być bardziej przyzwoty niż żona Cezara.

Może w takim razie nie powinien mieć immunitetu?

Immunitet jest gwarancją niezawisłości. Być może jego zakres jest zbyt szeroki. Być może należałoby zachować jedynie immunitet formalny albo materialny.

Jednak chyba immunitet nie powinien chronić przed odpowiedzialnością za kradzież pendrive'a...

(śmiej) To są żałosne przypadki. Wstydę się za sędziego, który po gorzale wsiada za kierownicę, wstydę się za sędziego, który nie płaci za 20 dag kiełbasy w sklepie, a woli ją ukrąść... Taki człowiek następnego dnia powinien raz na zawsze

Sędzia, który wprowadza do swojego orzecznictwa elementy polityczne, powinien odpowiadać za to dyscyplinarnie

przestać funkcjonować w wymiarze sprawiedliwości. Bardzo mi się podoba, że media nagłaśniają tego typu przypadki. To dobrze, że konstytucja wyposaża sędziego w ten niesłychany oręż, jakim jest immunitet, ale jeśli sędzia popełnia przestępstwo, to powinien ponosić konsekwencje surowsze niż każdy inny!

Czy Trybunał Konstytucyjny za prezesury Julii Przyłębskiej jest mniej upolityczniony niż za czasów Andrzeja Rzeplińskiego?

Kiedy ja byłem sędzią Trybunału Konstytucyjnego, mój starszy kolega, członek Komitetu Centralnego PZPR, powiedział mi tak: „Mamy absolutnie różne poglądy polityczne. Ja jestem człowiekiem lewicy, pan – prawicy. Ale politykę zostawiamy za drzwiami. Tutaj decydujemy tylko o tym, czy polskie prawo jest zgodne

z konstytucją, czy nie jest”. Za moich czasów nie było polityki w TK. Myślę, że dziś zupełnie niepotrzebnie sędziowie, którzy są w stanie spoczynku, tak chętnie wypowiadają się na tematy polityczne. To błąd. Sędzia w stanie spoczynku podlega takim samym rygorom jak sędzia, który wykonuje ten zawód. Natomiast nie mam żadnych podstaw, by stwierdzić, że dzisiejszy TK jest upolityczniony. I chcę głęboko wierzyć, że nie jest, że pełni dobrze swoją podstawową funkcję, jaką jest kontrolowanie polskiego prawa i jego zgodności z ustawą zasadniczą. Nie interesują mnie poglądy pana profesora Muszyńskiego, którego znam bardzo dobrze, nie interesują mnie poglądy pana Rymara, pani prezes Przyłębskiej czy sędziego Pszczółkowskiego, którego uważam za świetnego prawnika. Ja chcę wierzyć, że oni po prostu dobrze wypełniają swoje obowiązki.

A może, jak twierdzą niektórzy, kompetencje Trybunału Konstytucyjnego powinien przejąć Sąd Najwyższy?

Nie. To by wymagało przebudowy ustawy zasadniczej. Co prawda, TK powstał jeszcze w PRL, ale to jest realizacja idei znakomitego austriackiego prawnika Hansa Kelsena, który wymyślił, że potrzebny jest organ, który będzie kontrolował nie tylko jednostkowe sprawy ludzi, lecz także legalność prawa jako takiego. W każdym przyzwoitym kraju europejskim funkcjonują sądy konstytucyjne...

Nie wszędzie. W wielu krajach o rozwiniętej demokracji nie funkcjonuje taki organ.

W naszej kulturze prawnej Trybunał Konstytucyjny wyrobił sobie niepodważalną pozycję...

Nie stracił jej przez ostatnie prawie dwa lata awantury?

Ta awantura była zupełnie niepotrzebna. Sama idea sądu konstytucyjnego jest słuszna.

Konstytucji też by pan nie zmieniał?

Jestem zwolennikiem rewizji ustawy zasadniczej. Zgodnie z obecną konstytucją istnieją trzy niezależne ośrodki władzy, które mają ze sobą współdziałać. Uważam jednak, że należy w sposób bardziej zdecydowany oddzielić władzę wykonawczą od ustawodawczej i sądowniczej, tak aby każda z nich miała wyraźną i niepodważalną autonomię.

MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ SEBASTYAN FABIJANSKI KAROLINA SZYMCAK ERYK LUBOS MAGDALENA CIELECKA MARIAN DZIĘDZIEL PAWEŁ DELĄG WOJCIECH MECWALDOWSKI ALEKSANDRA GINTROWSKA ADAM WORONOWICZ



GWIAZDY

WIELKA PIŁKA I WIELKA MIŁOŚĆ

FILM POINT GROUP W WSPÓŁPRACY Z NARODOWYM CENTRUM KULTURY, DOMEM MUZYKI I TAŃCA W ZABRZE, TELEWIZJĄ POLSKĄ, NARODOWYM INSTYTUTEM AUDIOWIZUALNYM, INSTYTUCJĄ FILMOWĄ GIEŚLA FILM W KATOWICACH, LIGHTCRAFT WSPÓŁFINANSOWANIE POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ, MIASTO ZABRZE, WYPRODUKOWAŁ FILM GWIAZDY REŻYSER JAN KIDAWA-BŁONSKI SCENARIUSZ MICHAŁ ENGLERT PRODUKOWAŁ JAROSŁAW PACHOWSKI ANDRZEJ SEREDNIKOW
 PRODUCENT WYKONAWCA TERESA DWORZECKA SCENARZ JACEK KONDRACKO JAN KIDAWA-BŁONSKI W ROLACH GŁÓWNYCH: MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ SEBASTYAN FABIJANSKI KAROLINA SZYMCAK OLA GINTROWSKA MAGDALENA CIELECKA ERYK LUBOS PAWEŁ DELĄG ADAM WORONOWICZ MARIAN DZIĘDZIEL ROBERT TALARCZYK
 ZE SPECJALNYM WYKONANIEM GRACZYNI TORBICKIEJ I WITOLDA PASZCZA KOLEKTORYSTY PRODUCER MARIUSZ WÓJTACZ SCENARIUSZ ELWIRA PIUTA REŻYSER DARIUSZ KOWALCZYK KONKURSY JANEK KIDAWA-BŁONSKI JR WIELKA DARIUSZ KOWALCZYK PIOTR LUBOWSKI DISTRIBUCJA KINO ŚWIAT



W KINACH OD 12 MAJA



eprasa.pl d16181790b



Łukasz Warzecha

Najgorszą rzeczą, jaką może wobec satyryka zrobić władza, to obrazić się i usztywnić. A wydaje się, że w tę stronę zmierza to w przypadku „Ucha prezesa”

Socjologowie powinni odpowiedzieć na pytanie, jaki faktycznie wpływ na postrzeganie partii rządzącej ma „Ucho prezesa”. To, że jakiś ma, jest bowiem pewne, ale jaki i jak duży, tego nie wiemy. Wobec braku badań odpowiedź zależy od sympatii politycznych oceniającego.

Co ciekawe, czasami zgadzają się ze sobą publicyści z przeciwnych stron. Oto Ignacy Karpowicz w „Gazecie Wyborczej” pisze, że serial Roberta Górskiego wcale nie ociepla wizerunku Kaczyńskiego, gdyż pokazuje go jako zwykłego satrapę. Tego samego zdania są bracia Karnowscy, w swojej publicystyce generalnie stawiający raczej na pompacyjny ton i niezbyt dobrzy w patrzeniu z dystansu. Oczywiście Karpowicz uważa, że Górski pokazuje prawdę, a Karnowscy sądzą, że pokazuje fałsz. Zgoda dotyczy tego, że „Ucho...” nie jest dla PiS korzystne.

Moja teza jest jeszcze inna: „Ucho prezesa” będzie zagrażał władzy w jakikolwiek sposób tylko wówczas, jeśli ta – oraz jej sojusznicy – połknie kij i uzna, że z Naczelnika i jego otoczenia żartować nie wolno. Początkowo wydawało się, że przekaz dnia był inny, ale w ostatnim czasie to się zmienia, by wspomnieć choćby niechętną wobec serialu wypowiedź Pawła Szefernakera w wywiadzie dla tygodnika „W Sieci”. Ten zmieniony ton może wynikać z tego, że o ile PiS świetnie kontrolował przekaz w sieci podczas kampanii, o tyle w ciągu półtora roku sprawowania władzy tę kontrolę w dużej mierze utracił. Stąd rosnąca nerwowość.

HARATANIE W GAŁĘ A GABINET PREZESA

O „Uchu prezesa” prawdziwy prezes dowiedział się tuż przed nagraniem wywiadu w Telewizji Polskiej, wkrótce po premierze pierwszego odcinka. Przyjechał wieczorem na Woronicza z Adamem Bieleńskim, pojawił się też Jacek Kurski.



PiS kontra satyra



Niedługo przed wejściem do studia prowadząca rozmowę Dorota Łosiewicz spytała Kaczyńskiego, czy widział już „Ucho...”. Prezes się zainteresował, bo nie widział i nie za bardzo wiedział nawet, o co chodzi, natomiast Bielan z Kurskim zaczęli zdradzać pewną nerwowość. Kaczyński wyraził jednak życzenie, żeby „Ucho...” obejrzeć zaraz po nagraniu. Czy oglądał kolejne odcinki – nie wiadomo. Kurski z Bielanem najwyraźniej obawiali się jego reakcji.

Tymczasem ta ze strony PiS początkowo była inna od oczekiwanej. Można się było bowiem spodziewać, że wszystko będzie się odbywać zgodnie z przewidywalnym i ustalonym schematem. Skoro serial jest satyrą na obecną władzę, to jej przeciwnicy będą zachwyceni, a zwolennicy stwierdzą wyniośle, że Górski jest koniunkturalistą, nie ma świeżych pomysłów, nie jest wcale dowcipny i w ogóle się skończył. Stało się trochę inaczej – i był to jeden z niewielu momentów w okresie rządów PiS, gdy zadziałał mechanizm kontrolowania wizerunku. Oto bowiem zamiast rytualnych potępień ze strony polityków Prawa i Sprawiedliwości pojawiły się słowa umiarkowanej aprobaty oraz zainteresowania. Co za tym idzie, nawet twarda część elektoratu PiS wstrzymała się z ostrymi ocenami. Wyjątkiem był Andrzej Duda – postać najbardziej przez serial Górskiego poszkodowana – który w jednym z wywiadów na pytanie o „Ucho prezesa” zareagował z dostrzegalnym poirytowaniem.

Każda władza jak ognia boi się ośmieszenia – to truizm. Sposoby przeciwdziałania temu są różne. Komuniści w PRL uciekali się do wentyli bezpieczeństwa, koncesjonując niektórych satyryków, takich jak Olga Lipińska z jej kabaretem. Inni tej łaski nie dostępowali. Jacek Kaczmarski w 1978 r. śpiewał przez jakiś czas w Kabarecie pod Egidą i swoje piosenki musiał zgłaszać cenzurze. Jak opowiadał bard – podczas jednego z koncertów już w wolnej Polsce cenzor o nazwisku Lis powiedział, zatrzymując gorzko satyryczną piosenkę „Starzy ludzie w autobusie”: „Proszę pana, tej piosenki pan nigdy w Polsce nie zaśpiewa”. Podobnie traktowanych było wielu artystów.

Cenzura wymuszała na satyrykach inteligentne przemycanie treści niechętnie przez władzę akceptowanych albo prowokowała spontaniczne zagrania, tak jak podczas jednego z Kabaretonów w Opolu we wczesnych latach 80., gdy

cabaret Tey porwał publiczność piosenką „Bo my musimy być silni i zdrowi, choćby na skrobi, choćby na skrobi”, a Zenon Laskowik w pewnym momencie zwrócił się do zabezpieczających imprezę milicjantów, zasiadających ponad widownią: „A panowie tam na tym daszku czemu nie śpiewają?”, wywołując entuzjazm widzów. Ta tradycja inteligentnego żartu z władzy zniknęła w latach 90., gdy satyra zaczęła być ciosana grubo, by nie rzec – grubiańsko. Łatwo i bezpiecznie było kpić z postsolidarnościowej władzy, z Kościoła, z ZChN. Można było odnieść wrażenie, że żarty są dozwolone tylko w jedną stronę.

ZNACZENIE GÓRSKIEGO

Taki stan trwał bardzo długo. I to właśnie Robert Górski za rządów PO uczynił w tym stanie rzeczy wyłom jako jeden z pierwszych, tworząc cykl „Posiedzenie rządu” z Donaldem Tuskiem jako głównym bohaterem. Satyra Górskiego na ówczesną władzę była okrutna. Charzmatyczny lider obozu ciepłej wody w kranie został pokazany jako haratający w gałę leser i cwaniaczek, a jego najbliżsi współpracownicy – jako banda ciężko myślących krętaczy. Kultowy status zyskał skecz, w którym drużyna Tuska straszy rządami PiS: „Kiedy PiS dojdzie do władzy, Macierewicz w skórzanym płaszczu będzie urzędował na Szucha, a Saska Kępa zostanie przemianowana na Beatę Kempę”.

Nikt niestety nigdy nie zmierzył, jakie znaczenie dla zburzenia świetnego wizerunku byłego premiera miały skecze Górskiego, ale można założyć, że jakiś wpływ na niego miały. Tylko na YouTube skecz „Jak PiS dojdzie do władzy...” obejrzało ponad pół miliona ludzi, a nie był to jedyny kanał jego rozpowszechniania. Tak czy owak Górski przekłubał dwa balony za jednym zamachem. Pierwszy to balon Tuska jako opanowanego profesjonalisty. W tej kwestii przekaz skeczy szedł ręką w rękę z przekazem ówczesnej opozycji: Tusk był dyletantem, leniem i kombinatorem. Drugi balon to strach przed zmianą władzy, zwłaszcza na partię Kaczyńskiego.

Gdy na YT krążyły „Posiedzenia rządu” z Górskim jako premierem, nikt z ówczesnej władzy się do nich jednak nie odnosił – i to jest różnica z obecnym stanem rzeczy. Dziennikarze nie wypytywali Tuska, czy podoba mu się, jak jest pokazywany, ani jego ministrów, czy akceptują swój wizerunek. Skecze budziły zrozumiały entuzjazm przeciwników Platformy,

■ a Górski szybko został – zgodnie z logiką plemiennego podziału i całkowicie bezrefleksyjnie – zakwalifikowany jako „nasz”. Jak się okazuje – mocno przedwcześnie.

MECHANIZM WŁADZY

Gdy „Ucho prezesa” ruszyło, natychmiast pojawiły się pytania: Co to „Ucho...” właściwie robi? Obrzydza rządzących? Kpi z nich ostro i niemiłosiernie? A może przeciwnie – przybliża i ociepla wizerunek, szczególnie Jarosława Kaczyńskiego?

Górski odtworzył – przejawskrawiając oczywiście, ale na tym przecież polega satyra – mechanizm władzy, który faktycznie działa w partii rządzącej. W centrum wszystkiego jest prezes, wokół niego wszystko się kręci, on jest politycznym demiurgiem, nieco znudzonym i zgorzkniałym, traktującym swoich współpracowników z pobłażaniem, jak ojciec małe dzieci. Nikt w obozie władzy nie jest dla prezesa partnerem do dyskusji, choć niektórzy dotąd się w serialu nie pojawili. Nie zobaczyliśmy np. wicepremiera Jarosława Gowina, przywódcy koalicyjnego ugrupowania. Nie było też drugiego koalicjanta, Zbigniewa Ziobry.

Co ciekawe, u Górskiego prezes nie popełnia błędów, nie myli się, nie jest winny porażek. Jeśli na kogoś spada wina, to na otoczenie – tak jak w przypadku porażki w Brukseli na Ryszarda Czarneckiego. W gruncie rzeczy prezes w „Uchu...” ma wiele cech, które Kaczyńskiemu przypisują jego gorliwi wyznawcy: absolutną intelektualną wyższość nad otoczeniem, nieomyślność, erudycję, zdolność przewidywania. Drobnostki, takie jak sierść kota na garniturze, nie mają tu większego znaczenia.

Ten mechanizm sprawowania władzy jest bliski prawdy, aczkolwiek w detalach może wyglądać inaczej. Trudno jednak oczekiwać, żeby Górski kręcił film dokumentalny. Chociaż chyba niektórzy takie właśnie oczekiwania mają i wyrażając je, żeby było śmieszniej, potwierdzają swój karykaturalny obraz przedstawiany w „Uchu prezesa”. Tak jak choćby Beata Mazurek, która niedawno oznajmiła w rozmowie z Konradem Piaseckim w Radiu Zet: „Jeśli dużo ludzi to bawi, to dobrze. Szkoda, że nie są przemycane tam treści, które są dobre dla naszego rządu, np. wskaźniki gospodarcze”. Tak, to nie żart: rzeczniczek klubu PiS, która w cuglach wygrałaby konkurs na najbardziej drewnianego rzecznika wszech czasów, ma do Górskiego żal, że w swoim

serialu nie uprawia rządowej propagandy sukcesu.

Niektóre mechanizmy Górski uchwycił wręcz genialnie. Macierewicz, który z czarującym uśmiechem całkowicie lekceważy uwagi i zalecenia nie tylko premier Beaty, lecz także samego prezesa, jest porażająco bliski swego pierwowzoru. Z kolei w drugim odcinku serii („Zarządzanie przez kryzys”) znakomicie uchwyciono ulubioną metodę działania Kaczyńskiego. Wszystko to opracowano w żarty mniej subtelne i momentami nawet grubiańskie, co przysłoniło częściowo świetne obserwacje autorów. To trybut dla mniej wyrobionej publiczności.

Zagadką pozostaje, dlaczego Górski szczególnie uwzględnił się na Andrzeja Dudę. Fajtlapowaty prezydent przez całą pierwszą serię nieśmiało antyszambruje u prezesa, co z faktycznymi relacjami Nowogrodzkiej z Pałacem Prezydenckim ma niewiele wspólnego. Być może postać raz w żarty mniej pokazaną postanowił Górski uczynić stałym punktem, od którego nie chciał już odejść, tak jak stałym punktem serii o Bondzie był przez lata Q – specjalista od środków technicznych. A może jest to świadectwo szczególnego zawodu, jaki Andrzej Duda sprawił Górskiemu. Dość, że prawdziwy prezydent ma powody do irytacji, bo „Ucho...” pokazuje go może tak, jak chciałby go widzieć Kaczyński, ale nie tak, jak sprawy się mają.

KOTURNOWA LOGIKA

Najgorszą rzeczą, jaką może zrobić krytykowany przez satyryków władza, to obrazić się i usztywnić. Zdaje się jednak, że w tę właśnie stronę wszystko zmierza. Można by uznać, że gen sztywności, pompatyczności, nadęcia jest immanentny dla formacji Kaczyńskiego, ale nie byłaby to prawda. Sam prezes ma prywatnie duże poczucie humoru. Mają je też niektórzy jego współpracownicy, których trudno o to podejrzewać. Mariusz Błaszczak po jednej z konferencji prasowych, gdzie wystąpił u boku Antoniego Macierewicza, miał się zwierzyć swojemu otoczeniu, że stojąc przed dziennikarzami obok szefa MON, miał ochotę wykonać ramionami charakterystyczny gest symbolizujący paszczę krokodyla.

Być może więc jest tak, że to medialne otoczenie PiS wypycha formację Kaczyńskiego w sztywny gorset? Doświadczony redaktor jednej ze stacji telewizyjnych, który był gościem na gali wręczenia nagrody Człowieka Wolności Jarosła-

wowi Kaczyńskiemu – a był to czas, gdy „Ucho prezesa” miało wciąż walor nowości – opowiadał potem, jak można było rozbroić bombę, pokazać dystans do siebie i zdobyć publiczność. Oto podczas uroczystości był czas na krótki film. Ten film mógł być przecież parodią parodii, czyli właśnie „Ucha prezesa”, zagrana w prawdziwym gabinecie przy Nowogrodzkiej przez prawdziwych Kaczyńskich i Błaszczaka, z prawdziwą panią Basią w tle. Tych troje można było pokazać, jak oglądają i komentują odcinek serialu Górskiego. Chwyt genialny, prosty i dający więcej niż sto ocieplających bożonarodzeniowych klipów z członkami rządu. To się jednak nie mieściło w koturnowej logice i prawdopodobnie nawet nikomu nie przyszło do głowy. Zamiast tego pokazano hagiograficzny filmik o Kaczyńskim, sztamponowy i nudny.

Na tej samej imprezie jedna z osób kierujących TVP zaczęła z Kaczyńskim luźną rozmowę o tym, czy nie byłoby warto zaproponować Górskiemu przeniesienia „Ucha...” do telewizji publicznej – m.in. po to, aby pokazać, że władza nie boi się satyry ani śmiechu z samej siebie; ba, nawet sama daje jej miejsce w państwowych mediach. W pewnej chwili pojawił się jednak redaktor naczelny bliskiego PiS tygodnika i zaczął pokrzykiwać, że Górski i jego kabaret „to nasi wrogowie”, a wrogom nie można folgować. Temat umarł.

W ostatnim czasie zwolennicy takiego podejścia do produkcji Górskiego zyskali argument w postaci wywiadu, jakiego „Gazecie Wyborczej” udzielił Tadeusz Śliwa, reżyser cyklu. Śliwa faktycznie nie jawi się w tej rozmowie jako miłośnik obecnej władzy. Tyle że Śliwa nie jest autorem koncepcji, scenariusza ani pomysłu. Jest tylko osobą wynajętą do ustawiania i instruowania postaci na planie. „Wyborcza” również dobrze mogłaby zrobić wywiad z niezycielowym dla PiS autorem scenografii albo jednym z operatorów kamer, a zwolennicy połykania kija mogliby to uznać za dowód na to, że „Ucho prezesa” to w gruncie rzeczy wrogi władzy spisek.

Największym wygrany jest Robert Górski. Pierwszy odcinek serialu ma dziś na liczniku blisko 9 mln wyświetleń, najnowszy, 14., w momencie pisania tego tekstu już niemal 750 tys. A Górski udowadnia, że można być satyrykiem nieczującym uwagi wobec żadnej władzy i pod żadnym sztandarem nie trzeba się meldować. Szkoda, że dla wielu innych to ekstrapolacja. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Sukces PWPW na konferencji High Security Printing

Podczas marcowej międzynarodowej konferencji High Security Printing Narodowy Bank Polski SA otrzymał prestiżową nagrodę za banknot o nominale 500 zł wyprodukowany przez Polską Wytwórnę Papierów Wartościowych SA. Nagroda została przyznana za unikalny projekt graficzny, zastosowanie innowacyjnych rozwiązań technicznych oraz wysoki poziom zabezpieczeń banknotu. O znaczeniu tego wyróżnienia oraz planach Wytwórni rozmawialiśmy z prezesem zarządu PWPW Piotrem Woyciechowskim i członkiem zarządu PWPW Robertem Malickim

Banknot stworzony przez PWPW został nagrodzony m.in. za ciekawy projekt graficzny. Kto jest autorem tego projektu?

PIOTR WOYCIECHOWSKI: Banknot o nominale 500 zł to część serii „Władcy polscy”, którą stworzył projektant i grafik Andrzej Heidrich. W latach 90. artysta sam zaproponował NBP, że zaprojektuje serię królewską. W wywiadach wspominał, że najbardziej bolało go, kiedy opiniujący serię historycy zrezygnowali z wizerunków królów elekcyjnych i seria kończyła się na Zygmuncie I Starym. Jak mówił, uważał, że „to trochę nieprzystojne”, gdy na banknotach królewskich nie ma Jana III Sobieskiego i Stefana Batorego. Teraz, po 30 latach od stworzenia propozycji projektu – w obecnie panującej sytuacji w Europie – w wymowny sposób powracamy z wizerunkiem Jana III Sobieskiego.

Jak długo trwały prace nad nagrodzonym banknotem?

PIOTR WOYCIECHOWSKI: Sam projekt powstawał osiem miesięcy, a jednym z najtrudniejszych elementów prac było wkomponowanie w grafikę zabezpieczeń wymaganych przez Narodowy Bank Polski. Należało je wprowadzić w taki sposób, by jak najmniej ingerować w kompozycję, a jednocześnie żeby było widać ich działanie. Tutaj muszę dodać, że banknot o nominale 500 zł, jako najwyższy w tej serii, jest również najlepiej zabezpieczony.

Właśnie poziom zabezpieczeń jest kolejnym elementem państwa prac, nagrodzonym na konferencji High



Prezes zarządu PWPW SA – Piotr Woyciechowski



Członek zarządu PWPW SA – Robert Malicki

Security Printing. Jakie nowoczesne technologie zostały użyte przy produkcji tego nominaku?

ROBERT MALICKI: Faktycznie, są to jedne z najlepiej zabezpieczonych banknotów na świecie – zarówno w zakresie zabezpieczeń przeznaczonych do weryfikacji autentyczności banknotów przez użytkowników, jak i zabezpieczeń do odczytu maszynowego.

Podstawowe zabezpieczenia zastosowane w banknocie to znak wodny w formie portretu Jana III Sobieskiego i element drukowany farbą opalizującą – widoczny na odwrotnej stronie banknotu. Przy jego produkcji zastosowano też szeroką nitkę okienkową z elementami optycznymi – jest to specjalny pasek, który może być umieszczony w całości wewnątrz banknotu, ale też na jego powierzchni. Zapewnia, że przy poruszaniu banknotem w płaszczyźnie pionowej i poziomej pojawia się efekt płynnej zmiany barwy z zielonej na niebieską i występuje dodatkowy efekt – wzór złożony z dwóch przecinających się wstęg sprawia wrażenie ruchomego. Inne zabezpieczenie zastosowane przy produkcji tego

nominatu to tzw. recto-verso. Jest to znajdujące się w prawym, górnym rogu przedniej strony banknotu niewielkie, owalne pole, na którym widać fragmenty rysunku. Na odwrotnej stronie banknotu w tym samym miejscu znajduje się taki sam owal z innym fragmentem tego samego rysunku. Patrząc na banknot pod światło, widzimy, że elementy graficzne na obu stronach uzupełniają się, tworząc idealnie spasowaną koronę.

Czy taka skala zabezpieczeń gwarantuje, że niemożliwe jest podrobienie tego banknotu?

ROBERT MALICKI: Wymienione elementy to tylko część technologii stosowanych przez PWPW. Decydując się na taką koncepcję zabezpieczeń, dołożyliśmy maksymalnych starań, aby podrobienie banknotu było jak najtrudniejsze, niemniej o żadnym dokumencie nie można powiedzieć, że podrobienie go jest niemożliwe. W zakresie zabezpieczeń banknotów mamy bowiem do czynienia ze stałym postępem technicznym, fałszerze również mają dostęp do coraz bardziej wyrafinowanych urządzeń i można powiedzieć, że mamy do czynienia z „ciągłym wyścigiem”.

Jakie są dalsze plany PWPW? Czy będą państwo realizować kolejne wspólne projekty z NBP?

PIOTR WOYCIECHOWSKI: Wprowadzenie do obiegu banknotu o nominale 500 zł kończy realizowany od 2011 r. projekt modernizacji banknotów polskich powszechnego obiegu. Biorąc pod uwagę okoliczności – zalecenia Interpolu o konieczności wprowadzania kolejnych zmian w banknotach co sześć-osiem lat ze względów bezpieczeństwa oraz podobne praktyki większości banków centralnych w Europie – nie można wykluczyć, że w kolejnej dekadzie doczekamy się modernizacji bądź nowej serii banknotów polskich. To jednak plany na dalszą przyszłość, najbliższy projekt na zlecenie NBP to banknot kolekcjonerski o nominale 20 zł z okazji 300-lecia koronacji obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej. Ukaże się on prawdopodobnie w sierpniu bieżącego roku.

Jednocześnie Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych od wielu lat prowadzi działalność eksportową, z sukcesem zdobywając nowe zamówienia poza Polską. Produkujemy banknoty, dokumenty i inne druki zabezpieczone, wraz z nowoczesnymi usługami, takimi jak systemy informatyczne do wydawania dokumentów biometrycznych. To długi i trudny proces budowania międzynarodowej marki i konkurencyjności firmy, ale jednocześnie naturalny dla PWPW kierunek rozwoju. Mamy po temu wszelkie atuty i kompetencje.



Andrzej Horubała

Jakub Żulczyk opublikował rewelacyjny 860-stronicowy thriller, w którym – tak jak w przypadku wystylizowanego na czarny kryminał „Ślepnąc od świateł” – postawił wstrząsającą diagnozę współczesnej Polski

Tym razem główną akcję umieścił nie w znarkotyzowanej, goniącej za kasą i odurzeniem Warszawie, lecz – podobnie jak w serialu „Belfer”, którego był współscenarzystą – na prowincji.

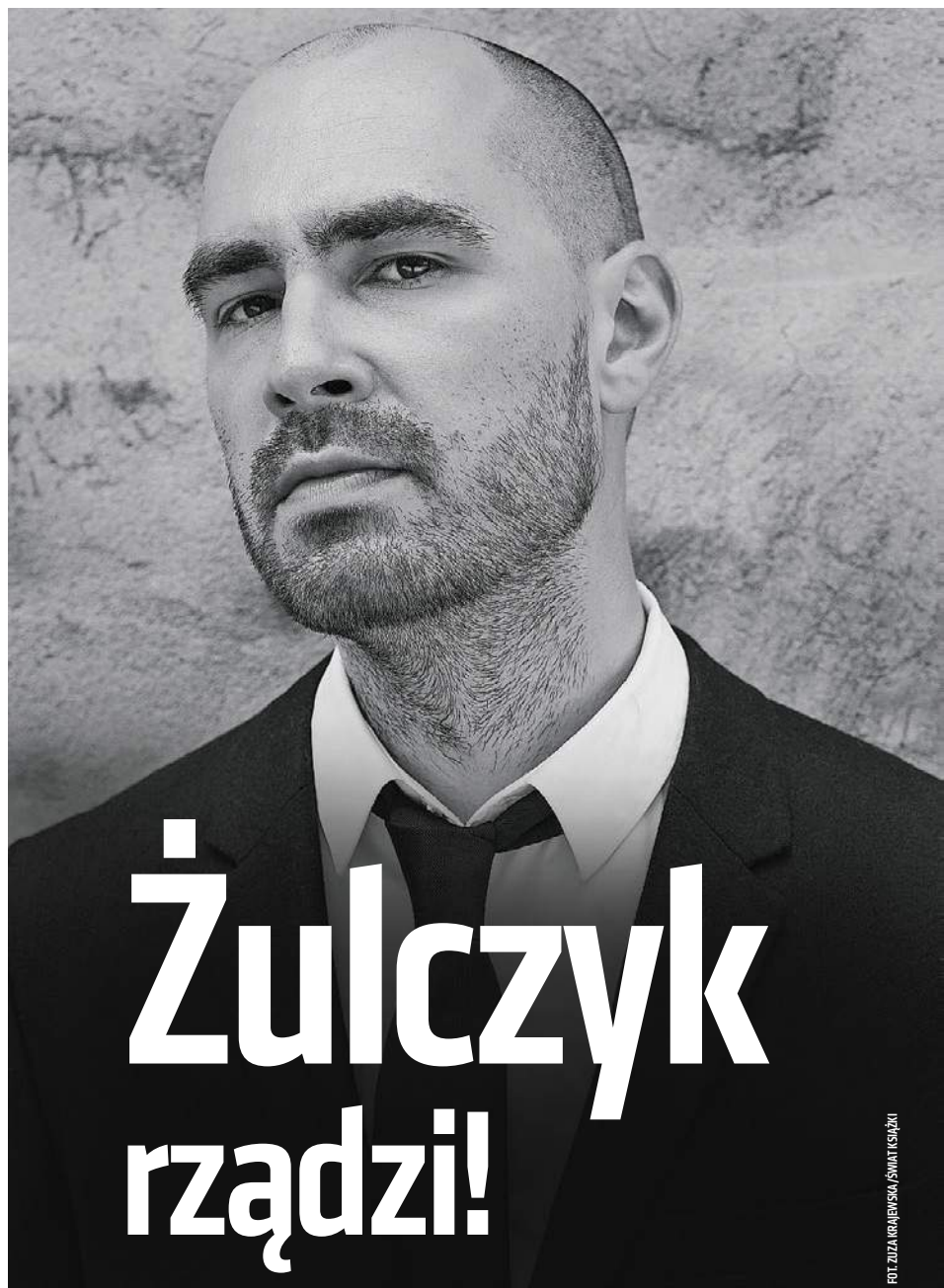
Do rodzinnego miasta – Żyborka, ponie-mieckiego zapyziałego grodu przyjeżdża oto z żoną nasz bohater – Mikołaj, by prze-czekać chwilowy, jak mu się zdaje, kryzys. Justyna straciła właśnie etat w „Gazecie Krajowej”, on nie radzi sobie z własną pracą, więc brakuje pieniędzy na spłacanie kredytu – warszawskie mieszkanie trzeba wynająć Portugalczykowi, a samemu szukać schronienia w domu ojca – eksalkoholika, który zwiąawszy się z nową kobietą i uporządkowawszy swe życie wyrasta na lidera lokalnej społeczności organizującej się przeciw bezzwzględnej sitwie pani burmistrz.

Ale przecież kryzysu nie da się tak po prostu przeczekać, tym bardziej że przeszłość, ta bliższa i dalsza, wciąż otwiera niegojące się rany.

Zdrada Justyny, która – wyciągnawszy Mikołaja z nałogu, rozczarowana jego labilnością – zapragnęła twardszego faceta, niezakończone porachunki Mikołaja z własnym miastem rodzinnym, toksyczne stosunki panujące w rodzinnych domach w Żyboroku, kres złudzeń związanych z drogą kariery i rozwoju obojga trzydziestolatków – to wszystko oplecione zostaje wstrząsającym wątkiem kryminalnym – porwaniami, gwałtami, przemocą, szantażem, bezsilnością zastraszonej mieszkańców.

ROZPACZ POKOLENIA

Żulczyk po raz kolejny wykorzystuje literaturę gatunkową do mocnej wypowiedzi na temat współczesnej Polski. Poszczególne rozdziały swej książki zaopatruje w podtytuły składające się na suplikację „Od powietrza / Od głodu / Od ognia /



FOT. ZUZANA KRZEWISKA, ŚWIATŁOKSZYD

Od wojny uchowaj nas, Panie” i nie jest to prosty zabieg podkreślający grozę powieści, ale – zdaje się – wyraz głębokiej rozpaczy. Rozpacz pokolenia, które doszło do ścian, rozpacz pokolenia, które widzi, że skończył się idealizowany świat i prysnęła bańka złudzeń związanych z jasną przyszłością.

Przypomnijmy piorunujący efekt, jaki osiągnął duet Demirski-Strzępka w spektaklu „nie-boska komedia. Wszystko powiem Bogu!”, gdy na koniec spektaklu wypuścił z głośników tę właśnie suplikację śpiewaną ostrym głosem Bogusi Stoch. Rozpacz i przerażenie związane z kresem mitu

modernizującej się korporacyjnej Polski, świadomość nieuchronnej przemocy, która niczym nieokiełznany żywioł wtargnąć musi w społeczną przestrzeń, przekonanie, że jakkolwiek stabilizacja jest już nierealna, znajdowały w wywołującym dreszcze świdrującym głosie góralki niesamowite echo.

Przywołuję duet Demirski-Strzępka nieprzypadkowo, bo Żulczyka wystawiającego współczesnej Polsce rachunek w imieniu generacji słoików, Żulczyka jako reprezentanta Polski B należy czytać jako dopełnienie tego, co zaistniało w teatrze dzięki plebejskim głosom odzywającym się

w „Niech żyje wojna”, a w pełni rozbrzmiało w „W imię Jakuba S.”, gdzie pokazano pańszczyźniany charakter współczesnego systemu oraz przemoc kulturową, na której ufundowana jest III RP.

Żulczyk zaopatruje głównego bohatera w pewne rysy autobiograficzne: Mikołaj ma 33 lata i wywodzi się z podobnych rejonów, co urodzony w Szczytnie autor. Jest pisarzem, który po odniesieniu spektakularnego sukcesu w stolicy pogrąża się w ciężkim nałogu. Ale przecież, choć czujemy, jak Żulczyk solidaryzuje się ze swą postacią i wielu diagnozom wypowiedzianym przez Mikołaja możemy przydać sankcji odautorskich wypowiedzi (nawet lamentom, że 33 lata to już starość), to przecież pisarz nie skąpi mu rysów karykaturalnych. Debiut Mikołaja, „Czarna, zimna woda” (oczywiście nawiązanie do tytułu powieści pieszczoszki „Gazety Wyborczej” Joanny Bator „Ciemno, prawie noc”) realizował przecież skuteczną receptę na sukces literacki w III RP. Z rozbijającą szczerością Mikołaj przyznaje, że zmyślił i księdza pedofila, i ekscesy antysemickie z malowaniem swastyk, i bycie katowanym przez ojca za pomocą stalowego pręta... „W krótkich chwilach zwątpienia mówiłem sobie – okej, Kosiński odważył podobny numer z »Malowanym ptakiem«, i to też była zemsta, nie miało znaczenia, że tak naprawdę ta rodzina go chroniła, że potem przyszli na jego spotkanie autorskie, a on nawet nie popatrzył im w oczy”.

WIELE OPowieści

Polska B, pełna patologii i toksyn, oglądana przez pryzmat literatury gatunkowej rządzącej się przerysowaniem, traktowana jest przez Żulczyka w sposób jawnie polemiczny wobec ujęć znanych z literatury modernizującej, tak wielbionej przez krytyków „Gazety Wyborczej”. Nie odrzucenie, szyderstwo, lecz próba zrozumienia i podjęcia trudnej solidarności stanie się dominantą opowieści o Zyborku... Mikołaj, wracając w rodzinne strony, dokonując obrachunku z własną młodością, podejmuje w pewnym momencie wyzwanie lokalnej społeczności: musi zmierzyć się z własnymi demonami i z własnym dziedzictwem, musi porzucić złudzenia dotyczące społecznego awansu. W tej drodze ku dojrzałości bohater nasz dostrzega i fakt, że jest nieodrodnym synem własnego ojca, którym po wielokroć tak pogardzał, i fakt, że jest coś winien wspólnocie, którą dotychczas traktował wyłącznie jako obciążenie.

W ramy thrilleru Żulczyk wciska mnóstwo innych gatunków: mamy tu i zarys

klasycznej Bildungsroman i kapitalną powieść pokoleniową pełną znaków popkulturowej identyfikacji – kolejny świetny po „Innej duszy” Łukasza Orbitowskiego ciemny obraz polskiej transformacji. (Jakże odległe to od naiwniutkiej bajki Pauliny Wilk zatytułowanej „Znaki szczególne”!).

Jest tu też historia młodszej miłości: nieporadnej, niedojrzałej, skoncentrowanej jak to u chłopców na erotyzmie. Opowiadana z wielką tklivością, że aż miejscami irytująca i przeciągnięta, świetnie pokazuje zakompleksionego, onanizującego się zawzięcie chłoptasia, zaskoczonego nagłym zainteresowaniem nie najbrzydszej dziewczyny. Ale przecież świadomość bohatera wyrasta ponad młodzieżową powieść: Daria chętnie udzielająca mu ciała, naiwnie szukająca opieki u spragnionego seksualnych doznań oraz prestiżu chłopaka, jest dla niego zarazem przedstawicielką prowincji, pozbawioną wyższych aspiracji dziewczuszką, która nie pasuje do ambitnego wyrwywającego się do wielkiego miasta Mikołaja, Juliana Sorela z Zyborka. Bo jaką przyszłość miałoby to uczucie?

„Co by było, gdybym został z nią w Zyborku aż do dzisiaj albo, tak jak chciała, wyjechał razem z nią na studia, pewnie do Olsztyna, i tam zamieszkał z nią w akademiku, a następnie wynajął z nią stancję, a potem znalazł pracę, a potem zrobił jej dziecko i wziął z nią ślub, i mogę się założyć, że na pewno piłyśmy więcej, może też bym ćpał, ale najpewniej po prostu bym pił, może nawet skończyłbym studia i pewnie pracowałbym na infolinii albo był managerem sprzedaży w salonie z komórkami, albo pracowałbym na stacji benzynowej, pewnie koniec końców wyładowałibyśmy w Olsztynie, a może po prostu wyjechalibyśmy na Wyspy... i miałbym jednego kumpla, jednego jedynego, który chciał być wielkim muzykiem i całkiem nieźle grał na gitarze, i miałby długie włosy, i byłby z Radomia, i pewnie miałby na imię Bartek, ale tutaj też zapierdalałby w fabryce, a na drugą zmianę roznosił ulotki...”

No tak, z perspektywy trzydziestoparolatka, można snuć takie oczywiste hipotezy życiorysu, tym bardziej, gdy ma się do pomocy Internet, który bezwzględnie pokazuje, gdzie wyładowali dawni bogowie i boginie, gdy ujrzeć można fotkę najpiękniejszej dziewczyny w mieście, jak podstarzała prowadzi żywot u boku tustawego i smutnego Włocha.

Wyprawy w rok 2000, gdy „dogasał rząd Jerzego Buzka, premiera, który

wyglądał w telewizji jak przesiadujący codziennie w parku, emerytowany, zadbane wdowiec”, są naprawdę kapitalne, a konfrontacja tamtego świata ze współczesnością – porażająca dla modernizacyjnego mitu.

Prowincjonalny powiatowy Jim Morrison przestaje być niedościgłym wzorem rockandrollowego artysty i królem wyobraźni, a piękno odnajduje się w zupełnie niespodzianych miejscach: w oczach ludzi, którzy zajmowali marginalną pozycję w latach młodości, jak dawna nauczycielka plastyki w niedostatku wychowująca teraz wspólnie z jednym z ostatnich rdzennych Mazurów siedmioro dzieci: „Przez podwórko, przez ciżbę spacyfikowanych przez mojego ojca psów, idzie kobieta, szczupła, ze spiętymi w kok włosami, w kolorowym swetrze, legginsach i zużytych trampkach. Ma specyficzną urodę, migdałowe oczy i ciemną cerę, idzie prosto i energicznie, mocno uderza stopami o ziemię. [...] intensywnie wpatruje się we mnie z promiennym uśmiechem. Ta kobieta dożyje kiedyś osiemdziesięciu lat, ale jej uśmiech wciąż będzie miał dwadzieścia”.

PERSPEKTYWA PROWINCJI

Prowincja to ikoniczna prawie scena, jak to ojciec na jakiejś rodzinnej imprezie religijnej – Wielkanoc? bierzmowanie syna? – zwała się na podłogę kompletnie pijany, pociągając za sobą obrus pełen nakryć i potem okręca się tym obrusem jak kołdrą i zasypia.

Prowincja – oszukana przez panów z Warszawy, której obraz jest szyderczym zaprzeczeniem „modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnego”.

Prowincja – degenerująca się, ale próbująca wstać z upadku. Jak ojciec Mikołaja, który pochowawszy żonę, zerwał z nałogiem i podjął się społecznej misji. I przecież syn w końcu przyłączył się do niego, choć w chwili szczerości wygarnie mu: „Słuchaj, ja wiem, że człowiek, który przestaje pić, musi sobie znaleźć jakieś nowe zajęcie, i ty je masz, walczysz z całym światem, w sensie światem, który znasz, tato, czyli Zyborkiem”.

Podobnie młodszy brat Mikołaja, Grzegorz, dźwigający się z moralnego dna, będzie widział marną skalę ich rodzinnej walki z lokalną korupcją pani burmistrz, która dla zyskania poparcia sprowadza sobie gwiazdy ze stolicy: Lisa czy Gugałę albo Marka Sierockiego, by poprowadził jej urodzinowy bal: „Scacie się, jakby się miało bez was, kurwa, rozpaść to miasto. [...]”

Uratujcie, kurwa, siebie, zanim wam do końca nie zryje mózgów. Wy sobie spędzacie wolny czas. Popatrzcie na siebie. Wyglądacie jak »Pamiętniki z wakacji«. Tylko grilla wam brakuje, kurwa. I mięsnego jeża. Rozpalić wam grilla? Pojechać po kiełbasę? Kaszanki też kupić?! – krzyczy Grzesiek i coraz bardziej rozumiem, że w pewnym sensie żartuje”.

No właśnie, z jednej strony świadomość własnej nędzy, z drugiej jednak silny imperatyw porządkowania świata, czynieniaładu.

Prowincja, Polska B to nie tylko obciążenie, to nie tylko niski kapitał kulturowy, to także unikatowa perspektywa spojrzenia na Warszawę i jej elitę: „Brodaci i zmiętoleni życiem dziennikarze i publicyści upijali się do spodu wraz ze zneurotyzowanymi dramaturgami, rozgorączkowanymi lewicowcami, działaczami społecznymi, kuratorami sztuki. Całe to towarzystwo było nieszczerze i świadome istnienia jakiegoś świata poza nimi samymi i śmiertelnie przeżarte wszystkim, co przeczytało w tygodnikach opinii i na Facebooku. Wszyscy chodzili do tych samych liceów, typu Batory, ba, nawet ich rodzice chodzili do tych samych liceów, działali w tej samej opozycji, a po osiemdziesiątym dziewiątym rozbili bank na różnych sprytnych, niewidocznych w powszechnym chaosie operacjach, na przykład na uwłaszczeniach opozycyjnych tytułów prasowych”. Ale Mikołaj, choć darzy Warszawę uczuciem *hassliebe*, świadom jest w pewnym momencie, że nie ma już powrotu do tamtego życia „pustego jak kubek po hipsterskiej kawie”.

POLIFONICZNY ŚWIAT

Korzystając z alibi gatunkowej powieści umieszcza Żulczyk w książce oczywiście trochę wątpliwych *passusów* i ocierających się o grafomanię partii. Tak odebrałem chociażby dialog bohatera z Punisherem z okładki DVD na stacji benzynowej. Męczyły mnie też okrutnie zbiorowe sceny protestu w miasteczku pod wodzą ojca. No tak, ale przecież później Żulczyk wybronił się, dokonując niesamowitego zwrotu akcji.

Nie uniknął też autor na przestrzeni 860 stron świetnie napisanej powieści lekkich kiksów: scena odliczania w boksie

– od dziesięciu do jednego będzie chyba wyśmiewana przez jego znajomych trenujących sporty walki, zaś pomysł, by zatrzasnąć podpalane pomieszczenie, odcinając tym samym dopływ tlenu, zdaje się mocno niefortunny.

Ale przecież to są naprawdę drobiazgi. Bo Żulczyk napisał książkę wyborną.

Prowadzi we „Wzgórzu psów” narrację z wielu punktów widzenia i oprócz perspektywy Mikołaja, który raczy nas także kapitalnym drastycznym wspomnieniem z okresu heroinowego, gdzie dojmująco, niczym Tomasz Piątek w debiutanckiej powieści, pokazuje moralną nicość, do jakiej prowadzi ćpanie, oprócz perspektywy Mikołaja poznajemy też świat według Justyny próbującej na nowo ułożyć relacje z mężem, Justyną, która jako dziennikarka natrafiła na trop wielkiej pedofilskiej afery w stolicy.

Żulczyk wplata więc w thriller rozgrywający się na Mazurach wątek przestępczej działalności warszawskiej elity. Znamy to,

znamy z legendy miejskiej, nigdy rzeczywistości do końca niezwyryfikowanej, blokowanej, znanej tylko z niedopowiedzeń i plotek. Proceder z udziałem „znanego polskiego reżysera, wieloletniego dyrektora różnych spółek skarbu państwa, byłego ministra rolnictwa i jednego z bardziej medialnie krewkich biskupów”. Kiedy – zadaje sobie pytanie zwolniona z pracy dziennikarka – wymierzona zostanie sprawiedliwość i pomszczona krzywda tych dzieci? Ale przecież Justyna, jedna z wielu mocnych kobiet przewijających się przez książkę, przychodzi tu nie tylko jako pani redaktor z Warszawy. To także

żona walcząca o małżeństwo, kobieta, która wyciągnęła z narkotykowego piekła swojego mężczyznę, a teraz nie potrafi odnaleźć się w nowej sytuacji. Wątek partnerów szukających dojrzałości w związku, próbujących skleić rodzinę po zdradzie, obfitujący w drastyczne sceny przemocy, szokujące zwroty uczuciowe, jednocześnie nasycony jest przecież przywoływanymi z tkliwością codziennymi rytuałami, jak te, gdy Mikołaj dla żartu wciela się w różne postaci – dresiarza albo policjantów, albo księży i obsadza swą żonę w rolach Sabin, Andżel i innych tipsiar.

I Justyna, choć podchodząca z odrazą do lokalnej prowincjonalnej społeczności, odkrywa przecież w niej niespodziewane

bogactwo. Jak wtedy, gdy przypadkiem podsłuchuje Agatę, drugą żonę jej teścia, jak podśpiewuje dzieciakom piosenkę Breakoutu, akompaniując sobie na gitarze. „Jej gitara jest stara i kiepska, ma nalepione na pudle serduszko Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Przeżyła niejeden oazowy zlot i harcerskie ognisko”. Czy gdy spotyka na swej drodze inne kobiety z Zyborka – choć często topiące swe smutki w alkoholu, lecz gdy trzeba – twarde i nie do pokonania.

Chcę przekazać swój zachwyt książką, a muszę unikać spoilerowania, więc jeszcze o tych punktach widzenia. To nie tylko świetny chwyt dynamizujący narrację, kapitalnie pokazujący zresztą wewnętrzne przemiany bohaterów, lecz także możliwość ukazania polifonicznego świata, świata złożonego, niepodlegającego jednemu osądowi.

I przecież finał powieści, gdy zgodnie z wymogami gatunku domykają się poszczególne wątki, nagle za sprawą partii Justyny staje się wieloznaczny i otwarty. Otwarty na różne interpretacje i różne ciągi dalsze.

Żulczyk po mistrzowsku prowadząc opowieść, serwując nam niesłychanie bogatą ucztę, pełną językowych koncepcji i zwodnych tropów, prowadzi nas do wstrząsającego finału, finału, który przecież bardzo wiele mówi o współczesnym świecie.

Jak każda wyborna literatura gatunkowa thriller Żulczyka stanowi istotną diagnozę społecznego samopoczucia. Pisarz przez przyzwolenie na przemoc pokazuje coś wstrząsającego, co wisi w powietrzu: biegnącą w poprzek politycznych podziałów i ideologicznych sporów świadomość wyczerpania się tradycyjnych środków, by w naszym świecie zaprowadzić ład.

I przecież nie w dygresjach, nie w przemądrzałych wypowiedziach bohaterów, lecz właśnie w warstwie fabularnej thrillera należy szukać najistotniejszego rozpoznania, jakie stawia nam przed oczy Żulczyk.

Dając się wciągnąć w ponurą krwawą historię, uczestnicząc w zbrodni, solidaryzując się z Mikołajem, w bezpiecznych ramach gatunkowej powieści śnimy nasz sen o przemocy: sen będący koszmarem i zarazem marzeniem. Sen, z którego wychodzimy wstrząśnięci: bezsilni, zdumieni, ale i z niepokojącym poczuciem spełnienia.

A Żulczyk wyrasta na jednego z najmocniejszych akuszerów naszych snów, na pisarza, który dzierży klucz do zbiorowej wyobraźni.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
JAKUB ŻULCZYK
„WZGÓRZE
PSÓW”
ŚWIAT KSIĄŻKI
2017

W pogoni za rekordami



Piotr Gociek

Każdy narzeka, wszyscy chodzą oglądać – sezon na kinowe superprodukcje roku 2017 właśnie się rozpoczął

Sezon na wielkie zarabianie rozpoczął film „Szybcy i wściekli 8” (pół miliarda dolarów w tygodniu premiery na całym świecie), a kolejni chętni ustawili się w kolejce. Na polskich ekranach zagościł już film „Strażnicy Galaktyki vol. 2” i od tej chwili niemal co tydzień do kin będą wchodziły filmy, których producenci liczą na bicie kasowych rekordów. Oto krótki przegląd nadchodzących premier.

„OBCY: PRZYMIERZE” (12 maja)

Ridley Scott powraca do swojej najsłynniejszej kreacji – choć po „Obcym” powstały trzy kontynuacje i dwa spin-offy, to właśnie film Scotta z roku 1979 uznawany jest za najlepszy i za wzorcowe skrzyżowanie SF z horrorem. „Obcy: Przymierze” to zarówno ciąg dalszy filmu „Prometeusz” (akcja rozgrywa się 10 lat później), jak i początek nowej serii (trylogii?), która wedle obietnicy reżysera ma wyjaśnić pochodzenie krwiożerczej rasy obcych, rozszerzyć naszą wiedzę o rasie naszych przodków Inżynierów oraz doprowadzić fabułę do chwili, w której zaczyna się oryginalny, pierwszy film. Swoje piętno na nowym produkcie Ridleya Scotta odcisnęła także polityczna poprawność – film jest promowany jako pierwszy

z cyklu, w którym pojawia się gejowska para.

„PIRACI Z KARAIBÓW: ZEMSTA SALAZARA” (26 maja)

Choć już trzecia część cyklu „Piraci z Karaibów” zdawała się prowadzić go do przesady na granicy autoparodii, to okazało się, że w Hollywood wszystko jest możliwe i powstała część czwarta („Na nieznanach wodach”), a teraz piąta, w której oprócz ulubieńca widzów kapitana Jacka Sparrowa (Johnny Depp) mają powrócić także bohaterowie oryginalnej trylogii, to znaczy Elizabeth Swann (Keira Knightley) i Will Turner (Orlando Bloom). Biorąc zaś pod uwagę, że jest to jedna z najbardziej dochodowych francyz Disneya, a pirackie parki rozrywki są stałą częścią Disneylandów, możemy oczekiwać jeszcze wielu kolejnych dokrętek.

„WONDER WOMAN” (2 czerwca)

Wśród filmów według komiksów wydawnictwa DC „Wonder Woman” będzie pełniła funkcję podobną do tej, jaką w uniwersum Marvela wypełniał „Kapitan Ameryka: Pierwsze starcie”. Tam poznaliśmy pochodzenie jednego z najważniejszych członków Avengers, cofając się do czasów II wojny światowej. W filmie Patty Jenkins cofamy się do I wojny światowej, by przyjrzeć się początkom kariery wojowniczej księżniczki Amazoнок, w przyszłości podpory Ligi Sprawiedliwości. Grająca ją Gal Gadot pojawiła się rok temu na drugim planie filmu „Batman v Superman: Świt sprawiedliwości”.

„MUMIA” (9 czerwca)

Film Alexa Kurtzman (dotąd znanego głównie z roli producenta) to jedna z tych premier sezonu, przy których wypada postawić największy znak



zapytania. Po co wracać raz jeszcze do historii o mumii sprzed tysięcy lat, która wykopana przez ciekawskich archeologów przyniesie ludzkości nieopisane plagi? Już tłumaczę – studio Universal planuje nakręcenie nowych wersji wszystkich swoich klasycznych horrorów i połączenie ich w jedno uniwersum: Universal Monsters. Podobnie jak w przypadku kinowego uniwersum Marvela czy DC fabuły poszczególnych tytułów będą mogły być ze sobą swobodnie łączone i krzyżowane. Zaczyna się od „Mumii”, a w kolejce czekają już „Niewidzialny człowiek” oraz „Van Helsing”. W „Mumii”, której główną atrakcją jest Tom Cruise, pojawi się także Russel Crowe w roli doktora Jekylla, co sugeruje oczywiście, że i ten bohater może doczekać się wkrótce swojego nowego filmu.

„AUTA 3” (15 czerwca)

Zygzak McQueen jest u szczytu sławy, ale nikt nie jest w stanie wygrywać wiecznie. Zwłaszcza gdy na torze wyścigowym pojawiają się samochody nowej generacji. Pokonany i poharatany bohater animowanych hitów Pixara o antropomorficznych samochodach powraca do rodzinnej wioski, by dojść do siebie i zdecydować o własnej przyszłości. Dwa pierwsze filmy zarobiły łącznie ponad miliard dolarów, trzeci więc wydaje się kasowym pewniakiem. Nie wydaje się, by tego lata „Autom 3” poważnie zagroziła konkurencja (najciekawsze tytuły to „Gru, Dru i Minionki”, „Kapitan Majtas: Pierwszy wielki film” oraz „Gang Wiewióra 2”).

„KRÓL ARTUR: LEGENDA MIECZA” (16 czerwca)

Guy Ritchie pokazał dwoma kinowymi filmami o Sherlocku Holmesie, że potrafi kręcić dobrą rozrywkę dla bardzo szerokiej publiczności. Jego pierwsze filmy – beczelne, brutalne i zabawne – były jednak propozycją nieco niszową („Porachunki”, „Przekręt”). „Król Artur” to przedsięwzięcie ryzykowne – przekucie mitu

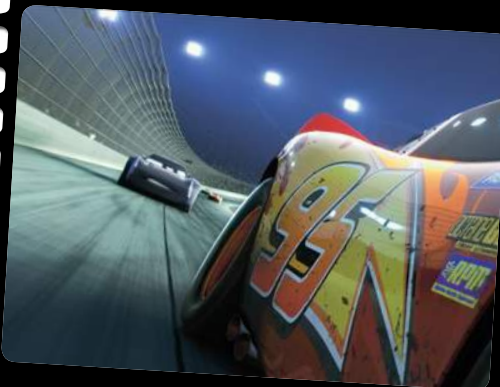
arturiańskiego w rozrywkową fantazy. Przegrzywali z tym tematem twórcy tak różni jak Antoine Fuqua („Król Artur” z roku 2004) czy Jerry Zucker („Rycerz króla Artura” z roku 1995). Wygrywali ci, którzy postawili na surową koturnowość („Excalibur” Johna Boormana) albo rozrywkę rodzinną („Miecz w kamieniu” wytwórni Disneya). Guy Ritchie sięga po inne wzorce – podpatruje „Grę o tron”, a w roli głównej obsadził Charliego Hunnama, znanego przede wszystkim z serialu „Synowie anarchii”.

„SPIDER-MAN: HOMECOMING” (14 lipca)

To już trzecie kinowe życie Spider-Mana w ciągu minionych 15 lat. Najpierw była trylogia Sama Raimiego (2002–2007), w której rolę człowieka pająka grał Tobey Maguire. W planach były kolejne filmy, ale serię skasowano i zaczęto opowiadać od początku. Nowym Spider-Manem został Andrew Garfield, który zagrał tę rolę dwukrotnie (w latach 2012 i 2014), ale nie dane mu było doczekać końca planowanej trylogii. W związku z bujnym rozwojem kinowego uniwersum Marvela okazało się bowiem, że ten najbardziej młodzieżowy z superbohaterów w trykotach ma do odegrania ważną rolę jako jeden z członków Avengers. To zaś sprawiło, że jego historię trzeba było znów zresetować. I tak obdarzonym supermocami licealistą został Tom Holland (widzieliśmy go już przez kilka chwil w filmie „Kapitan Ameryka: Wojna bohaterów”).

„DUNKIERKA” (21 lipca)

Christopher Nolan nie kręci małych filmów, zatem po jego obrazie wojennym wszyscy spodziewają się połączenia rozmachu „Incepcji” z intensywnością emocjonalną „Pokuty” Joe Wrighta (wedle prozy Iana McEwana). Z tym ostatnim może być problem. Nolan bez wątplenia jest jednym z tych nielicznych reżyserów, którzy potrafią sprawić, byśmy uwierzyli w realność świata przedstawionego, ale jego



OPRAC. GRAF PŁACZ

scenariusze pozostają chłodne i wykalkulowane. „Dunkierka” zastępuje na uwagę z trzech powodów. Po pierwsze, niezmiernie ciekawi mnie, czy twórca „Interstellar” i „Batmana” obroni się jako kreator wymagającego i specyficznego kina batalistycznego. Po drugie, w głównych rolach pojawią się Tom Hardy i Cillian Murphy. Po trzecie, dla zmagających się wciąż z pytaniem „Jak opowiadać o swojej historii?” Polaków będzie to kolejna lekcja pokazująca, w jaki sposób militarne klęski przekuć w propagandowe sukcesy.

„VALERIAN I MIASTO TYSIĄCA PLANET” (4 sierpnia)

Luc Besson to szczęściarz i ryzykant (może te cechy muszą występować w parze?). Szczęściarz, bo może sobie pozwolić na kręcenie filmów, o jakich marzył za młodu, ryzykant, bo gigantyczny budżet „Valeriana” (ponad 200 mln dol.) może zatopić jego studio EuropaCorp, jeśli wpływy okażą się mniejsze od oczekiwanych. Zwiastuny filmu obiecują widzom „Piąty element” do potęgi entej, widowisko science fiction o niezwykłym rozmachu – i to jest dobra wiadomość. Poten-

cjalne pułapki kryją się gdzie indziej. Komiksowa seria o agencie Valerianie nie jest znana poza rynkiem frankofońskim, więc Besson nie może liczyć na sentyment fanów, którzy wychowywali się na komiksach Marvela i DC. „Piąty element” wabił też gwiazdami w rolach głównych (Bruce Willis, Gary Oldman), podczas gdy Dane DeHaan i Cara Delevingne to w porównaniu z tamtą obsadą para ludzi bez właściwości.

„MROCNĄ WIEŻĄ” (11 sierpnia)

Kilka lat temu wydawało się, że jeśli chodzi o ekranizacje najambitniejszych przedsięwzięć Stephena Kinga, to wyścig wygra „Bastion”. Apokaliptyczna opowieść miała być kinową trylogią, na razie nic z tego nie wyszło, niespodziewanie za to fani dostaną inny prezent – „Mroczną wieżę”. Literacki oryginał to wielotomowa saga stworzona przez Kinga od roku 1982, przedziwna, ale i wciągająca historia świata odmiennego (bardziej „zużytego” niż nasz), a jednocześnie związanego na różne sposoby z innymi powieściami Kinga. Ta metafikcja okazała się wielkim sukcesem wydawniczym – czy da się jej urok oddać na ekranie, to zupełnie inna

sprawa. Trzeba jednak podkreślić, że film Nikolaja Arcela nie jest adaptacją serii, lecz nową przygodą osadzoną w znanym fanom uniwersum.

I TAK DALEJ

Koniec lata 2017 wcale nie będzie oznaczał końca spotkań z kinowymi superprodukcjami. Jesień przyniesie wielkie starcie konkurencyjnych filmów o superbohaterach – „Liga Sprawiedliwości” (reż. Zack Snyder) kontra „Thor: Ragnarok” (reż. Taika Waititi) oraz dwie premiery, na które szczególnie mocno czekają miłośnicy fantastyki. Na październik zaplanowano premierę filmu „Blade Runner 2049”. Za ciąg dalszy kultowego „Blade Runnera” Ridleya Scotta (u nas znanego jako „Łowca androidów”) zabrał się Denis Villeneuve, reżyser „Nowego początku”. A w grudniu do kin trafi kolejna część najslawniejszej fantastycznej sagi wszech czasów: „Gwiezdne wojny: Ostatni Jedi”. Wtedy będzie można odpocząć, a po chwili zmierzyć się także z poważnym wyzwaniem: zaplanować wydatki na święta w taki sposób, żeby została rezerwa na bilety do kina w roku 2018.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

1000 biletów na Festiwal Muzyki Filmowej do zdobycia już teraz w RMF Classic

RMF
Classic

Szczegóły na www.rmfflclassic.pl

 **Kraków**

20^{lat}
kbf★

fmf



Słuchaj nas on-line:
www.rmfflclassic.pl



Słuchaj nas w telefonie. Pobierz aplikację w App Store, Google Play, Microsoft Marketplace.

Białystok 90,0 FM
Bydgoszcz 95,1 FM
Częstochowa 89,9 FM
Elbląg 91,2 FM

Gdańsk 88,4 FM
Gdynia 107,1 FM
Katowice 94,1 FM
Kielce 99,0 FM

Kraków 87,8 FM
Lublin 107,6 FM
Łódź 105,0 FM
Olsztyn 100,9 FM

Opole 97,5 FM
Poznań 103,9 FM
Szczecin 98,0 FM
Toruń 105,5 FM

Warszawa 98,3 FM
Wrocław 91,2 FM
Wrocław 99,2 FM
Zielona Góra 89,0 FM

Piłka, orzeł i swastyka

W filmie „Gwiazdy”
w postać Jana
Banasia wcielił
się Mateusz
Kościukiewicz
FOT. ROBERT JAWORSKI



Tomasz Zbigniew Zapert

Czy gdyby nie absencja Jana Banasia w 1974 r., wygralibyśmy mundial? O naszym, chyba najlepszym w historii, prawoskrzydłowym traktują „Gwiazdy”

To bodaj dziewiąta polska produkcja z futbolówką w roli wiodącej. Filmy i seriale: „Zawsze w niedzielę”, „Święta wojna”, „Do przerwy 0:1”, „Niedziela Barabasa”, „Gra o wszystko”, „Remis”, „Pięć minut przed gwiazdką” oraz „Piłkarski poker” powstały jeszcze w PRL.

W najnowszej produkcji śledzimy na ekranie perypetie dwóch przyjaciół z boiska, że sparafrazując tytuł socrealistycznego szlagieru Chóru Czejanda (muzyka Władysława Szpilmana, słowa Artura Międzyrzeckiego). Jan (Mateusz Kościukiewicz) i Ginter (Sebastian Fabijański) mieszkali w tym samym górnośląskim familoku, a ich place zabaw stanowiły okoliczne hałdy. Do nauki wykazywali znacznie mniejszy zapał niż do piłki. Wspólnie pokonywali kolejne szczeble futbolowego wtajemniczenia. Razem

podkochiwali się też w podwórkowej rówieśniczce Marlenie (Karolina Szymczak), co stało się zarzewiem waśni. Czy skutkowało brutalnym faulem Jana na Ginterze? Tak to w każdym razie kontuzjowany odebrał. A ponieważ uraz wykluczył go z wyczynowego sportu, postanowił się zemścić. Początkowo poprzez intrygi, następnie za pomocą noża. Ten wątek do licentia poetica scenarzystów Jacka Kondrackiego i Jana Kidawy-Błońskiego, także reżysera. Jednak prawdziwe losy Banasia są na tyle barwne, dramatyczne i znamienne dla PRL-owskiej rzeczywistości, że warto prześledzić, jak to było w rzeczywistości.

Piłkarz przyszedł na świat w roku 1943 w Berlinie. Rodzice – polska Ślązaczka i oficer Wehrmachtu Paul Helmig – poznali się we Lwowie, gdzie ona pracowała w charakterze tłumaczki. Nie mieli ślubu. Noworodkowi nadano imiona Heinz-Dieter, lecz nosił panieńskie nazwisko mamy – Banas, pisane w transkrypcji niemieckiej bez „s” na końcu. Ojciec wkrótce zaginął na froncie wschodnim, a matka z niemowlakiem wrócili na rodzinną ziemię.

KUBEK KAKAO

Kilkuletni chłopiec rzuca piłeczkę tenisową na pochyły dach, a kiedy ta spada, kopie ją w stronę bramki. Pierwszy kadr filmu doskonale oddaje klimat dzieciństwa jego bohatera. Futbol

od najmłodszych lat był jego pasją. Po lekcjach w podstawówce, niezależnie od pogody, do zmierzchu kopał z kolegami szmacciankę. Początkowo w trampkach i tenisówkach, ale te się szybko niszczyły, toteż szewc przerobił mu na korki znacznie solidniejsze obuwie kolarskie. Niebawem chłopiec dowiedział się o naborze młodzików do AKS Mikołów. Po wyczerpujących testach z 300 chętnych zostało 30. Trenujący narybek wspierało kajzerką z masłem i kubkiem kakao. Kilka lat później z klubowymi kolegami – m.in. Zygfrydem Szołtysikiem i Antonim Piechniczkiem – wywalczył (ze Zrywem Chorzów) mistrzostwo Polski juniorów. Wtedy upewnił się, że będzie żył z kopania piłki, a nie węgla, chociaż w rubryce „zawód” wpisywano mu: cieśla dołowy. To było jednak w czasach, gdy grał już w Górniku Zabrze. Piłkarsko ukształtował się zaś w bytomskiej Polonii, dokąd został sprzedany przez Zryw za 16 par butów i sprzęt sportowy.

O sile polonistów decydowali nie tylko Ślązacy. To był klub potężnie wzmocniony w 1945 r. przez zabużańskich wygnańców, nawiązywał do tradycji lwowskiej Pogoni, a kluczową rolę odgrywał w nim Kazimierz Trampisz razem ze Stanisławowa. Obok niego grały takie gwiazdy jak: Edward Szymkowiak, Henryk Kempny i Jan Liberda. Heinz-Dieter Banas miał się na kim wzorować, systematycznie podnosił kwalifikacje,

toteż upomniała się o niego reprezentacja narodowa. I wówczas odnalazł go tata. Telefonicznie.

WIZYTA U WOJEWODY

Zadzwoił do Bytomia, proponując synowi spotkanie w Niemczech Zachodnich. Za sprawą mediacji kanclerza Konrada Adenauera Helmig trafił tam wraz z resztką jeńców Wehrmachtu po niemal dekadzie spędzonej w sowieckich łagrach. Minęło kilka miesięcy, nim słowo stało się ciałem. Spotkanie odbyło się przy okazji wyjazdu Polonii Bytom na mecz nieistniejącego już rozgrywek o Puchar Intertoto. Tata zaoferował potomkowi grę w Bundeslidze, kreśląc przed nim świetlane perspektywy i wizję lukratywnych honorariów. 23-latek dał się skusić i – jak się ówczesnie określało – wybrał w RFN wolność. Szybko wyszło na jaw, że Helmig chciał jedynie na synu zarobić, a ten na występy piłkarskie musi poczekać dwa lata, gdyż na tyle zdyskwalifikował go Polski Związek Piłki Nożnej, co zaakceptowała FIFA. W końcu Heinz-Dieter, zatrudniony w Niemczech Zachodnich dorywczo jako kierowca, trafił do FC Köln. Przez rok trenował tam w optymalnych warunkach razem w wicemistrzami świata Wolfgangami: Weberem i Overathem. Pod okiem Seppa Herbergera, szkoleniowca, który w 1954 r. doprowadził drużynę narodową RFN do globalnego czempionatu. Działacze klubu czynili starania o skrócenie karencji Polaka. Bezskutecznie, a Banas czuł, że uciekają mu najlepsze sportowo lata. Niespodziewanie zdecydował się powrócić do Polski i natychmiast został wezwany na dywanik do Jerzego Ziętka (z pietyzmem zagrany przez Mariana Dziędziela). Był pewny, że nie wróży to niczego dobrego, a tymczasem wszechwładny wojewoda śląski potraktował go po ojcowsku: „Synku, coś ty za głupota zrobił, żeś tam został? Ale się nie martw. Ja zech też zrobił jedyn feler. Ożenił się z tą moją starą”. Dygnitarz doprowadził do powrotu piłkarza na boisko. Tyle że występował odtąd na nim jako Jan Banas.

DO RFN WSTĘP WZBRONIONY

Pobyt w FC Köln nie poszedł na marne. Poznał język, rozwinął futbolowe umiejętności, co skutkowało transferem z Polonii do Górnika Zabrze – do dziś nie ustalono, ile ton węgla za niego zapłacono – ponownie otrzymał powołanie do kadry biało-czerwonych. Dzięki golom strzelonym Bułgarom i Anglikom wydatnie

przyczynił się do uczestnictwa naszej reprezentacji w – odpowiednio – turnieju olimpijskim oraz mundialu. Dlaczego zatem na tych imprezach go zabrakło? Ponieważ komuna pozwoliła mu wyjeżdżać za granicę wszędzie z wyjątkiem Niemiec Zachodnich. Berlińczyk z urodzenia, na dodatek z piętnem zbiega, miałby reprezentować Polskę Ludową w ojczyźnie następców Krzyżaków?! A igrzyska olimpijskie i mistrzostwa świata odbywały się właśnie w RFN.

Nawet selekcjoner Kazimierz Górski nie był w stanie doprowadzić do uchylenia tego zakazu i dlatego musiał szukać sukcesora Banasia. Wybrał Grzegorza Latę. Podwładni Górskiego zdobyli medale i doczekali się sportowych rent, a Banas z ledwością uciulał na operacje stawów biodrowych. Po ponad 30 latach uprawiania futbolowego rzemiosła trzeba było bowiem założyć endoprotezy. Wprawdzie za czasów gry w Górniku – pod okiem węgierskiego trenera Gézy Kalocsaya, a w towarzystwie m.in. Huberta Kostki, Stanisława Ośliży, Zygfryda Szołtysika, Jerzego Gorgonia i Włodzimierza Lubańskiego (na ekranie w interpretacji aktor-skiego narybku), zwieńczonej dwukrotnym mistrzostwem kraju, trzykrotnym zdobyciem Pucharu Polski oraz awansem do finału śp. Pucharu Zdobywców Pucharów, zarabiał tyle, że ciężko było wydać, lecz on nie miał z tym kłopotów.

Regularnie odwiedzał eleganckie restauracje i modne dancinigi. Jako jedyny na Górnym Śląsku jeździł fordem mustangiem w kolorze czerwonym – jak barwy zabran. Samochodowi był wierny, kobietom mniej. To chyba one nadały mu przydomek Bubi. Miał liczne miłostki i może dlatego pozostał kawalerem. Zgodnie z ówczesnymi przepisami dopiero po ukończeniu 32 lat zezwolono mu wyjechać na

sportowe saksy, chociaż oferty z zagranicy dostał już znacznie wcześniej.

SIEDEM DOLARÓW PREMII

Zrazu trafił do Wisły Chicago, gdzie prezesem był Edward Mazur, znany w III RP od zgoła innej strony, lecz występy tylko za wikt i lokum mu nie odpowiały, toteż po równie krótkich pobytach w dwu innych polonijnych drużynach przeniósł się do ligi meksykańskiej. W barwach Atlético Español wytrwał tylko sezon. Wprawdzie na monumentalnym Estadio Azteca w Mexico City obserwoowało go z trybun po 50 tys. widzów, klub płacił solidnie, a on był w formie, ale nagle w krainie tequili nastąpiła raptowna i nieoczekiwana dewaluacja peso. Kapitał, skrupulatnie odkładany na bankowe konto, momentalnie stracił trzy czwarte wartości. Piłkarzowi pozostał imponujący chevrolet corvette. Limuzyna paliła jak smok i nie opłacało się jej sprowadzać do Europy, gdzie benzyna była znacznie droższa. A Banas kilkanaście kolejnych lat spędził w klubach z coraz niższymi lig francuskich, po czterdziestce, ukończywszy stosowne kursy, przeistoczył się zaś w grającego trenera. W swojej śląskiej sadybie zakotwiczył, bez wielkiej fortuny, po 15 latach tułaczki.

Wiedzie skromny żywot, utrzymuje kontakt z futbolem, czasem wspomina dawne czasy. Kiedy wyjeżdżał z Górnikiem za żelazną kurtynę, przy okazji dorabiając z kolegami na kontrabandzie (pyszny epizod Olafa Lubaszenki w roli czechosłowackiego celnika). Albo gdy zimą klub przygotowywał się do sezonu w latynoskich tropikach. Czy też wyjazdowy remis naszej drużyny narodowej z Argentyną, za który biało-czerwoni otrzymali po 7 dol. premii na głowę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**PATRONAT
DO
RZECZY**



12 maja na ekrany polskich kin wchodzi film „Gwiazdy” w reżyserii Jana Kidawy-Błońskiego, będący swobodną opowieścią o życiu mającego polsko-niemieckie korzenie piłkarza – Jana Banasia (ur. 1943).

W roli skrzywdzonego przez los i politykę reprezentanta Polski i Górnika Zabrze – Mateusz Kościukiewicz.

A w tej piłkarsko-miłosnej opowieści towarzyszą mu: Sebastian Fabjański, Karolina Szymczak, Magdalena Cielecka, a także Eryk Lubos i Adam Woronowicz.

W epizodach występują m.in.: Marian Dziędziel, Witold Paszt (słynny założyciel zespołu Vox), Aleksandra Gintrowska oraz Grażyna Torbicka (w roli swej matki, Krystyny Loski).

Producentem filmu jest FILM POINT GROUP.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Europa nie ma przyszłości



★★★★★

REŻ. MARIA SCHRADER
„POŻEGNANIE Z EUROPEM”
(„STEFAN ZWEIF: FAREWELL TO EUROPE”)
AUSTRIA/FRANCJA/NIEMCY 2016

wyst. Josef Hader,
Barbara Sukowa,
Aenne Schwarz

Za życia Stefan Zweig był jednym z najpoczytniejszych pisarzy świata. Potem trafił do literackiego czyścica.

Twórczość autora „24 godzin z życia kobiety” stopniowo ulega zapomnieniu (próbę czasu przerwały jedynie zbeletryzowane biografie sławnych ludzi), lecz coraz większe zainteresowanie wzbudza jego własny życiorys. Jakże to typowe dla naszej epoki!

W „Pożegnaniu z Europą” Zweig najlepsze lata ma już za sobą. Po ucieczce z rodzinnej Austrii tuła się po świecie i gwiazdorzy na salonach. Wygłasza okragłe mowy o wolności myśli i słowa, lecz unika jednoznacznego potępienia III Rzeszy, choć jego książki są tam publicznie palone. Lewicowi krytycy mają go za tchórza i egocentryka. Sprawa jest jednak bardziej skom-

plikowana. Zweig, z urody podobny do Bolesława Bieruta, broni swojej niezależności. Twierdzi, że intelektualista powinien wystrzegać się taniego poklasku i politycznego uwikłania. Chciałby być nowym Erazmem z Rotterdamu w rozdartej konfliktami Europie.

Na kongresie PEN Clubu w Buenos Aires w 1936 r. pacyfści zostają zakrzykani przez bardziej bojowych kolegów. Zweigowi i innym pięknoduchom sufit spada na głowę. Cywilizowany świat przestał ich słuchać i zmierzał ku kolejnej katastrofie. Twórcy filmu porzucają ten – jakże aktualny! – wątek, wolą skupić się na osobistym dramacie Zweiga, który wyjątkowo źle znosi los fetowanego, lecz jednak uchodzący. Nawet młoda żona nie poprawia mu nastroju. Widać, że jest zmęczony życiem na walinach i coraz

bardziej zrezygnowany. Wieści dochodzące z Europy przekonują go, że „noc potrwa długo”.

W rozmowie bohaterów pada nazwisko pisarza Józefa Rotha, który za raj utracony uważał Austro-Węgry, rządzone przed dobrotliwego cesarza Franciszka Józefa. Jego przyjaciel Zweig chce wierzyć, że taki raj nadal istnieje – w Brazylii, którą zwiedził podczas triumfalnego autorskiego tournée. Słowa jednego z oficjeli: „Kto nie ma kraju, ten nie ma przyszłości” głęboko zapadły mu w pamięć. Gdy lokalna orkiestra, niemiłosiernie fałszując, wykonuje na jego cześć „Nad pięknym modrym Dunajem”, nasz wiecieńczyk zupełnie się rozkleja.

Nowy Świat wydaje się Zweigowi wspaniały. „Można tu żyć tanio i na poziomie”, zacząć wszystko od nowa, zamiast w Stanach Zjednoczonych obcować z innymi rozbitkami. „Pożegnanie z Europą” udaje modernistyczną powieść. Składa się z pięciu rozdziałów oraz 10-minutowego epilogu, będącego wizualnym i narracyjnym majstersztykiem. Niestety, z ekranu zbyt często wieje nudą, by można z czystym sumieniem polecić ten film widzom, którzy miłości do literatury nie wyssali z mlekiem matki. ©©



SPEKTAKL TYGODNIA: „BIAŁA SIŁA, CZARNA PAMIĘĆ”

Na to przedstawienie w ramach szczytnego Kontrapunktu bilety sprzedawały się najszybciej. Jurorzy nagrodzili „za literacką inspirację” Marcina Kąckiego. Spektakl nienowy, ale wciąż „aktualny” – to przecież, udająca dokumentalny verbatim, propagandowa agitka, pokazująca Białystok bez światłocieni, jako miasto

polskich faszystów, którzy prześladowają (ot, niespodzianka!) Żydów, uchodźców, gejów, Białorusinów (o nich najmniej, bo „rodacy dyktatora” mało są medialni i lewicy nie wzruszają). Na tej podlaskiej liście wstydu zabrakło tylko Tatarów. Pewnie dlatego, że żyjemy z nimi w zgodzie, zaburzyliby więc narrację. Twórcy spektaklu zapowiedzieli:

„Nikogo nie osądzamy i nie oceniamy”. Tak, a w „Prawdzie” pisano prawdę... ©©

Maciej Pieczyński

• 52. Przegląd Teatrów Małych Form
Kontrapunkt: „Biała siła, czarna pamięć”, Teatr Dramatyczny im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku, reż. Piotr Ratajczak, na podstawie książki Marcina Kąckiego.

Dwoje na plaży

Wdzięk i uroda Polek od dawna są cenione w świecie. Polacy, nie licząc hydraulików, mają gorszą reputację. Może „Bikini Blue” trochę ją poprawi, gdyż główny bohater pod każdym względem przerasta otaczających go Angoli. Jest silny i odważny, kocha zwierzęta (zwłaszcza żółwie), pisze wiersze i nie uznaje zgniłych kompromisów. Nic dziwnego, że piękna położna z Blackpool zakochała się w Eryku na motocyklu, by odwiedzić go w miejscu odosobnienia. Bo luby trafił do szpitala psychiatrycznego (nikt nie jest przecież doskonały), jednego z dwóch stworzonych po wojnie dla polskich weteranów.

Stanisław Dygat i Sławomir Mrozek zdołaliby lepiej rozwinąć

ten pomysł, lecz Jarosław Marszewski przedłożył formę nad treść. Osadzenie akcji w roku 1953 – gdy ludzkość wstrzymała oddech po śmierci Stalina, zaś węgierska Żółta Jedenastka spuściła Lwom Albionu ciężkie manto na Wembley – stworzyło pokusę, której twórcy „Bikini

Blue” z rozkoszą ulegli. Zresztą już plakat dawał do zrozumienia, że zamiast dusznej psychodramy à la „Ostatni dzień lata” należy się spodziewać nawiązań do klasyki anglosaskiej popkultury.

Manieryczne kino ma swoich fanów, czasem dziwadła stają się nawet obiektem kultu. Czy „Bikini Blue” to film tak zły, że aż obrazić – czas pokaże. © ©

Wiesław Chełmniak



★★★★★

REŻ. JAROSŁAW MARSZEWSKI
„BIKINI BLUE”
POLSKA/WIELKA BRYTANIA 2017

wyst. Lianne Harvey, Tomasz Kot, Lee Ross



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DZIEWCZYNA I PÓLBÓG

Vaiana, córka wodza plemienia z niewielkiej polinezyjskiej wyspy, to dziewczyna ukończona przez ocean. Nic więc dziwnego, że kiedy nadejdą ciężkie czasy i wody w lagunie przestaną dawać ryby, to właśnie ona wyruszy (samowolnie) na wyprawę, której celem jest przeblądanie rozgniewanej bogini.

W tej podróży towarzyszy Vaianie pyszałkawy półbóg Maui, który przed laty okrutnie narozrabiał – to on właśnie ukradł bogini klejnot zwany „sercem oceanu”. Dobra disneyowska rozrywka dla dużych i małych, w której tym razem bardzo mocno pobrzmiewają akcenty feministyczne. Na dobrą sprawę wszystkie postacie, dzięki którym historia zakończy się szczęśliwie, to kobiety – Vaiana, jej babcia oraz wspomniana już bogini. Wizualnie rzecz jest olśniewająca, paleta kolorów wyjątkowo bogata i ciepła, a niektóre pomysły kapitalne – np. ożywiające na skórze Mauię tatuaże klójące się ze swoim właścicielem. © ©



wyst. Auli'i Cravalho, Dwayne Johnson, Rachel House

★★★★★

REŻ. RON CLEMENTS, JOHN MUSKER
„VAIANA: SKARB OCEANU” („MOANA”)
USA 2016, DISNEY

PARSZYWA GROMADKA

Córka naukowca budującego dla Imperium Gwiazdę Śmierci oraz agent specjalny Rebelii połączyli jedną misję, której celem jest zdobycie planów nowej śmiercionośnej superbroni Imperatora. Pierwszy film z cyklu „Historie”, który ma stanowić antologię pojedynczych opowieści uzupełniających główną serię „Gwiezdne wojny”. Pod koniec bardziej

kino wojenne niż baśń z gatunku space fantasy. Chociaż bohaterowie filmu twierdzą nieustannie, że rebelia zbudowana jest na nadziei, z fabuły wynika jednoznacznie, iż przede wszystkim na poświęceniu. Są i rodzyńki dla fanów oryginalnej serii – osiem minut lorda Dartha Vadera oraz mnóstwo wyjątkowo efektownych ujęć Gwiazdy Śmierci. Jednocześnie film zdradza pod koniec ducha „Gwiezdných wojen” – rebelianci walczą tylko dlatego, że chcą zmazać swe grzechy z przeszłości. A przecież od „Nowej nadziei” uczono nas, że po prostu bronią słusznej sprawy. © © **recenzuje Piotr Gocięk**



wyst. Felicity Jones, Diego Luna, Alan Tudyk, Donnie Yen

★★★★★

REŻ. GARETH EDWARDS
„ŁOTR 1. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE” („ROGUE ONE: A STAR WARS STORY”)
USA 2016, IMPERIAL

GRA TYGODNIA: „ULTIMATE EPIC BATTLE SIMULATOR”

Rynek gier komputerowych widział już dziesiątki strategii, w których ogromne armie ścierały się w historycznej scenarii w walce o dominację nad światem. Kto zetknął się z serią „Total War”, ten zna smak szarży na spartańskie falangi. Do tej pory jednak podobne pojedynki odbywały

się w śmiertelnej powadze. Twórcy z Brilliant Game postanowili jednak wyluzować i dodać do kanonu strategii nieco humoru. Jak wyglądałoby starcie 5 tys. legionistów z armią zombie? Albo 2 tys. katapult z 8 tys. świętych mikołajów? W „Ultimate Battle Simulator” takie starcia są



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

możliwe. I nie można się od nich oderwać. © © **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RTS/symulator
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Brilliant Game Simulator
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Anegdotczycy

Gdybym nie znał życiorysów obu bohaterów tej książki, mógłbym pomyśleć, że byli przyjaciółmi od dziecka.

Tymczasem – co zostaje podkreślone już w czwartym zdaniu książki – znajdowali się „zawsze po przeciwległych stronach barykady”. Do głowy by mi to nie przyszło, tak ślicznie spijają sobie bowiem z dziobków, tak ładnie sobie „profesorują”, tak wzajemnie podkreślają swoje zasługi, rzeczywiste i wymaginowane.

Jeśli Karol Modzelewski – więzienny rekordzista, który za kratami, jako polityczny, spędził dziewięć lat – ma o coś pretensje do Werblana – czołowego ideologa PZPR, doradcy niemal wszystkich komunistycznych przywódców, w „Białym Domu” zatrudnionego przez 17 lat – to o stary artykuł z „Miesięcznika Literackiego”, w którym autor pisząc o marcowych „komandosach”, zwrócił uwagę – o zgrozo! – na ich żydowską solidarność grupową. Teraz więc Andrzej Werblan gęsto się tłumaczy, że to „była niesłuszna ocena po prostu” i dzisiaj myśli „na ten temat inaczej niż wtedy”.

Uprawiający samokrytykę 93-letni (!) aparatczyk to obraz sam w sobie niezapomniany. Jednak szkoda, że jego wyjątkowa wiedza na temat komunizmu à la Polonaise została w tej ponad 500-stronicowej książce zaledwie zasygnalizowana i przykryta grubą warstwą anegdot politycznych niekiedy niezłych, jak ta odnosząca się do nieproszonej wizyty przywódców ZSRS z Chruszczowem na czele w Warszawie w październiku 1956 r. Sowiecki gensek „w pewnym momencie, gdy Gomułka podkreślał brak sensu rozmów, kiedy wojska radzieckie idą na Warszawę, zdecydował – wstrzymamy ten ruch wojsk. I powiedział do Rokossowskiego: Konstantin Konstantinowicz, każcie zatrzymać czołgi. Na to Gomułka zareagował:



Karol Modzelewski FOT. W. KRYŃSKI/FORUM

towarzyszu Chruszczow, marszałek Rokossowski jest ministrem obrony Polski, a idą wojska radzieckie. To nie jego sprawa, żeby wstrzymać ten ruch. Na to Chruszczow się obruszył: »Wot, piedant!«. Jednak kazał zająć się tym Koniewowi”.

Naturalnie nawet czytelnik nieźle zorientowany w meandrach polityki PRL-owskiej natrafi w tych rozmowach na ciekawe fragmenty, np. odnoszące się do, być może, prawdziwych powodów konfliktu Nowotki z Bolesławem Mołojcem związanych z osobą Artura Rittersa, przedwojennego komunisty łódzkiego, który na polecenie wywiadu sowieckiego przyjął Reichlistę i był w SA. Po wojnie przez kilkanaście miesięcy więziony był w Moskwie; następnie wrócił do Polski, gdzie służył w stopniu generała, oczywiście pod innym nazwiskiem.

W innym miejscu wyciąga Andrzej Werblan z niepamięci postać Władysława Dworakowskiego: „Dobrze o nim świadczy to, że jak

został szefem Komitetu ds. Bezpieczeństwa, po Radkiewiczu, w czasie odwilży, i zorientował się, co się tam działo, to zwariował. Trafił do Tworek. Wyszedł po wyleczeniu, a był członkiem Biura, więc mu zaproponowano stanowisko wicepremiera. Odmówił. Zaproponowano mu zatem specjalną rządową emeryturę. Odmówił. Poszedł jako ślusarz narzędziowy do zakładów optycznych na Pradze i pracował do normalnej emerytury”.

U 80-letniego Modzelewskiego zwraca uwagę, nawet zrozumiała, wyraźna tęsknota za latami 70., czyli epoką Gierka. W gruncie rzeczy to, co zrobił ważnego naukowo, to właśnie wtedy – na „zsyłce” we Wrocławiu. Wcześniej i potem angażował się w politykę, za co komuniści z nieukrywaną satysfakcją pakowali go do mamra. Dzisiaj jednak nie komuniści go martwią, zdążył też diametralnie zmienić zdanie o Wojciechu Jaruzelskim. Za to ubolewa nad, rzekomo pozbawionym głowy, Kościołem i utrzymuje, że na rok 1980 największy wpływ wywarła nie pielgrzymka do ojczysty Jana Pawła II, tylko „Edwarda Gierka do Stoczni Szczecińskiej w styczniu 1971 r.”. Wytyka też Jarosławowi Kaczyńskiemu, że „w sensie pojęć i słownictwa” jest dzieckiem epoki marcowej.

Generalnie, starsi panowie bajdurzą niczym dziadkowie na imieninach i przydarza im się zapędzić za daleko. Zabójstwo Stanisława Pyjasa w 1976 r. tak komentują: „K.M.: To jest jasne, że jego nikt nie chciał zamordować, ale jego zabili. Pewnie niechcący. Myślę, że pobili go i zostawili leżącego na znak.

A.W.: Bliższa mi jest ówczesna wersja, że on spadł ze schodów, po prostu. On był kompletnie pijany”.

A ja bym wolał, żeby taki czerwony zgred jak Werblan przyciął sobie czasem język. ©©



★★★★★

ROZMAWIA

ROBERT

WALENCIAK

„MODZELEWSKI

– WERBLAN.

POLSKA LUDOWA”

ISKRY,

WARSZAWA 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ludzkości na do widzenia

Powieść jest chińska, ale rozgłos amerykański. Cixin Liu był dwa lata temu nagradzany i chwalony w USA, a jego „Problem trzech ciał” to intrygująca hybryda fantastyki socjalistycznej i zachodniej.

Akcja rozgrywa się na trzech planach. Najpierw wracamy do czasów chińskiej rewolucji kulturalnej, ukazanych przez autora bezlitośnie, jako era chaosu, barbarzyństwa i bezsensownego okrucieństwa. Tak poznamy Ye Wenije, przyszły filar tajnego chińskiego programu kosmicznego nasłuchu. W czasach współczesnych przyglądamy się śledztwu prowadzonemu w sprawie zgonów wybitnych naukowców. Trop prowadzi do międzynarodowej organizacji, o której celach niewiele wiadomo. Plan trzeci to gra komputerowa „Problem trzech ciał”. Po załogowaniu się do niej gracze obserwują dzieje niezwyklej cywilizacji, która w skomplikowanych cyklach rozkwita, ulega zagładzie i znów się odradza. Notka na okładce książki zdradza: „Świat tej gry nie jest jednak fikcją”.

Trudno opowiadać o książce Liu bez zdradzania kluczowych zakrętów fabuły, ale spróbuję zrobić to tak, by nie zepsuć wam przyjemności. Jest to opowieść o kontakcie z obcą cywilizacją, przy czym to, w jaki sposób utrzymana zostanie więź i co z tego

ma wyniknąć – to wszystko kawałek dobrej fantastyki w starym stylu, to znaczy mocno naukowej. Jednocześnie „Problem trzech ciał” to bezlitosna krytyka ludzkiego szaleństwa (choć autor w posłowie zastrzega, że zamiast opowieści „pod płaszczykiem” woli kreować fantastyczne światy). To, w jaki sposób traktujemy siebie nawzajem oraz planetę, którą czynimy sobie poddaną, odegra najważniejszą rolę w niespodziewanym kontakcie z obcymi. Od razu ważna uwaga – ponieważ mamy do czynienia z trylogią, tom pierwszy przynosi jedynie rozstawienie pionków na plan-szy, na właściwą rozgrywkę musimy jeszcze poczekać.

Najbardziej pomysłowa część książki (efekt „wow!” został bez wątpienia osiągnięty) to wspomniana już komputerowa symulacja. Kreatywność autora porównywalna jest z dokonaniem Tada Williamsa (seria „Inny świat”) czy powieściami Neala Stephensona. Z kolei najlepsze literacko fragmenty powieści to te rozgrywające się podczas chińskiej rewo-

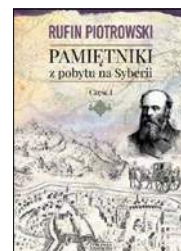
lucji kulturalnej, której Cixin Liu jako dziecko zdążył być świadkiem. To rzeczywistość musi być bowiem paliwem dla fantastyki – rzecz, o której zapominają zbyt często autorzy książek czysto rozrywkowych. A co ma wspólnego czerwony terror z pierwszym kontaktem – o tym już poczytacie sami. ©©



★★★★★
CIXIN LIU
„PROBLEM
TRZECZ CIAŁ”
REBIS 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Niezwykłe świadectwo patriotyzmu i niezłomności. Wspomnienia konspiratora, powstańca listopadowego, który uciekł z zesłania pod Omskiem drogą m.in. przez Archangielsk, by znów walczyć z Rosją, tym razem u boku Turków.



RUFIN PIOTROWSKI
„PAMIĘTNIKI
Z POBYTU
NA SYBERII”
ZYSK I S-KA

Kolejna opowieść non-fiction o niesławnym królu handlu narkotykami. Autorka książki, modelka i gwiazdka TV, była kochanką Escobara. Ciekawe uzupełnienie wydanej niedawno „Mój ojciec Pablo Escobar” pióra Juana Pabla.



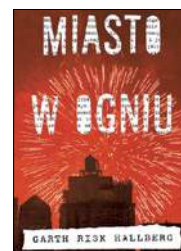
VIRGINIA VALLEJO
„KOCHAJĄC
PABLA,
NIENAWIDZĄC
ESCOBARA”
AGORA

Kontynuacja powieści „Luna. Nów”. Dobra inteligentna science fiction w duchu Clarke’a i Heinleina, napisana z rozmachem godnym „Diuny”. Dzieje rywalizacji zwaśnionych rodów – stawką jest panowanie nad Księżycem i nie tylko.



IAN MCDONALD
„LUNA.
WILCZA PEŁNIA”
MAG

Obszerna wielowątkowa opowieść osadzona w Nowym Jorku lat 70. Autor ma ambicję na miarę Toma Wolfe’a czy Thomasa Pynchona, ale efekt bardziej przypomina powieści Jonathana Franzena. ©©



GARTH RISK HALLBERG
„MIASTO
W OGNIU”
ZNAK

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Jo Nesbø „Pragnienie”** (Wydawnictwo Dolnośląskie) – detektyw Harry Hole po raz 11. – sprawa zabójcy z Internetu łączy się z jego przeszłością.
2. **William P. Young „Chata”** (Nowa Proza) – bestseller ewangelizacyjny: ponad 20 mln egzemplarzy sprzedanych na całym świecie. Ojciec obwiniający się o śmierć dziecka spędza weekend z Trójcą Świętą.
3. **Wojciech Młynarski „Od oddechu do oddechu”** (Prószyński i S-ka) – najobszerniejsza edycja wierszy i piosenek zmarłego niedawno mistrza słowa.
4. **Bruce W. Cameron „Był sobie pies”** (Wydawnictwo Kobiectwo) – kolejny bestseller dzięki ekranizacji. O ludzko-psiej przyjaźni aż po grób i dalej.
5. **Iza Bartosz „Czekam na was, ale się nie spieszcie”** (Czerwone i Czarne) – ks. Jan Kaczkowski we wspomnieniach.

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej BookBook)



JAN POSPESZALSKI

KONTRA/BASEM

Na hasło: „sztuka współczesna” wielu reaguje dość alergicznie. Obserwując to, co się dzieje w niektórych naszych teatrach, w sztukach wizualnych i performatywnych, trudno się dziwić. Współczesność rozumiana jest często jako szokowanie plugastwem i homopropagandą, szyderstwem z Kościoła, chrześcijańskich symboli i narodowej tradycji. Miarą „współczesności” jest upchnięcie w jednym „dziele” tych wszystkich elementów. Żeby być bardziej trendy, należy dołączyć też wątek demaskatorsko-prokuratorski, czyli oskarżyć Polaków i Kościół o współudział w Zagładzie (w wersji light – tylko o antysemityzm). W tym sezonie modne jest też uderzenie w Polaków – ksenofobów niechętnych wobec przyjmowania muzułmanów.

Dla tych, którzy twórczość sygnowaną stemplem „współczesna” omijają szerokim łukiem, mam dobrą wiadomość. Jest



Paweł Łukaszewski
z Fryderykiem 2017
w kategorii Muzyka
Współczesna FOT. FRANCISZEK
MAZUR / AGENCJA GAZETA

Współczesność i **sacrum**

enklawa, i to całkiem obszerna, gdzie współczesność oznacza piękno. To współczesna muzyka – ta najlepsza, najbardziej przez krytyków i publiczność ceniona.

Miarą oceny niech będzie Fryderyk – nagroda Związku Producentów Audio-Video – przyznawana przez szeroką reprezentację muzyków, autorów, kompozytorów, dziennikarzy i ludzi branży. I właśnie w kategorii Muzyka Współczesna Fryderyka 2017 otrzymał Paweł Łukaszewski (to kolejny Fryderyk dla tego kompozytora, bardziej znanego

w świecie niż u nas). Nagrodzony album nosi tytuł „Symfonia o Bożym Miłosierdziu” (!). Natomiast w kategorii Muzyka Chóralna, Oratoryjna i Operowa statuetkę w imieniu Chóru Narodowego Forum Muzyki odebrała Agnieszka Franków-Żelazny za album „De Profundis – Polish Psalms of the 20th Century”. Jak widać, istnieje u nas sztuka współczesna, której najlepsi twórcy i wykonawcy czerpią z duchowości chrześcijańskiej. „Kultura” i „kult” mają bowiem wspólny rdzeń i myślę, że nie tylko w budowie słowa. ©©



GRZEGORZ
BRZOSZOWICZ

NA SŁUCH

Powaga i lekkość

Bardzo trudno recenzuje się wydawnictwa, u podstaw których są tak wzniosłe idee. A ten album, jak informuje wydawca, powstał 3300 lat po Mojżesz, wzięło w nim udział 150 twórców, przygotowania trwały siedem lat, a sama realizacja 4 tys. godzin. I wszystko to dla: „10 słów, które mogą odmienić Twoje życie”.

Pomysłodawcą projektu był Radek Grabowski, a siłą sprawczą Marcin Pospieszalski, który zaaranżował kompozycje. Trzy lata temu pojawiło się nagranie „Prolog do Dekalogu” oparte na Psalmie 119, w którym wykorzystano słowa Jana Pawła II. Pozostały materiał zarejestrowano w ubiegłym roku, a w jego powstaniu wzięli udział muzycy z Irlandii, USA, Zambii, Niemiec, Syrii i Nikaragui. Twórców polskich

reprezentowali m.in. Luxtorpeda, Józef Skrzek, Michał Lorenc, Maleo Reggae Rockers, Ryszard Rynkowski oraz orkiestra i chór Polskiej Filharmonii Kameralnej.

Wielka idea łatwo mogła przerodzić się w przytłaczający muzyczny patos. Nic z tego. Marciniowi Pospieszalskiemu udało się zachować powagę, a jednocześnie dzięki różnorodności stylistycznej i mnogości języków, jakie słyszymy, całość brzmi lekko, a albumu słucha się z prawdziwą przyjemnością. Rzadko kiedy hip-hop, rock, ethno, reggae czy rozbudowane utwory symfoniczne układają się tak spójnie w jedną muzyczną całość.

Na płycie zarejestrowano 12 utworów, bo oprócz „Prologu” dostajemy 11. przykazanie – „Przykazanie Miłości”. ©©



★★★★★
RÓŻNI
WYKONAWCY
„DECALOGUE
– DEKALOG”
POLSKIE RADIO



★★★★★
STALOWY BAGAŻ
„CIĘŻKI ROK”
GAD

Grupa złożona
z byłych muzyków

Nurtu, Porter Band i Testu nagrała ten album w grudniu 1981 r. Stan wojenny sprawił, że płyta czekała na ukazanie się 36 lat. Ostry hard rock z tekstami Jacka Żwoźniaka (jeden napisał satyrę Jan Kaczmarek) nieco zwietrzała, ale energia pozostała. ©©



★★★★★
IRENA JAROSKA
„KTÓREJ NIE ZNACIE
VOL. 1”

POLSKIE NAGRANIA
Antologia nagrań

zmarłej przed pięć laty gwiazdy polskiej estrady lat 60. i 70. Pierwsze CD zawiera nagrania koncertowe (m.in. „Gondolierzy znad Wisły”, „Motylem jestem”), drugie radiowe oraz „Break Free” zaśpiewany wspólnie z samym Michaeliem Boltonem. ©©

W wieku 79 lat zmarł Tomasz Burek, krytyk i historyk literatury, autor znaczących książek eseistycznych („Zamiast powieści”, „Dalej aktualne”, „Żadnych marzeń”, „Dzieło niczyje”), członek opozycji demokratycznej w latach PRL, ważna postać prawej strony środowiska ludzi kultury.

Imponował przenikliwością i konsekwencją swoich wyborów literackich, olśniewał bogactwem języka (w mowie i w piśmie), ale na pewno nie porażał wielkością dorobku twórczego. W gruncie rzeczy napisał niewiele, a w 1996 r. w szkicu zatytułowanym „Literatura, niepoważne zajęcie” zakwestionował wręcz swoją dotychczasową drogę zawodową, stwierdzając m.in., że przez 40 lat, odkąd uczestniczy w życiu artystycznym i literackim, zajmował się czymś w istocie nieistotnym. „Toteż ze strasznym zawstyżeniem – pisał – spoglądam na określenie »krytyk literacki«, które figuruje przy moim nazwisku, bo mam świadomość, wierzcie lub nie, jakiejś szarlatanerii, którą uprawiałem przez prawie czterdzieści lat. Mówię – prawie, bo od paru lat mam też, na szczęście, poczucie budzenia się, ocknięcia, otrzeźwienia. I może dlatego wykonuję mój zawód nieco powściągliwiej, co oznacza, że właściwie przestaję uprawiać krytykę literacką”.

Na szczęście dla literatury tak się nie stało. Brał Tomasz Burek udział w pracach jury kilku znaczących nagród literackich, wśród nich Nagrody im. Józefa Mackiewicza, w Polskim Radiu był stałym gościem nadawanego w Dwójce „Tygodnika literackiego” Iwony Smolki. A jego ostatnią książką okazały się wydane przez Iskry w roku 2011 „Nie-wybaczalne sentymenty”.

Konstatawał w nich Tomasz Burek: „Wraz z na-



dejściem lat 90. rządy nad kulturą objął swoisty duch empiryzmu. Objawił się, jak wiadomo, nobilitacją rzeczowości, skupieniem uwagi na konkrety, obniżeniem poziomu zainteresowań, przyziemnością, żeby nie rzec, świnio-watością ideału, obojętnością aksjologiczną, zastąpieniem tragicznego poczucia życia poczuciem cynicznym, ludycznym, banalistycznym”.

Autor „Żadnych marzeń” urodził się 7 marca 1938 r. w Warszawie. Jego rodzicami byli Wincenty Burek, pisarz i działacz ludowy, oraz Zofia z Młodożeńców, siostra poety Stanisława Młodożeńca. W czasie okupacji rodzina przeniosła się do Sandomierza, gdzie Tomasz ukończył liceum ogólnokształcące. Studiował w Warszawie na Wydziale Dziennikarstwa UW. Zadebiutował w roku

1957 recenzją teatralną, a od 1961 r. regularnie uprawiał działalność krytyczną, m.in. na łamach „Twórczości”, „Współczesności” i „Tygodnika Kulturalnego”. W 1970 r. podjął pracę w Instytucie Badań Literackich PAN, gdzie 10 lat później obronił doktorat. W międzyczasie otrzymał Nagrodę im. Kościelskich, podpisał także Memoriał 101 – protest przeciw planowanym zmianom w Konstytucji PRL. W maju 1980 r. uczestniczył w głodówce w obronie aresztowanych wydawców podziemnych: Mirosława Chojeckiego i Bogdana Grzesiaka. Był współzałożycielem nielegalnego Towarzystwa Kursów Naukowych i drugoobiegowego czasopisma literackiego „Zapis”. Prowadził zajęcia na tzw. Uniwersytecie Łatającym. W połowie dziewiętej dekady zeszłego wieku zwolniono go

z pracy w Polskiej Akademii Nauk, ponownie przyjmując w roku 1989.

W czasach PRL domagał się zniesienia cenzury, protestował przeciwko ingerowaniu państwa w twórczość artystyczną, ale w wolnej Polsce szybko dostrzegł zupełnie inne, a nie mniej niebezpieczne zagrożenia. Dlatego – jak mógł – „bronił kultury ducha przed kiczem popkultury, autorytetów przed idolami, prawdy przed widmami rzeczy prawdziwych”.

Gdy krytyk jawnie zakpił z „dokonań” Olgi Tokarczuk, Manieli Gretkowskiej czy Stefana Chwina („skumbrie w tomacie, Chwin”), gdy w pogardzie mając postmodernistyczną błagę, promował inną poezję, inną prozę, inną myśl filozoficzną niż liberalno-lewicowe elity, został przez Salon skreślony. Swoiste epitafium sprokurował w maju 2002 r. w „Gazecie Wyborczej” Janusz Anderman w tekście brzytwą pisany. Argumenty, jakich użył, trudno brać poważnie; między wierszami zakwestionował wręcz poczytalność krytyka. No bo jak to: z twórców wyrosłej w 1968 r. Nowej Fali najwyższą cenę Krzysztofa Karaska! A nie namaszczonego przez Salon Stasia Barańczaka, nie Adasia Zagajewskiego, nie Rysia Krynickiego. Burek jednak swoich sądów nie zmieniał, ceniąc prozę Stanisława Czycza, Marka Nowakowskiego i Janusza Krasińskiego, wiersze Wojciecha Kudyby i Jana Polkowskiego, eseistykę Dariusza Karłowicza.

Był też Tomasz Burek członkiem komitetu poparcia Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich w roku 2010 i Andrzeja Dudy w roku 2015. Rzeczywiście, w środowisku, z którego wyszedł, a w którym ukształtowała się opozycja przełomu lat 70. i 80., był wyjątkiem. ©

Krzysztof Masłoń

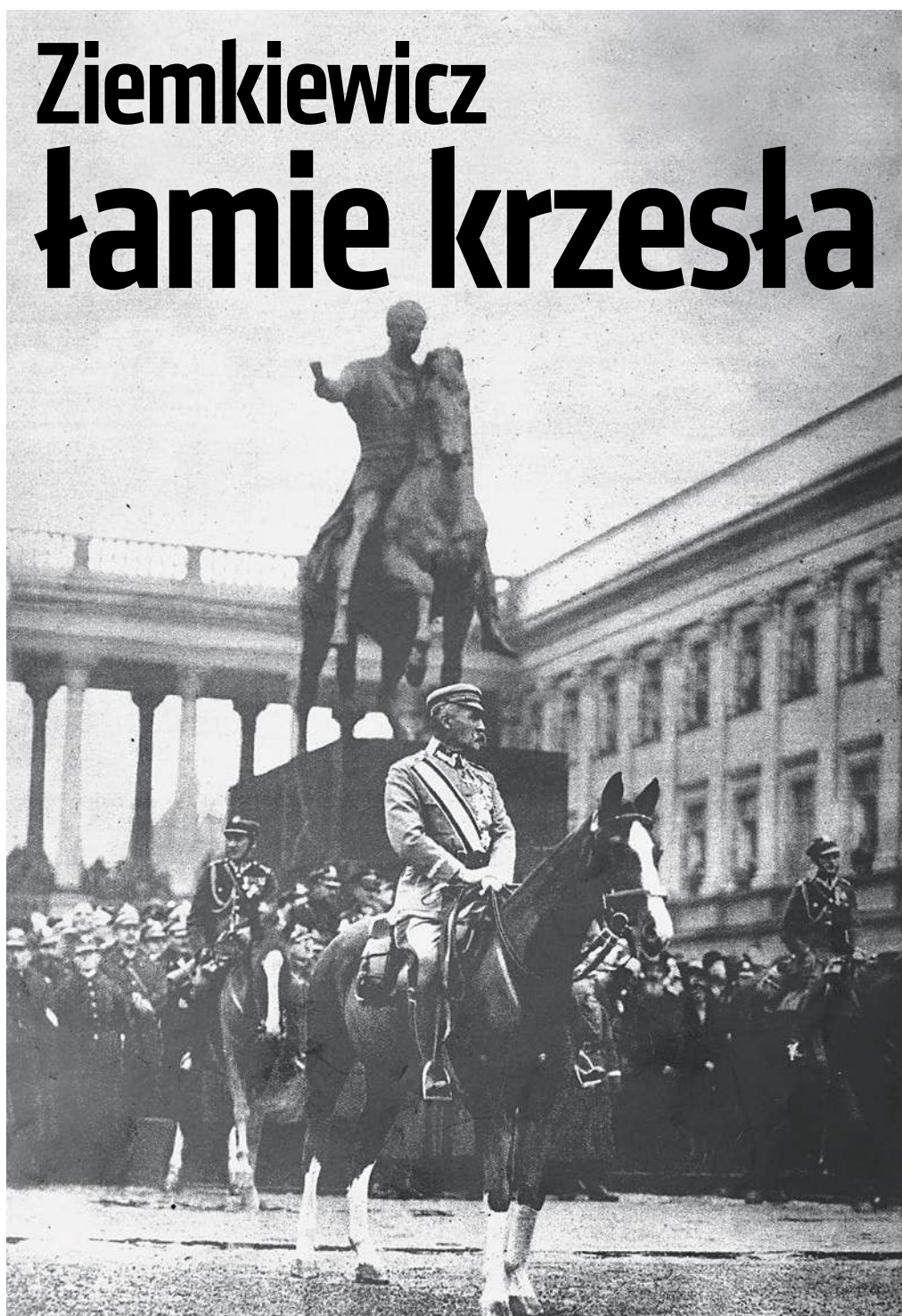


Krzysztof Masłoń

„Złowrogi cień Marszałka” powinni sobie darować czytelnicy o poglądach piłsudczykowskich. Książka powinna się za to spodobać tym, którzy z chęcią mierzą się z wszelkimi mitami, choćby najpiękniejszymi

Rafał A. Ziemkiewicz urodził się w roku 1964, w okolicach Sierpnia miał więc 16 lat, co do pewnego stopnia tłumaczy cytowane niżej słowa, choć tylko do pewnego. Wyjaśnia bowiem autor, że jego książka „poświęcona jest nie tyle samemu Józefowi Piłsudskiemu, co mitowi »twórcy naszej niepodległości«. Mitowi, który budowano jeszcze za jego życia i w ciągu kilkuletnich rządów następców czyniono na siłę wyznaniem państwowym – ale który naprawdę powszechnym uczyniła dopiero antykomunistyczna opozycja lat osiemdziesiątych”. No nie, stało się to znacznie wcześniej. Fakt, że sanację opluwała władza komunistyczna, wystarczył, by nawet przedwojenni przeciwnicy Marszałka znajdowali dla niego dobre słowo, a najbardziej zawzięci endecy podkreślali znaczenie militarnego sukcesu Piłsudskiego w roku 1920, rzecz jasna osiągniętego przy wydatnej pomocy Najświętszej Marii Panny.

Dla znacznie młodszego ode mnie Ziemkiewicza świat zaczął się jednak w Sierpniu, a stwierdzenie jego ojca, komentujące powieszoną nad biurkiem reprodukcję portretu Marszałka: „Dziadek się w grobie przewraca”, miało dla niego charakter formujący. W ten sposób przywołana



została kluczowa dla „Złowrogo cienia Marszałka” postać przodka autora książki, wójta Czerwińska nad Wisłą – Stanisława Ziemkiewicza. Temu to „żołnierzowi Legionów, społecznikowi,

działaczowi Stronnictwa Narodowego” poświęcił swą najnowszą pracę twórca „Polactwa”. Pracę, która w zamierzeniach autorskich nie miała być biografią Piłsudskiego. Może i dobrze, bo tych akurat

nie brakuje, a że nie satysfakcjonują one Ziemkiewicza wytykającego ich hagiografię, to trudno. Sam autor wzorem obiektywizmu nie jest i nigdy nie będzie, bo nie pozwoli mu na to temperament.

Już na samym początku „Złowrogiego cienia...” zapowiedział za to, że chce udowodnić tezę, jakoby to niczemu innemu, a odurzeniu mitem Piłsudskiego „zawdzięczamy do dziś marność naszej niepodległości i to wszystko, co do cna nam ją obrzydza. Niesprawność państwa, bezkarność i wszechwładzę politycznych sitw, chroniczny stan niemożności, »imposybilizmu«, a nade wszystko plemienność życia politycznego, sprowadzonego do podjudzania Polaków przeciwko sobie”.

Jak wiadomo, dla Jarosława Kaczyńskiego i jego popleczników całe zło w naszym kraju to „wina Tuska”. Ziemkiewicz za wszelkie prawdziwe i wyimaginowane grzechy narodu polskiego obwinia Józefa Piłsudskiego. Jak sądzę, nie znajdzie większego poparcia. Nie po to „Gazeta Wyborcza” przez ćwierć wieku psy wieszała na Dmowskim, gloryfikując jego wielkiego antagonistę (głównie za przypisywany mu przez organ Michnika filosemityzm), by teraz nie wiadomo skąd brał się narybek endecki.

KIŁA TRZECIORZĘDOWA

Książkę Rafała A. Ziemkiewicza poprzedzają dwa motta. Jedno brata Józefa Piłsudskiego – Bronisława, drugie – Jerzego Giedroycia, pochodzące z jego „Autobiografii na cztery ręce”. Brzmi ono tak: „Nieszczęściem Polski jest to, że jej historia jest zakładana jak nigdzie na świecie”. Redaktor mocno przesadzał, podobnie efektownych, a niekoniecznie prawdziwych zdań moglibyśmy w jego ostatnich felietonach i wywiadach znaleźć co niemiara, ale ja sięgnąłem do tych fragmentów tej samej „Autobiografii...”, które odnoszą się do Marszałka:

„Traktat ryzyki był przełożeniem w życiu Piłsudskiego, jak potem było nim zabójstwo Narutowicza. Odtąd był to już zupełnie inny człowiek. Przestał wierzyć w długotrwałość

państwa polskiego. I dlatego skupił się tylko na polityce zagranicznej i na wojsku. Nie miał żadnych wielkich planów na przyszłość. Dążył tylko do opóźnienia końca niepodległości. Taki obraz Piłsudskiego wyrobiłem sobie już w okresie międzywojennym, ostatecznie w okresie przyścia Śmigłego i odejścia Sławka, czyli gdzieś w roku 1936–37. [...] Po śmierci Piłsudskiego nie widziałem ani jednej osoby, która by uosabiała jakąś perspektywę dla Polski. [...] Byłem zdania, że należy protestować przeciw wyczynom Kostka-Biernackiego. Takie rzeczy powinny być robione przyzwoicie. To, że tak się nie stało, było następstwem nieprzyjemnych cech charakteru Piłsudskiego. Był on człowiekiem bardzo mściwym i takie poczynania jak Kostka-Biernackiego niestety tolerował czy dawał do zrozumienia, że należy je tolerować. Wiem od pani, która była przyjaciółką Piłsudskiego, że w jej mieszkaniu odbył się jeszcze przed majem konwentykl piłsudczyków, gdzie on zażądał, żeby w czasie jakiejś uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza otoczyć Sikorskiego i zbić go pasami oficerskimi. Nawet ci wierni piłsudczycy na to nie poszli. Pokazuje to mentalność Piłsudskiego w pewnym okresie jego życia”.

Ta ostatnia historia utrzymana jest w klimacie książki Rafała A. Ziemkiewicza. Nie znajduję bowiem powodu, dla którego jej autor rozchodzi się nad monografią Marka Kamińskiego „Ostatnia tajemnica marszałka Piłsudskiego”, podważając oficjalnie podawaną przyczynę śmierci Marszałka, jaką miał być rak wątroby. „Zdaniem Kamińskiego – czytamy w »Złowrogim cieniu Marszałka« – wszystkie opisane objawy, a także wiele innych poszlak zupełnie do raka nie pasują, wskazując natomiast, że w ostatnich latach życia wyniszczała Piłsudskiego

tak zwana kiła trzeciorzędowa, czyli infekcja – jak wnosi autor z tego, co wiemy o chorobach Marszałka – złapana prawdopodobnie albo przed akcją w Bezdanach, albo w okopach w czasie dowodzenia Pierwszą Brygadą, infekcja, która po bardzo długim okresie utajenia zaatakowała układ nerwowy. Choroba w owych przedpeńcylinowych czasach bardzo częsta, skutkująca różnymi aberracjami umysłowymi i tym samym mogąca tłumaczyć zachowania Marszałka w latach dwudziestych i trzydziestych – niezdolność zapanowania nad sobą, gwałtowne wybuchy gniewu, chorobliwie zmienne nastroje, w końcu urojenia i halucynacje (krótko przed śmiercią Marszałek zastrzelił miał z okna Belwederu zajmującego przepisowy posterunek wartownika, ponoć przekonany, że oto skrada się zamachowiec – sprawę oczywiście zatuszowano) to niemalże znaki firmowe tej nieuleczalnej wówczas choroby”.

Wystarczy! Na tego rodzaju dywagacje szkoda czasu, podobnie jak złościło mnie Giedroycowe napomknięcie o pewnej pani, która coś tam słyszała. Że jednak, mimo natręctw myślowych Redaktora, niezmiennie uważam go za jednego z najmądrzejszych Polaków minionego wieku, pozwolę sobie zacytować daleko ważniejszy – przynajmniej moim zdaniem – ustęp z wywiadu, jaki Giedroyc udzielił mi w grudniu 1999 r. w Paryżu. Mówił wtedy tak o Józefie Piłsudskim:

„– To był człowiek, który prowadził politykę niesłychanie realistyczną, potrafiąc ubrać ją w szatę romantyczną. A to Polakom jest potrzebne. Jestem niewątpliwie zafascynowany osobą Piłsudskiego, ale jednocześnie podchodzę do prowadzonej przez niego polityki z dużym krytycyzmem.

– Wielokrotnie wyrażał się pan o nim jednak z uznaniem.

– Najbardziej ceniłem jego umiejętność podejmowania decyzji, co jest rzadkością u Polaków. Proszę porównać go z bliskim mu skądinąd człowiekiem, Kazimierzem Sosnkowskim. Sosnkowski, którego dosyć dobrze znałem osobiście, był z pewnością inteligentniejszy od Marszałka, ale Piłsudski potrafił podejmować decyzje i, najważniejsze, nie bał się opinii publicznej. Pamiętam swoją rozmowę ze Śmigłym w Rumunii, mówiliśmy o kampanii wrześniowej i spytałem go, dlaczego nie skrócono wówczas frontu. Odpowiedział mi: »Niech pan mnie nie uważa za idiotę, doskonale rozumiałem tę potrzebę, ale naród nasz nigdy nie wybaczyłby mi oddania połowy Polski bez strzału«. On się bał opinii, a Piłsudski nie.

[...]

– Panie redaktorze, kto sprawuje władzę w Polsce?

– Wielokrotnie podkreślaliśmy w »Kulturze«, że Polską wciąż rządzą dwie trumny.

– Piłsudskiego i Dmowskiego.

– Musimy dać sobie z tym spokój, bo ta sytuacja nie pasuje do naszej rzeczywistości. Ale co do Piłsudskiego, to znakomicie wykorzystywał on polskie skłonności romantyczne. Był twardym realistą, tyle że swojej działalności nadawał romantyczne kształty i to mu pomagało”.

WAM KURY...

Podzielałam zdanie Giedroycia, bo trudno w roku 2017 podniecać się rywalizacją sprzed ponad stu lat dwóch przesadnie ambitnych panów. Rafał A. Ziemkiewicz uważa inaczej i jest to jego święte prawo, a że talent pisarski ma pierwszej wody, pod dotknięciem jego pióra anachronizmy należące już li tylko do historii nabierają życia i choć przez czas lektury książki wydają się ważne, ba, pierwszorzędne dla kondycji Rzeczypospolitej.

■ Gdybyż jeszcze autor porządnie oddzielił ziarno od plew! Niestety, przemożna chęć przypisania Piłsudskiemu wszystkiego, co najgorsze, powoduje galimatias, w którym gubi się to, co najistotniejsze, a na pierwszy plan wysuwają się – proszę wybaczyć – kocopoły.

I tak gorszy się niesłuchanie Ziemkiewicz językiem używanym przez Instytut Szlachetnie Urodzonych Dziewic lub podobną placówkę dydaktyczno-wychowawczą, a przyznam się – nic mi na ten temat nie wiadomo. W każdym razie ma za złe Komendantowi, że nawoływał, by „bić kurwy i złodziei”. Nie będę wdawał się w zbyt daleko idące polemiki, ograniczę się więc do stwierdzenia, że ilekroć zobaczę, choćby na ekranie telewizyjnym, buźkę któregoś z prominentnych polityków rządzących jeszcze nie tak dawno „państwem teoretycznym”, usta moje, same z siebie, wyszeptują: „Kurwy i złodzieje”. Niech sobie Ziemkiewicz pisze, co chce, ale dla mnie to dowód na to, że Piłsudski nawet w takich wyrażeniach rodem z wojskowych koszar miał dużo racji. A o tym, że mocnym słowem warto od czasu do czasu rzucić, by sprawie, o którą chodzi, nadać odpowiednią rangę, nie muszę autora „Złowrogię cienia Marszałka” przekonywać. Wie o tym doskonale, niezależnie od tego, że z udawanym obrzydzeniem komentuje „odrażające wpisy” i „plugawe obelgi”, w których – jego zdaniem – celował Piłsudski.

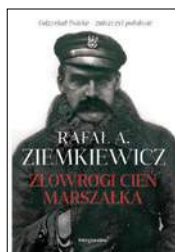
Grzęźnie Rafał A. Ziemkiewicz w sprawach drugorzędnych i to utrudnia traktowanie jego książki z należytą powagą oraz szacunkiem. Ledwie bowiem czytelnik zacznie zastanawiać się, czy rzeczywiście – jak chce tego autor – podstawą polskości winien być republikanizm, na który Piłsudski dokonał zamachu w 1926 r., a już wciąga się go w prywatne sprawy Marszałka, niedyskret-

nie zaglądając do jego albowy. I gdyby jeszcze czekało tam na nas coś nieznanego. A gdzie tam! Furt „Piękna Pani” i doktor Lewicka. Tak naprawdę to do nauki o Piłsudskim i najróżniejszych sprawach jego – ciemnych i jasnych – wnosi autor „Złowrogię cienia Marszałka” przekonując wy tłumaczenie sławnego, a zagadkowego zalecenia Piłsudskiego dla gabinetu Ignacego Daszyńskiego: „Wam kury szczać prowadzać, a nie politykę robić”.

Otóż z całą pewnością rację ma Ziemkiewicz, sugerując, że „Piłsudski, który do końca życia zaciągał z wileńska i wtrącał w swoje wypowiedzi rozmaite elementy kresowej gwary, powiedział prawdopodobnie o „szczupanu” kur, czyli we wspomnianej gwarze – ich macaniu. Ktoś niekumający po kresowemu nie wiedział, o co chodzi, zapisał tak, jak zrozumiał, i tak już zostało”.

Chciałoby się zakrzyknąć: „Brawo, Autor!”. Ten jednak nie bardzo na to pozwala, gdyż natychmiast swój wywód uzupełnia komentarzem jakby z innej bajki: „Niby idiotyczny drobiazg, ale pokazuje, jak głęboka jest w narodzie niechęć do chwili zastanowienia i weryfikacji czegokolwiek, co raz zostało do mitu Marszałka włączone”.

Utyskuje Ziemkiewicz na przejawy kultu Piłsudskiego w II Rzeczypospolitej; ma oczywiście rację, lecz kompletnie się z nią mija, porównując ów kult do stalinowskiego. „Ale ten kult Stalina – czytamy – był nam narzucony podbojem, przemocą i ludobójstwem – a rozdzęcie do rozmiarów absurdu i hańby kultu Marszałka było dziełem samych Polaków. Myśl, że do tak bezmyślnego, masowego lizusostwa i deifikacji dykta-



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„ZŁOWROGI CIEN
MARSZAŁKA”
FABRYKA SŁÓW
2017

tora doprowadzono w zaledwie kilkanaście lat po odzyskaniu wolności przez naród, który przed stuleciami, w czasach powszechnego absolutyzmu, sformułował zasadę, że władza króla pochodzi od narodu, nie od Boga, i traci moc, jeśli władca łamie „prawa kardynalne”, powinna być dla porządnego Polaka po prostu nieznośna”.

Co do mnie, to nieznosne jest takie pisanie jak to powyższe, a samo porównanie obu kultów – niewybaczalne. W trakcie lektury książki Rafała A. Ziemkiewicza denerwujące staje się narastające ze strony na stronę przeciwstawianie mądrości i szlachetności Romana Dmowskiego małości i szkodnictwa Józefa Piłsudskiego. Trawestując Gogola: wiem, że ten pierwszy to – zdaniem autora „Złowrogię cienia Marszałka” – gieroj, a drugi skatina. Jednak po co od razu krzesła łamać!

A skoro wszedłem na swoje ulubione ścieżki pisarskie, to nie od rzeczy będzie w tym miejscu przypomnieć, że przed wojną literacką legendę Józefa Piłsudskiego współtworzył m.in. Julian Tuwim. Popełnił on, wśród innych, taki wiersz, dla legendy tej nader charakterystyczny:

*Gdy wyszedł na ulicę,
gdy trzeszczały kości,
Gdy o tę prawdę
grzmiało serce i armaty,
Znów chcieli jej „na co dzień”,
na raty, na spląty,
Paragrafami mierząc
huragan wolności!*

*I zawsze będą mierzyc,
a nigdy nie zmierzą
Pomrukując po kątach
zdziwieniem, zawodem.
I w cierpką miłość jego
nigdy nie wierząc,
Kiedy przez Polskę*

*idzie samotnym pochodem.
Tylko mu raz, pod oknem,
kiedy dumał nocą,
Wyszłochał wszystko żołnierz,
stojący na warcie,
Płakał, płakał jak dziecko:
„Ach czemu, ach po co
Tak męczysz się, tak cierpisz za nas,
komendancie?”*

To niewątpliwie jeden ze słabszych wierszy Tuwima, ale napisał on przecież i „Druskiennickie drzewa”, i – po śmierci Marszałka – „Aere perennius”, trawestację słynnej ody Horacego:

*Pomnik trwalszy nad spiz
własnym żywotem wzniośł,
Górą trudów się wzniośł
ponad Giewontu szczyt,
I nie skruszy go czas
ani go przeżre rdza,
Ani stokrotny wiek skaży
nie znajdzie w nim.*

*Nie pomogła mu śmierć,
nie wyzwolił go zgon,
Ale skazał na straż
sumień naszych i serc,
I gdy drgniemy – to on
gniewnie spojrzal spod brwi,
Głośnie bijąc we krwi,
niżli Zygmunta dzwon.*

A czym się skończyło owo mitotwórstwo w wydaniu Juliana Tuwima?

Wierszem „Spotkanie w roku 1952”, w którym poeta zwraca się do chłopskiej córki studiującej w Warszawie:

*Pamiętam twego ojca,
jak na swej pół-mordze
Siał, zbierał – dla sześciorga
(nie wróbił, lecz ludzi).
Wybacz: ciemny był chłopiec.
Wzdychał, plótł, marudził
I jak dziadek zdziwaczał
w rodzimej katordze.*

*A gdy sobie uroił Legionerski Upiór
Śladem Chłobrego ruszyć
na „szlaki dziejowe”,
Westchnął tatulo, popłótał,
u Berka się upił
I poszedł „bronić Polski...”
Wiesz gdzie? Pod Kijowem.*

Ponoć – jak orzekł Czesław Miłosz – „nigdy nie było tak pięknej plejady” jak skamandryci. Miałbym wątpliwości odnośnie do Słonimskiego i Tuwima właśnie. A jeśli chodzi o Marszałka, to zdecydowanie bardziej przypadło mi do gustu to, co napisał o nim nie kto inny, lecz Miłosz – w „Traktacie poetyckim”:

*Latami będzie chodził w Belwederze.
Piłsudski nigdy nie uwierzy
w trwałość.
I będzie mruczał: „Oni nas napadną”.
Kto? I pokaże na zachód, na wschód.
„Koło historii wstrzymałem
na chwilę”.*

HUTU I TUTSI

Mało? Ziemiakiewicz powie: o wiele za mało. Cóż, maksymalista z niego. I tylko w imię czego właściwie w pewnym miejscu cytuje jakże mądre słowa Stanisława Cata-Mackiewicza o tym, że „Dmowski dał nam sympatię Ententy, pomoc wojskową i pieniężną. Dmowski wywalczył nam granice zachodnie. Piłsudski i skutki jego polityki dały nam istnienie w Warszawie POW i chociażby pośrednio te bataliony »Wehrmachtu«, które umożliwiły objęcie władzy nad krajem i nie dopuściły bolszewików [...] [Pomiędzy orientacjami] nie było w czasie wojny żadnego porozumienia, przeciwnie, była zawziętość i nienawiść, ale gdyby obie orientacje były ułożone i zorganizowane z góry, gdyby im role rozdał jakiś reżyser polityczny, nie mogłyby one zdziałać więcej, niż zdziałały”. No tak, ale nie minęło lat wiele, a – jak utrzymuje nasz Wzorcowy Endek – „Marszałek zdemolował państwo do tego stopnia, że byle trep mógł robić rzeczy tak horrendalne i nikt w żaden sposób nie mógł się jego głupocie przeciwstawić”.

Pamiętam, pamiętam, że w ślad za Giedroyciem rozróżnia Ziemiakiewicz wczesnego i późnego Piłsudskiego. On bardzo to potrafił: wczesne-

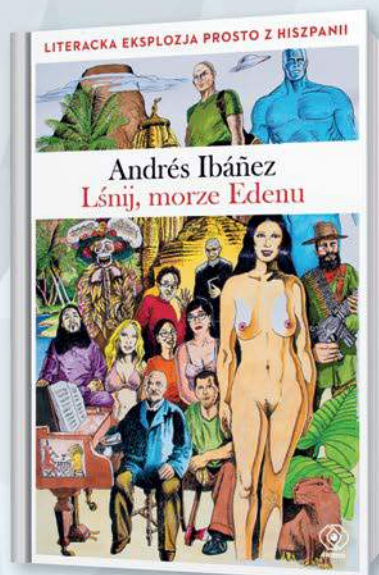
go Marksa chrząnięć tak jak późnego, także Gierka do 1976 r. nie był tak wspaniały, jak uważają jego wciąż liczni zwolennicy, ani po tym roku tak straszny, jak wydaje się to jego przeciwnikom. Rafał A. Ziemiakiewicz w swoim antypiłsudczykowski wcieleniu powtarza dyrdymały komunistycznej propagandy o chłopach dzielących zapalną na czworo i niemających na buty. Myślałem, że tego rodzaju argumenty odeszły w bezpowrotną przeszłość wraz z towarzyszem Wiesławem. A gdzie tam!

Nie mogę jednak nie skomplementować autora „Żłowrogiego cienia Marszałka” za jego uwagi na temat moralnej legitymizacji prowadzonej w Polsce polityki. Uważa on mianowicie, że wbrew temu, co sądził Giedroyc, trumny Piłsudskiego i Dmowskiego nie rządzą już – od 1989 r. – naszym krajem. Najważniejszą stała się „identyfikacja plemienna: piłsudczycy – antypiłsudczycy, postsolidarność – postkomuna, III RP – IV RP. [...] Tego zaś, kto stoi moralnie wyżej, a kto niżej, nie da się ustalić według żadnego obiektywnego kryterium. Przeniesienie sporu politycznego w kategorię odwiecznej walki dobra ze złem unieważnia mechanizm demokratyczny – większość przy urnach przecież nie jest władna ani zdolna rozstrzygać o moralności”. I tak mamy naród rozerwany na dwa nienawidzące się plemiona, na polskie Hutu i Tutsi niezdolne do jakichkolwiek porozumień, które naszą politykę „sprawadza[ją] do zjadłej wojny domowej, nieznającej granic zaciętrzewienia, zwłaszcza po tej stronie, która akurat przegrywa. Stary Fryc i Jekaterina II, patrząc na to ze swoich kotłów w piekło, muszą zacierać ręce”.

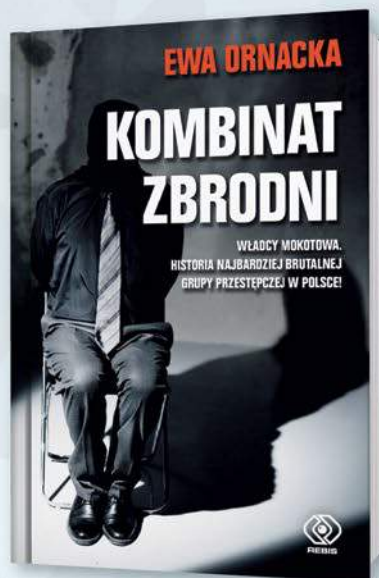
Święte słowa, Panie Radco, tylko po co żeś Pan napisał swoją książkę o Brygadzie Piłsudskim? Dla uspokojenia nastrojów? © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zapraszamy do salonów

empik

Literacka eksplozja prosto z Hiszpanii.
Andrés Ibáñez – najlepszy pisarz hiszpański
swojego pokolenia



Władcy Mokotowa. Historia najbardziej brutalnej grupy przestępczej w Polsce!
Polska mafia ma na swoim koncie wiele krwawych porachunków...



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



FB/DWREBIS



www.rebis.com.pl



Z ministrem zdrowia Konstantym Radziwiłłem

rozmawia

Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: 1 października wejdzie w życie ustawa o sieci szpitali. Zapowiadał pan, że już pierwszego dnia znikną niektóre kolejki, np. w SOR.

KONSTANTY RADZIWIŁŁ: Mamy problemy z dostępnością opieki zdrowotnej. Pierwszym są kolejki do planowych zabiegów, drugim – tłumy pacjentów w izbach przyjęć i SOR. Szpital funkcjonuje całodobowo, dlatego pacjenci po godzinach pracy przychodni zgłaszają się do niego z różnymi problemami, np. z ostrym przeziębieniem, biegunką, a czasem dlatego, że kończą im się leki stosowane przez nich w chorobach przewlekłych. Izba przyjęć ani SOR nie jest miejscem, do którego powinni się zgłaszać z takimi problemami, bo tam powinni być sprawnie przyjmowani pacjenci ciężko chorzy.

W ustawie o sieci szpitali wprowadzamy rozwiązanie, które już funkcjonuje w niektórych szpitalach: obok SOR znajdzie się przychodnia nocnej i świątecznej pomocy lekarskiej. To powinno przynieść ulgę osobom najbardziej cierpiącym, które dziś „konkurują” w kolejce z pacjentami mogącymi uzyskać pomoc w ramach nocnej pomocy lekarskiej.

Obiecuje pan, że dzięki ustawie o sieci skrócą się też kolejki do rehabilitacji i specjalistów.

Zmieni się wreszcie sytuacja osób wychodzących ze szpitala. Obecnie pacjent często jest wypisywany do domu z zaleceniem wizyty w poradni specjalistycznej – np. osoba chorująca na serce powinna się zgłosić do kardiologa, a po operacji ortopedycznej – na rehabilitację. Do tej pory pacjenci musieli sami szukać poradni specjalistycznej i często okazywało się, że termin najbliższej wizyty jest bardzo odległy. To nie do przyjęcia. Dlatego wprowadzamy zasadę, że to szpital po wypisaniu pacjenta do domu będzie mu organizował opiekę specjalistyczną lub rehabilitację w poradni przyszpitalnej.

Jest określony czas, kiedy pacjent musi zostać przyjęty do przychodni?

To kwestia ciągłości leczenia, którą szpital musi zapewnić – przepisy tego nie precyzują. W niektórych przypadkach szpital zapewni pacjentom kompleksową



Służba zdrowia to nie biznes

FOT. MICHAŁ DYLIK / PERUNA

opiekę, np. po zawale serca przez rok będzie to opieka w poradni specjalistycznej, a po wszczęciu endoprotezy stawu biodrowego – rehabilitacja.

Pacjenci nie „wypchną” z kolejek tych, którzy też czekają na wizytę, ale nie byli w szpitalu?

Chcę podkreślić: nie od razu rozwiążemy wszystkie problemy. Chcemy rozwiązać te najpilniejsze, np. to, żeby porada specjalistyczna i rehabilitacja były zapewnione osobom najczęściej chorym. Drugim krokiem, który niebawem chcemy wykonać, będzie ustawa o podstawowej opiece zdrowotnej. Chcemy, by większa niż do tej pory część chorych leczyla się u lekarzy rodzinnych, którzy są dobrze wykwalifikowani i przygotowani do pracy z pacjentami np. z nadciśnieniem, niepowikłaną cukrzycą typu 2. Kierowanie ich od razu do specjalisty jest nieuzasadnione. W Polsce odsetek osób pozostających pod stałą opieką specjalistów jest wielokrotnie wyższy niż w innych krajach. Pozostawianie równocześnie pod opieką kilku specjalistów, np. diabetologa, kardiologa, neurologa, jest niekorzystne również z tego powodu, że lekarze, nie wiedząc o tym, mogą zapisywać leki, pomiędzy którymi często dochodzi do interakcji.

Czyli kolejki do specjalistów znikną, gdy zaczniemy się leczyć głównie u lekarzy rodzinnych?

Po pierwsze, chcemy najpierw skoncentrować się na pacjentach, którzy najbardziej potrzebują pomocy specjalisty, bo są np. po operacji w szpitalu. Po drugie, chcemy zachęcać lekarzy POZ, by brali odpowiedzialność za swoich pacjentów, i przekonywać chorych, że lekarzom rodzinnym można powierzyć swoje zdrowie.

Był pan bardzo zdeterminowany do wprowadzenia sieci szpitali, mimo że miała ona wielu krytyków, również w rządzie. Właściwie dlaczego tak panu na tym zależało?

To najlepsze z możliwych rozwiązań. Osoby, które tak ostro je krytykowały, nie podawały alternatywy, w jaki sposób należałoby zmienić system opieki szpitalnej w Polsce. A większość z nas jest przecież z niego bardzo niezadowolona. Niesprawiedliwości i chaosu codziennie doświadczają tysiące chorych, którzy kłębią się w SOR, nie wiedząc, jak dostać się do specjalisty po pobycie w szpitalu. A w samych szpitalach mamy z kolei do czynienia z dość wstydlwym zjawiskiem

wybierania tzw. bardziej korzystnych pacjentów.

To ci, za których lepiej płaci NFZ?

Za których lepiej płaci NFZ albo których leczenie nie wiąże się z ryzykiem. Chcemy, żeby szpitale były pewne swojego finansowania. Szpitale, które znajdują się w sieci, będą przez cztery lata otrzymywały opłatę ryczałtową, a dzięki temu będą mogły skoncentrować się na opiece nad pacjentem, a nie na wykonywaniu procedur. Jeśli ktoś to krytykuje, niech poda alternatywę. Różnego rodzaju podobne rozwiązania funkcjonują w prawie wszystkich krajach Europy. Są daleko idące regulacje, bo państwo ponosi odpowiedzialność za leczenie szpitalne, zwłaszcza że jest ono najbardziej kosztowne, a jednocześnie dotyczy osób najczęściej chorych. Jeśli nie wprowadzilibyśmy sieci szpitali, to moglibyśmy albo nic nie robić – a wtedy wszystkie nieprawidłowości by pozostały – albo trzeba by rozpisać konkursy na świadczenia szpitalne na zasadach wolnoamerykanki.

Co w tym złego? Kontrakty dostaliby najlepsi...

Wszyscy by ze sobą konkutowali, a najbardziej zyskałyby najbardziej obrotne placówki, zwykle prywatne, które wybrałyby dla siebie najlepiej opłacane procedury, można powiedzieć „rodzynki” w tym systemie. Taka sytuacja byłaby rujnująca dla publicznych szpitali, które muszą zapewnić wszystkim pacjentom bezpieczeństwo. Dzisiaj widzimy, że nie ma konkurencji o pediatrię, internę, chirurgię ogólną – a to są kluczowe oddziały, jeśli chodzi o bezpieczeństwo pacjentów. Publiczne szpitale zostałyby z kontraktami, których nikt by nie chciał. Wiele z nich doprowadziłoby to do bankructwa.

Niepubliczne szpitale często leczą równie dobrze jak publiczne, a stwarzają pacjentom lepsze warunki.

Szpital nie może mieć tylko jednego czy dwóch bardziej opłacalnych oddziałów. Były sytuacje, że wyjątkowo dobrze opłacane zabiegi były wykonywane, a następnie pacjent miał sobie radzić sam. Mamy świetne wyniki leczenia w kardiologii interwencyjnej, ale po roku od zabiegów odsetek zgonów u pacjentów jest wysoki, bo wielu takich chorych nie ma należytej opieki. Znakomite

wyniki ostrego leczenia są marnowane. Luksusowe warunki, w których można wykonać zabieg, nie gwarantują kompleksowej opieki nad pacjentem.

Europa Zachodnia, na którą patrzymy z zazdrością, ma szpitalnictwo oparte na szpitalach publicznych albo prowadzone przez instytucje kościelne lub fundacje. A w Polsce konkurują ze sobą duże placówki publiczne, które przyjmują każdego ciężko chorego, i placówki, które wybierają sobie pacjentów bardziej opłacalnych. Jedni dorabiają się fortun, a inni toną w długach, mimo że są potrzebni, żeby zapewnić bezpieczeństwo obywatelom.

Skutkiem eksperymentów z wolnym rynkiem było to, że niektóre szpitale powiatowe zostały skomercjalizowane, sprzedane, a następnie zamknięte. Służba zdrowia to nie jest rynek, na którym można, ot tak, coś sprzedać drożej lub taniej. Tutaj w grę wchodzi ludzkie życie.

Krytycy twierdzą, że część szpitali, które nie wejdą do sieci, trzeba będzie zamknąć. Zapewni pan, że tak się nie stanie?

W tej sprawie jest bardzo dużo mitów. W Polsce ok. 1100 placówek jest zarejestrowanych jako szpitale. Co do 700 z nich nikt nie ma wątpliwości, że to szpitale: mają budynek, łóżka, izbę przyjęć. Jednak ok. 80 placówek jest zarejestrowanych jako szpitale, a mają pięć albo mniej łóżek! Część takich „szpitali” jest zarejestrowana wewnątrz dużego szpitala. Można by wprost zadać pytanie: Komu to służy?

Szpitalom będzie zależało na pacjentach, skoro będąc w sieci dostaną pieniądze w ramach ryczałtu?

Ci, którzy wątpią, czy szpital, który dostanie wynagrodzenie ryczałtowe, będzie w ogóle chciał coś robić z pacjentem, zakładają, że służba zdrowia jest biznesem. Publiczne szpitale, tak jak publiczne szkoły, policja, sądy, nie mogą działać na zasadzie: jak zapłacisz, to coś zrobię, a jak nie, to nie. Każdej instytucji publicznej powinna przyświecać misja, a nie pogoń za wynikiem finansowym. Szpital powinien koncentrować się na leczeniu, a nie na wykonywaniu tego, co mu się opłaca.

Ryczałt zakłada jednak, że nie płaci się za jakość.

Ryczałt będzie zależny od tego, ile w poprzednim okresie rozliczeniowym

■ szpital wykonał świadczeń. Jeśli więcej, to ryczałt będzie wyższy. Będzie też wyższy w szpitalu, który ma certyfikat jakości. Nie jest tak, że damy pieniądze i zamykamy oczy na to, co wydarzy się potem. Za porody, kompleksową opiekę nad pacjentem z ostrym zespołem wieńcowym, po endoprotezoplastyce, za leczenie onkologiczne, chemioterapię, radioterapię, nowoczesne metody obrazowania, szpitale dostaną pieniądze osobno, nie w ramach ryczałtu.

Kiedy będziemy mogli sprawdzić, jakie są wyniki leczenia, zanim wybierzemy szpital?

Pracujemy nad ustawą o jakości opieki. Są tam przepisy wprowadzające zasady kontroli jakości opieki w szpitalach. Jednym z jej elementów będą różne wskaźniki, m.in. wyników leczenia. W onkologii prezentacja wyników leczenia pojawi się już wcześniej.

Lepsze placówki dostaną więcej pieniędzy?

Tak. Ustawa narzuca ministrowi zdrowia przygotowanie takiego rozwiązania w onkologii, a potem będziemy to robić także w innych dziedzinach medycyny.

Przy operacji biodra będziemy mogli dopłacić do lepszej protezy? Albo do soczewki przy operacji zaćmy?

Określenie: „dopłacać do lepszej opieki” jest dla mnie nie do przyjęcia, bo jeśli coś jest lepsze, to znaczy, że coś innego jest gorsze. A w systemie publicznym opieka musi być wysokiej jakości. Pojawiła się propozycja, żeby pacjent mógł dopłacić do niektórych wyrobów medycznych, by np. uzyskać ponadstandardową soczewkę czy endoprotezę. Chcemy stworzyć taką możliwość. Wcześniej trzeba jednak określić standard, gdyż nie może być tak, żeby pacjentowi w systemie publicznym „należało się” coś, co jest złej jakości.

Będziemy też płacić w publicznym szpitalu, by ominąć kolejkę do zabiegów?

Dzisiaj niepubliczne szpitale mogą mieć kontrakt z NFZ, a jednocześnie wykonywać zabiegi odpłatne. Takiej możliwości nie mają szpitale publiczne. Chcemy znieść tę różnicę, oczywiście pod warunkiem, że nie wpłynie to na sytuację pacjentów, którzy będą leczeni w ramach publicznego systemu. Nie możemy dopuścić do sytuacji, że pacjent, który zapłaci, będzie omijać kolejkę, a w efekcie inni będą czekać dłużej. Możliwość

wprowadzenia odpłatnych usług w szpitalach publicznych poprawi ich kondycję finansową, a pośrednio też warunki dla pacjentów leczonych w ramach NFZ.

Po wprowadzeniu takiego systemu w szpitalu publicznym nie pojawią się pacjenci „lepsi” i „gorsi”?

Nie. NFZ, który finansuje usługi w ramach publicznego systemu, jest też kontrolerem. Dbą o to, żeby wykonanie usług spełniało określone standardy.

Polska zajmuje jedno z ostatnich miejsc, jeśli chodzi o ocenę służby zdrowia. Dużo lepiej oceniana jest ona np. w Czechach. Dlaczego nie skopiować czeskich pomysłów?

Nie wszyscy w Czechach są zachwyceni systemem opieki zdrowotnej, chociaż na pierwszy rzut oka różnica jest bardzo wyraźna: oni wydają ze środków publicznych dużo więcej w przeliczeniu na mieszkańca – ok. 6 proc. PKB, my – 4,7 proc. PKB. W porównaniach pod jednym względem wypadniemy lepiej, pod innym gorzej.

Jednak w indeksach konsumenckich wypadamy źle.

Jeśli chodzi o Europejski Indeks Konsumencki, to bardzo ciekawą analizę wykonał niedawno dr Jarosław Fedorowski, prezes Polskiej Federacji Szpitali. Wyliczył, że źle nas tam podsumowano, i z 31. miejsca (na którym zostaliśmy sklasyfikowani) przesunął nas na 18. Biorąc pod uwagę niewielkie pieniądze, które przeznaczamy na zdrowie, takie miejsce jest bardzo dobre. Nie twierdzę, że w Polsce jest świetnie. Chcemy naprawić sytuację i robimy to: udało

nam się znaleźć kilkadziesiąt milionów złotych na dodatkowe operacje zaćmy, znowelizowaliśmy pakiet onkologiczny, wprowadzamy sieć szpitali, wkrótce będzie ustawa o POZ. W ciągu ostatniego półtora roku bardzo poprawił się dostęp do nowoczesnych leków. To gigantyczny wysiłek, gdyż nowe leki są bardzo drogie.

Potrzeby są jednak jeszcze większe, wciąż pojawiają się nowe leki. Wiele z nich w Polsce nadal jest nierefundowanych. Najczęściej pada argument, że za mało pieniędzy przeznaczają na zdrowie. Będzie więcej?

W krajach, w których wzrasta PKB, również wzrasta odsetek PKB przeznaczany ze środków publicznych na zdrowie. Porównując Polskę do krajów o podobnej historii i zamożności, wydaje się, że 6 proc. PKB ze środków publicznych to poziom, którego powinniśmy oczekiwać. Do takiego poziomu musimy dojść. Dzisiaj brakuje nam do niego 30–40 mld zł. Gdyby te pieniądze dziś pojawiły się w służbie zdrowia, to wiele problemów można by rozwiązać. Oczekiwania Polaków co do opieki zdrowotnej na pewno są wyższe. Jednak za wszystko trzeba zapłacić. Jeśli chodzi o drogie leki, to mówi się, że zdrowie nie ma ceny. To prawda, ale... jednak ma. Jeśli na bardzo drogi lek dla niewielkiej grupy pacjentów wydamy kilkadziesiąt milionów złotych, to ta suma często jest większa niż roczny budżet niejednego szpitala powiatowego. Jeśli tu wydamy więcej, to gdzieś indziej musimy wydać mniej. Podobnie jest w całym budżecie: jeżeli więcej wydamy na zdrowie, to na coś musimy wydać mniej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Co zmieni reforma zdrowia

1. Utworzona zostanie sieć szpitali, tzw. system PSZ (podstawowe szpitalne zabezpieczenie). W skład sieci wejdą szpitale przyporządkowane do siedmiu poziomów zabezpieczenia (trzy podstawowe i cztery specjalistyczne). Będą mieć zagwarantowaną umowę z NFZ.
2. Szpitale w sieci muszą mieć izbę przyjęć albo szpitalny oddział ratunkowy oraz określone oddziały, np. w szpitalu podstawowym pierwszego stopnia muszą się znaleźć: chirurgia ogólna, choroby wewnętrzne, położnictwo i ginekologia, neonatologia, pediatria.
3. Na funkcjonowanie sieci będzie przeznaczane 91 proc. środków, z których obecnie jest finansowane leczenie szpitalne.
4. Kontrakty na pozostałe świadczenia będą zawierane w drodze konkursów. Brać w nich udział będą mogły szpitale, które nie znalazły się w PSZ.
5. Szpital w sieci ma zapewniać pacjentowi leczenie szpitalne, odpowiednią poradnię specjalistyczną i rehabilitację.



FOT. WOJCIECH ARTYMIER/FORMA



Z Andrzejem Sośnierzem,
posłem PiS, byłym prezesem Narodowego Funduszu Zdrowia
rozmawia Łukasz Zboralski



Szpitalom potrzeba konkurencji

ŁUKASZ ZBORALSKI: W Polsce stworzona zostanie sieć szpitali. Jako jedyny poseł PiS nie podniósł pan ręki w tej sprawie w Sejmie.

ANDRZEJ SOŚNIEŻ: Skoro jestem o czymś głęboko przekonany i o tym mówię, to w Sejmie trudno byłoby się zachować inaczej. A jestem przekonany, że zmiana nie będzie korzystna dla pacjentów. Tworzenie sieci szpitali powiązane bowiem ze zmianą sposobu ich finansowania. Będzie to powrót, choć z pewnymi modyfikacjami, do budżetowania szpitali. Czyli placówki będą otrzymywać na cały rok określoną kwotę na podstawie wcześniejszych wykonań usług, niezależną od liczby obsłużonych pacjentów.

Co jest złego w tym, że państwo chce mieć lepszy nadzór nad wydawaniem pieniędzy w obszarze zdrowia?

Ależ państwo miało i ma pełen nadzór nad wydatkowaniem pieniędzy! Tylko niestety bardzo często jest słabym państwem, ulega politycznym, lokalnym i środowiskowym naciskom i nie potrafi wykorzystać potężnych narzędzi, które ma, takich jak choćby system sprawozdawczy Narodowego Funduszu Zdrowia. To baza danych mająca wieloletnie zasoby informacyjne, które pozwalałyby ministrowi zdrowia prowadzić sensowną politykę zdrowotną. Ta baza jest w ogóle niewykorzystywana. W zarządzaniu służbą zdrowia należy wreszcie postawić na zespoły analityczne. Dzisiaj nie ma kto wykonywać takich analiz i te wielkie zasoby danych się marnują.

Ja pytam o pieniądze. Przy uzasadnianiu tej reformy padał zarzut, że niektóre placówki, zwłaszcza niepubliczne, wybierają z rynku tylko najlepiej płatne usługi, same rodziny...

Jeśli ministrowie narzekają, że świadczeniobiorcy wybierają z rynku zdrowia rodziny, to ja pytam: Kto te rodziny stworzył? No, cholera jasna, przecież minister! I potem minister zdrowia się na to złości?!

To, że niektóre usługi były wycenione tak wysoko, iż właśnie je tylko opłacało się wykonywać, to nie jest wina ośrodków, które się tego podjęły, tylko wina państwa, które nie potrafi prowadzić sensownej polityki zdrowotnej – zauważać powstawania problemu i reagować na czas. Te ceny ustaliło państwo.

Nie zaprzeczy pan chyba jednak, że od lat toczyła się skryta prywatyzacja szpitali – nierentowne publiczne lecznice przejmowały prywatne

spółki. Zamykano nierentowne oddziały, a kosztowni pacjenci trafiali do publicznych placówek.

Struktura szpitalnictwa musi być złożona. Nie może być tak jak przed 50 laty, że jest jeden szpital rejonowy i wszystko tam się leczy. Medycyna posunęła to do przodu. Dobrym przykładem jest sprawa leczenia zawałów. Dawniej było to niewyobrażalne, aby leczyć je poza szpitalami. A teraz pacjenta z zawałem nie należy zawozić do szpitala klasycznego, ale do tego – jak to minister Konstanty Radziwiłł mówi – szpitalika, gdzie jest kilka łóżek. W tym „szpitaliku” załatwia się bowiem ten problem zdrowotny Polaków. Kiedyś pacjent trafiał do szpitala na oddział kardiologiczny, przebywał tam tydzień, potem go uruchamiano po zabiegu, zajmowało to zazwyczaj trzy-cztery tygodnie. Teraz trafia do pracowni kardiologii interwencyjnej, gdzie wykonywane jest balonikowanie lub jest zakładany stent i za trzy dni idzie do domu.

Dam panu też inny przykład, z okulistyki. Dawniej pacjent do operacji zaćmy musiał leżeć w szpitalu kilka dni przed operacją, potem była operacja, leżenie z opatrunkami na oczach, w końcu wychodził po 10 dniach. Trzeba było blokować jedno łóżko przez 10 dni albo nawet dwa tygodnie. Przy 10 operacjach przez 10 dni miał pan w szpitalu te łóżka zajęte. Teraz tych 10 pacjentów załatwi pan w ośrodku publicznym lub niepublicznym w przeciągu trzech godzin. Potrzebne jest jedno łóżko lub dwa dla pacjenta trudniejszego lub powikłanego, pozostali jadą do domu tego samego dnia. I to robią te „szpitaliki”, z których kpi minister zdrowia.

Czy ta reforma to jednak zniszczy? 91 proc. pieniędzy na leczenie trafi do szpitali ujętych w sieć, a 9 proc. nadal będzie przyznawane w konkursach dla wszystkich – dla tych „szpitalików” też.

Intencje ustawy, chociaż wprost nie zwerbalizowane, są czytelne choćby w wymogach stawianych szpitalom, aby mogły znaleźć się w sieci. Na przykład wymóg posiadania kontraktu na izbę przyjęć, i to przez co najmniej ostatnie dwa lata w sytuacji, kiedy od kilku lat nie rozpisywano konkursów na ten zakres świadczeń. Dlatego kontraktów na izby przyjęć nie ma wiele nowych zakładów, przede wszystkim niepublicznych. A poza tym tam niejednokrotnie klasyczna izba przyjęć jest niepotrzebna, chyba tylko dlatego, aby było drożej. Postawiono jeszcze wiele innych wymogów,

których nowoczesne „szpitaliki”, np. te leczące zaćmy lub zawały, nie spełnią. Z zapisów ustawy wyłania się dość archaiczny pogląd na strukturę szpitalnictwa w Polsce.

No dobrze, ale trudno mówić o zdrowym systemie, gdy tych pacjentów, na których się nie zyskuje, ale traci, muszą przyjmować publiczne placówki. No bo ktoś musi. Tymczasem jaki będzie problem, gdyby pacjentów z zaćmą również w trzy godziny obsługiwać w dużych szpitalach?

Struktura szpitalnictwa powinna być hierarchiczna. Zdarzenia masowe, nieskomplikowane powinny być szybko i sprawnie realizowane w prostszej strukturze, w małych wyspecjalizowanych ośrodkach, bo tam będzie to wykonywane szybciej i taniej. Dla trudniejszych zdarzeń, dla pacjentów z powikłaniami powinny być większe ośrodki lecznicze. Nie jest patologią, że powikłane rzeczy trafiają do dużych ośrodków. One właśnie mają się tym zajmować.

Z kolei minister zdrowia poprzez NFZ powinien sprawdzać, jak często w poszczególnych ośrodkach zdarzają się powikłania, i w razie potrzeby wprowadzić szczególny nadzór albo nawet zerwać umowę, bo to może świadczyć o niskiej jakości leczenia. To by poprawiało jakość w całym systemie opieki zdrowotnej.

Należy jednak zauważyć, że w szpitalach przejmowanych przez prywatne podmioty ucinano wiele patologii. Nagle okazywało się, że jeden lekarz na jednym dyżurze nie może już pracować jednocześnie na dwóch etatach jako ordynator dwóch oddziałów...

Ja nie jestem doktrynalnym zwolennikiem prywatyzacji, poprzedni rząd, wprowadzając przymus przekształceń, spowodował, że każde takie przekształcenie wydawało się podejrzanym. Uważam natomiast, że należy do systemu opieki zdrowotnej wprowadzać elementy konkurencji. Jeśli ten sam szpital, robiąc to samo, miał straty, a teraz ma zyski, to jest to dydaktyczne, pouczające doświadczenie – jak uzyskano poprawę wyniku. Niestety, to jest często niewygodne dla wszystkich.

Mówi się, że ci, którzy prowadzą szpital, mają wynik dodatni, „robią interesy”, „zbierają rodziny”. Czyli złe jest uzyskanie dodatniego wyniku działalności. Gdyby minister zdrowia się zastanowił, to jakie to jest myślenie – że służba zdrowia ma się zawsze zadłużać, bo ten, kto ma nadwyżkę finansową,

prorowadzi szpital nagannie? To zły i hiena? I przez odwrotność – zakładamy w Polsce, że właściwe prowadzenie szpitala to zadłużanie placówki, bo tylko ci nie wypracowują zysku (nie są więc łotrami), którzy bogacą się na służbie zdrowia?

Ministerstwo Zdrowia przekonuje, że po reformie zmniejszą się kolejki pacjentów. Na przykład na szpitalnych oddziałach ratunkowych nie będą zajmować miejsca pacjenci, którzy mogliby pójść do zwykłej poradni, bo takie będą teraz w szpitalach czynne i w nocy.

Jakim cudem? To nielogiczne. Jeśli chcemy do szpitali przenieść całą nocną pomoc, to będzie tam mniej pacjentów czy więcej? No przecież więcej. Nagle pojawiają się tam nowe poradnie i gabinety? Tak przecież nie będzie. Poradnie

15 minut. W takim razie – z przymrużeniem oka – ta cała podróż stanie się już rehabilitacją.

Czyli są to rozwiązania, które gdzieś tam mogą się sprawdzić, ale z punktu widzenia całego kraju pacjent nie powinien po operacji jechać daleko do szpitala. Przenoszenie go z miejsca bliskiego do oddalonego szpitala będzie pogorszeniem opieki.

Uważa pan też, że szpitalom przestanie się opłacać przyjmowanie pacjentów, bo będąc w sieci, dostaną wynagrodzenie ryczałtowe. Ono jednak będzie wyliczane na podstawie usług wykonanych w roku poprzednim. Czyba warto więc będzie przyjmować dużo pacjentów?

Jeśli w danym roku szpital przyjmie więcej pacjentów niż w poprzednim roku, to nie dostanie więcej pieniędzy –

Czy na pewno? Niektóre usługi – te drogie – będą dalej kontraktowane ze szpitalami po staremu.

No więc właśnie – zauważono ten mankament i zdano sobie sprawę z zagrożenia, o którym mówię. W części te świadczenia zostały wydzielone, a po interwencji wicepremiera Gowina wydzielono ich jeszcze więcej, niż wstępnie planowano. Jednak cała reszta będzie temu mechanizmowi podlegać. I paradoksalnie może się okazać, że reforma rozwine system prywatnej opieki zdrowotnej – bo odrzucani pacjenci będą szukali pełnopłatnych usług u tych, którzy nie mają kontraktów.

Skoro kontrola jest, niepubliczne placówki dały sobie radę z tym, czego nie potrafiły załatwić placówki publiczne, to co było złego w dotychczasowym systemie?

W Polsce często się zachęca przedsiębiorców do inwestowania, składa się deklaracje ułatwień, wspierania przedsiębiorczości. Jeśli już jednak założysz firmę, to nagle stajesz się dla państwa potencjalnym złodziejem. Zachęca się do przedsiębiorczości, a potem od razu zaczyna gnębić. To jest paranoja!

Niepubliczny system opieki zdrowotnej rozwiązał problemy, których budżetowy system nie mógł rozwiązać przez dziesięciolecia – zawały, endoprotezy, zaćmy, dializy. Państwo nie wydało ani grosza, stworzyło tylko mechanizm, a niepubliczne podmioty zadziałały. I nie tylko rozwiązały problem – w kardiologii jesteśmy dziś w światowej czołówce. A skoro tak kłuje w oczy, że zakłady niepubliczne przynoszą zyski, to warto zauważyć, że na te ścieżki wkraczały też potem ich śladem zakłady publiczne, np. w kardiologii nieinwazyjnej. Dzięki temu niektórzy dyrektorzy potrafili z całym szpitalem wyjść na swoje.

A teraz państwo zachowuje się tak: rozwiązaście problemy, to my teraz was do galopu weźmiemy. Takie podejście jest trudne do zrozumienia. Jeśli niepubliczne podmioty wyłożyły ileś milionów złotych, załatwiając problemy państwa, to czy tego nie mogą odzyskać? No i z czego mają to odzyskać, jeśli nie z zysku? A czas amortyzacji takich inwestycji w zależności od wycen to od trzech do siedmiu lat. Czyli niepubliczny podmiot przez siedem lat odbiera to, co za państwo wyłożył. Dopiero w ósmym roku będzie miał zysk dla siebie, a najczęściej przecież będzie w niego dalej inwestował.

W Polsce często się zachęca przedsiębiorców do inwestowania, składa się deklaracje ułatwień, wspierania przedsiębiorczości.

Jeśli już jednak założysz firmę, to nagle stajesz się dla państwa potencjalnym złodziejem. To jest paranoja!

specjalistyczne nie będą czynne całodobowo, w nocy nie będą działać. Moim zdaniem kolejki zostaną takie, jakie są, albo będą dłuższe.

A to, że w szpitalu dalej będzie łatwiej dla pacjenta – bo rehabilitację będzie miał też w jednej placówce, a nie będzie musiał jej szukać dalej, w poradniach, i czekać w następnych kolejkach – też pan zaneguje?

Tak już było przed reformą, jeszcze za komuny. I co, było dobrze? To dlaczego żeśmy od tego odchodzili? W dawnych zakładach opieki zdrowotnej w latach 80. i 90. było wszystko, był lekarz rejonowy, były wszystkie poradnie, szpitale i rehabilitacja. I było dobrze?

Jeśli się patrzy z perspektywy dużego miasta, w którym jest kilka szpitali i wszyscy mieszkańcy mają do swojego szpitala relatywnie blisko, mogą dojechać do niego autobusem, to pał sześc. Niech pan jednak będzie pacjentem, który ma do szpitala 50 km. Gdzie należy panu zapewnić opiekę pooperacyjną – w tym szpitalu czy blisko miejsca zamieszkania? Jeśli miał pan np. operację na narządzie ruchu, to będzie musiał pan dojechać 50 km w jedną i potem 50 km w drugą stronę na rehabilitację trwającą

czyli nie przyjmie, bo mu to się przecież nie będzie opłacało. Tak też już było. Jeśli szpital dostał budżet i będzie bardzo drogi pacjent, który zużyje dużą część tego budżetu, to placówka nie będzie zainteresowana leczeniem takich osób. To był właśnie mankament gospodarki budżetowej.

Ja byłem i lekarzem wojewódzkim w systemie budżetowym, i dyrektorem kasy chorych, i prezesem NFZ. Doświadczyłem wszystkich tych systemów i wiem, jak funkcjonowały. Szpital budżetowy nie jest zainteresowany przyjmowaniem wielu pacjentów, a szczególnie tych drogich. Kiedy była budżetowa służba zdrowia, uruchamiany był dyżur lekarza wojewódzkiego – jego zadaniem było m.in. upchnąć pacjenta, którego nikt nie chciał przyjąć. Ta instytucja zniknęła, kiedy pojawił się system ubezpieczeniowy i nikt już nie stwarzał bariery, bo jeśli pacjent był finansowany „za sztukę”, to każdy chciał go przyjąć. Zniknięcie tej instytucji pokazało, w czym system ubezpieczeniowy był lepszy – poprawił się dostęp pacjentów do leczenia. Teraz wcześniejszy problem może się odtworzyć. Nie od razu, ale może.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Chichotki i ponuracy

Do coraz liczniejszych u mnie objawów stetryczenia doszedł kolejny: strasznie mnie irytują żarciki i drwinki rzucane podczas oficjalnych spotkań, na których trzeba coś ustalić.

No, niestety. Stałem się drętwy. Zrozumiałem to podczas zebrania na temat obozu, na który ma wyjechać mój syn, bo przecież wakacje za pasem. Zebranie, które spokojnie mogło potrwać 20 minut, ciągnęło się półtorej godziny. Jakiś kwadrans dołożył od siebie prowadzący, który upajał się swoim głosem niczym Tomasz Wołek komentujący jednocześnie mecz ligi argentyńskiej i najnowsze zbrodnie Jarosława Kaczyńskiego. Jednak prawie godzinę dorzucili rodzice, którzy urządzili sobie prawdziwą orgię śmichów-chichów oraz rypcium-pypcium.

Cóż, usadzenie dorosłych w szkolnych ławkach (a w takich warunkach odbywało się zebranie) zazwyczaj prowadzi do ich upupienia. A to objawia się przymusem żartowania. Nagle wszyscy czują potrzebę zademonstrowania, jacy są fajni, młodzi duchem i dowcipni. Rzucają zabawny (powiedzmy) tekst za tekstem i zaśmiewają się z własnych dowcipów. Dochodzi wręcz do swego rodzaju rywalizacji o miano najzabawniejszego uczestnika spotkania, więc pretencji do tego zaszczytnego, acz nieoficjalnego tytułu przekrzykują się w chichotliwym zapale.

To tylko impresja z ostatniego spotkania, ale więk-

szość spędów przedszkolnych, szkolnych, a nawet zawodowych, w jakich biorę udział, podlana jest tym rehotliwym sosem, który prowadzi po prostu do marnowania czasu. A ja już jestem stary i nie mam tego czasu zbyt wiele. Dlatego na takich zebraniach uśmiecham się jedynie sztucznie i próbuję skierować je ku jakimś konkluzjom. W związku z tym ludzie, którym psuję zabawę, patrzą na mnie nienawistnie i myślą sobie: „Co za buć!”.

Jednak istnieje także druga strona medalu. Ponuractwo. Akurat niedawno, podczas pewnego oficjalnego spotkania, miałem niesamowitą – jak to się mówi – fazę. Błyskotliwe teksty przychodziły mi do głowy jeden po drugim, więc ubogacałem nimi towarzystwo. Przechabawne żarty napływały mi do ust, jakby w moim mózgu ulokował się cały batalion scenarzystów „South Park”. Z podniecenia aż nie mogłem usiedzieć i wykrzykiwałem co lepsze pointy na cały głos. Niestety, było to rzucanie pereł przed wieprze. Nikt nawet się nie uśmiechnął. Byłem otoczony przez pozbawionych elementarnego poczucia humoru nudziarzy. To było straszne.

Na koniec małe wyjaśnienie. Bardzo podobny (choć znacznie lepszy) felieton napisał w latach 60. ubiegłego wieku Stanisław Dygat. Przyznaję się do tego bez bicia, więc nie traktujmy mojego tekściku jako plagiatu, lecz jako drobny hołd złożony temu wspaniałemu, a troszkę już zapomnianemu pisarzowi. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Święto niczyje

Kiedy w sobotę 29 kwietnia rozpoczął się doroczny tydzień „świętego grilla”, po raz kolejny dopadła mnie refleksja. Jak długo jeszcze? Jak długo jeszcze czerwona kartka w kalendarzu pozostanie 1 maja, święto niczyje, dewastujące kolejny tydzień roboczy? Lata temu było to osobliwe święto klasy robotniczej, która w lennym pochodzie mogła przededefilować u stóp swych właścicieli, w szumie szturmówek i cukrowej waty.

Światową tradycją było przechwytywanie dni wyjątkowych. Boże Narodzenie zastąpiło pogańskie Saturnalia, a Wielkanoc – żydowską Paschę

Dzisiaj nie ma ani tego ustroju, ani tamtej klasy robotniczej i nie istnieje żaden istotny powód, aby święcić 1 maja, tym bardziej że zaraz jest 3 maja, który obchodzić trzeba i wypada. Prawa świata pracy zostały zagwarantowane z naddektami, a ustrój, który dla tego świata zafundowano, okrył się niesławą.

Kto więc dziś ma walczyć na ulicach i o co? Klasy posiadające z władzą wybraną przez rzeszę nieposiadających?

Światową tradycją było przechwytywanie miejsc i dni wyjątkowych – klasztory budowano na ruinach pogańskich gontyn, Boże Narodzenie zastąpiło pogańskie Saturnalia, a Wielkanoc – żydowską Paschę.

Rosjanie mogli przykryć rocznicę rewolucji październikowym dniem pamięci o Polakach wypędzonych w 1612 r. z Kremla, nam pozostaje co najwyżej obchodzić wejście do Unii Europejskiej. Tyle że większości rodaków ani to grzeje, ani ziębi. Unia nie okazała się rajem, ale bardziej nowym wcieleniem RWPG, z którego co rozsądniejsi (Wielka Brytania) dają nogę i tylko patrzeć następnym.

Tylko jak coś już jest, bardzo trudno jest to skasować (przekona się o tym PO, jeśli kiedyś po przejęciu władzy spróbuje skasować „500+”). 1 maja jest i można tylko wymyślić dla niego jakiś rozsądny powód oraz sztafaż.

Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to święto uchodźców. Zrobiło się ciepło, łódzie wypływają już na Morze Śródziemne i za chwilę ruszy kolejna fala współczesnych Wandolów, Gotów, Longobardów, Hunów... Może by powitać ją na trybunach ustawionych wzdłuż tras przerzutu.

Oni pod zielonymi flagami, Europejczycy wywieszają białe.

A i element tradycji byłby zachowany.

Przecież im głównie chodzi o socjal. ©©

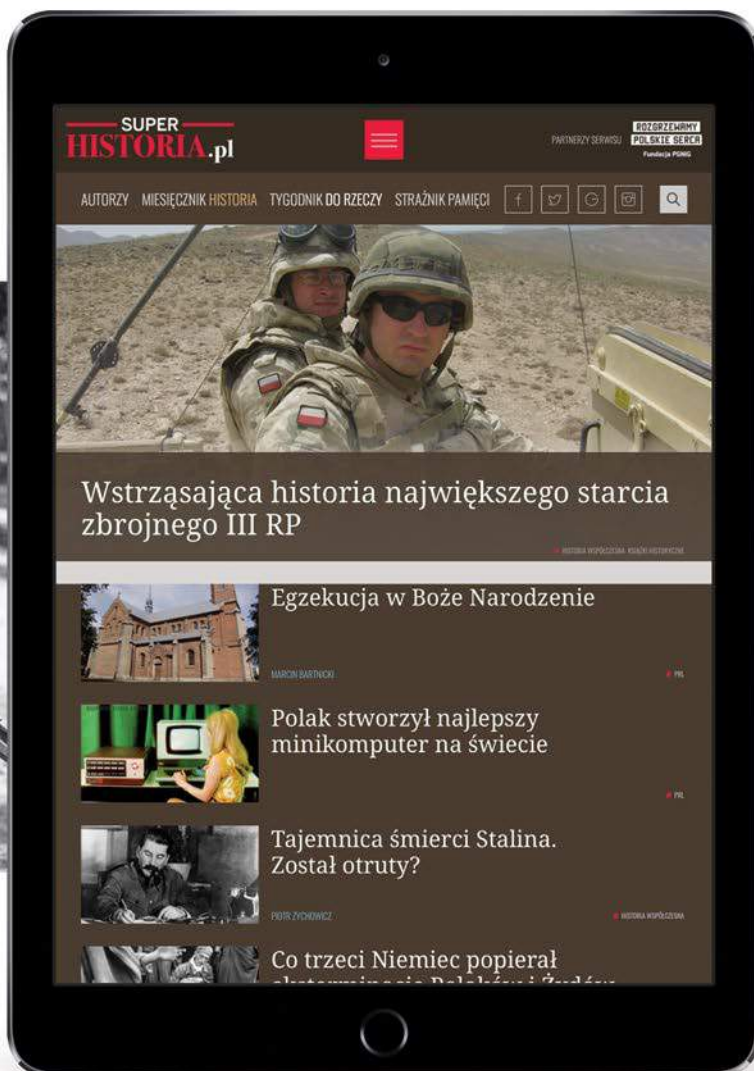
SUPER HISTORIA.pl

NAJMŁODSZY PORTAL HISTORYCZNY W POLSCE

1863
1918



1989
1683
1939



1989



1791

**ARTYKUŁY I KOMENTARZE NAJLEPSZYCH PUBLICYSTÓW HISTORYCZNYCH
O NAJWAŻNIEJSZYCH WYDARZENIACH Z HISTORII POLSKI I ŚWIATA.
RECENZJE I FRAGMENTY KSIĄŻEK HISTORYCZNYCH.**

PARTNERZY SERWISU:



Fundacja PGNiG

eprasa.pl d16181790b

Gdy Kilimandżaro było



Piotr Semka

„Niemiecki kolonializm” – na tę dużą rozliczeniową wystawę w Berlinie trzeba było długo czekać. Niemal sto lat po ostatecznym końcu kajzerowskiego imperium zamorskich posiadłości

Niemcy straciły swoje zamorskie ziemie w trakcie I wojny światowej, więc w latach 60. nie trapił ich problem dekolonializmu, tak jak Francuzów, Brytyjczyków, Belgów i Portugalczyków. Dawne grzechy przypomniały jednak o sobie wraz z roszczeniami byłych państw kolonialnych o odszkodowania za brutalnie tłumione powstania w koloniach Rzeszy na początku XX w. Wielka i niezwykle ciekawa wystawa w Niemieckim Muzeum Historycznym mierzy się z epoką, gdy cesarska flaga powiewała nad koloniami w Afryce, na wybrzeżu Chin i na Pacyfiku.

SPÓŹNIENI GRABIEŻCY

Gdy w 1871 r. doszło do powstania zjednoczonego cesarstwa Niemiec, wielu niemieckich polityków mówiło o swoim kraju jako o „spóźnionym mocarstwie”. Wskazywano, że Francja czy Wielka Brytania zjednoczyły się znacznie wcześniej, podczas gdy państwa niemieckie żyły w faktycznym rozbiciu i inni dzielili między siebie zamorskie kraje. Nic dziwnego, że gdy wreszcie Bismarck zjednoczył Niemców „krwią i żelazem”, rzucono się do „zaklepywania” dla Rzeszy miejsc, gdzie jeszcze nie powiewały flagi europejskich konkurentów.

Jedynym epizodem kolonialnym we wcześniejszej historii Prus była nieco dziwaczna eskapada elektora Fryderyka Wilhelma. W 1683 r. z polecenia tego władcy żołnierz, awanturnik i podróżnik Otto Friedrich von der Gröben założył na zachodnim brzegu Afryki fort Groß Frie-



w Rzeszy

drichsburg do handlu niewolnikami i koreniami. Po paru latach elektor pruski rozczarował się zyskami, które przynosiła ta kosztowna inwestycja, i sprzedał fort Holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej. Jedyną pamiątką z tej dziwacznej kolonii na wystawie jest kula armatnia wydłubana z muru twierdzy. Po tym incydencie kolejni władcy Prus koloniami zbytnio się nie interesowali. Dopiero w epoce Ottona von Bismarcka Niemcy dostali na punkcie kolonii prawdziwego ambicjonalnego kręćka.

W 1879 r. wzięty publicysta Friedrich Fabri napisał bestseller pt. „Czy Niemcy potrzebują kolonii?”. Trwał akurat kryzys gospodarczy i pisarz wskazywał, że bez kolonii jako źródła surowców oraz rynków zbytu Niemcy muszą przegrać gospodarczy wyścig z innymi potęgami Europy. Wszyscy – dwór cesarski, kanclerz Bismarck, wojsko, marynarka, sfery biznesowe, a nawet kościoły mające nadzieje na wielkie dzieła misyjne – byli zgodni, że trzeba na wyścigi zajmować to, co jeszcze zostało z kolonialnego tortu.

Oto zdjęcie wykonane w mesie niemieckiego krążownika SMS „Hertha”. Jest 1 listopada 1876 r. Przy stole grupa niemieckich oficerów marynarki i cywilni urzędnicy Rzeszy. Po drugiej stronie stołu czarnoskóry władca wysp archipelagu Tonga na Pacyfiku – Nuku’alofa Tongatapu. Właśnie podpisano traktat o wieczystej przyjaźni. Czy tongijski władca zdaje sobie sprawę, że właśnie podpisał akt aneksji swych ziem do Rzeszy? Niemcy Tongi w końcu nie zdobyli, po rozmaitych perypetiach wyspy świsnęli Prusakom sprzed nosa Brytyjczycy. Jednak podobne traktaty o protektoratach prowadziły do tworzenia kolonii w Togo, na terenie Kamerunu, Namibii, Tanzanii, na wyspach Samoa i w Papui-Nowej Gwinei.

Niemiecka marynarka miała globalne ambicje, więc domagała się od polityków zajmowania siłą lub negocjowania baz na całym świecie. Indywidualne inicjatywy podróżników, awanturników i kupców sprzęgały się z polityką cesarstwa. Wykorzystywano też osłabienie dotychczasowych potęg Azji – np. Chin. W 1898 r.

chiński cesarz Guangxu wydzierżawił pod naciskiem Niemców port Tsingtao na 99 lat. Niemcy przestali wreszcie zazdrościć Brytyjczykom portu w Hongkongu.

PROŚBĄ I GROŹBĄ

Formy dominacji i aneksji bywały zróżnicowane. Początkowo wymagały kooperacji i przekupywania lokalnych władców, którzy naiwnie myśleli, że użyją pomocy kolonizatorów do własnych wojenek i gier interesów. Gdy przybysze z Europy usadawiali się w bazach na wybrzeżu, lokalni władcy otrzymywali propozycje nie do odrzucenia – wejścia do lokalnej administracji – a w razie oporu byli brutalnie eliminowani.

Z czasem zaczęto doskonalić system kontroli nad ludnością tubylczą. U polskiego widza takie eksponaty wystawy jak pejcz z hipopotamiej skóry czy medaliony z numerami, które tubylcy musieli nosić w celu identyfikacji, muszą budzić skojarzenia z III Rzeszą. Tubylec był zobowiązany do stałego noszenia numeru na szyi i nieprzekraczania wyznaczonego mu dystryktu. Każdy biały mógł skontrolować go, sprawdzając jego numer. Najgorsze skojarzenia budzą też zdjęcia z brutalnej pacyfikacji przez Niemców powstań plemion Herero i Nama w 1904 r. na terenie dzisiejszej

Namibii. Operacja karna pod wodzą gen. Lothara von Trothy polegała na wygnaniu zbuntowanych plemion na pustynię, gdzie dziesiątkowały je głód i choroby.

Obok nadzorców kolonialnych działali także odkrywcy i ludzie nauki. Jednym z nich był lipski geograf Hans Meyer, który

jako pierwszy Europejczyk wspiął się na szczyt Kilimandżaro (w 1902 r. otrzymał nazwę Kaiser-Wilhelm-Spitze). Ten monumentalny szczyt liczący sobie 5895 m n.p.m. uznano za najwyższe wzniesienie Rzeszy, detronizując alpejski szczyt Zugspitze o wysokości „tylko” 2962 m n.p.m.

Ważną rolę w poznawaniu lokalnych języków i zwyczajów odgrywali misjonarze – w przypadku kolonii niemieckich zarówno protestanci, jak i katolicy. W tropikach pojawiali się wreszcie lekarze, biolodzy i badacze chorób tropikalnych, tacy jak naukowcy z Instytutu im. R. Kocha w Berlinie, którzy przed I wojną światową badali, w jaki sposób muchy tse-tse roznoszą choroby zakaźne. To z niemieckiej wówczas Alzacji przybył do Gabonu pastor Albert Schweitzer, który był przykładem lekarza całkowicie oddanego aż do śmierci leczeniu ludności afrykańskiej.

Przygoda kolonialna była też wielkim snem o mocarstwowej dumie w samej Rzeszy. Kolonialne epizody wojenne drukowano na opakowaniach czekolad



Murzyńska figurka niemieckiego oficera wojsk kolonialnych, Kamerun, ok. 1900 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ czy kakao. W ogrodach zoologicznych pokazywano przywiezione zza morza grupy wybranych tubylców z Samoa czy Nowej Gwinei. „Poznaj naszych nowych rodaków” – głosi w nieco surrealistycznym stylu plakat z tamtej epoki. Jak to lubiono wtedy mawiać w Rzeszy – „nad koloniami kajzera nigdy nie zachodziło słońce”.

ZIMNY PRYSZNIC

Pierwsza wojna światowa była dla niemieckich kolonii katastrofą. Oddalone o tysiące kilometrów posiadłości nie miały większych szans na dłuższy opór, choć były wyjątki. Najszybciej skapitulowały kolonie na Pacyfiku – Samoa i Nowa Gwinea, ale już w chińskim Tsingtao Niemcy nie poddawali się bez walki. Port zaczął być oblegany przez Japończyków

oficerów, na czele armii złożonej z 2,5 tys. askarysów i 2 tys. czarnych policjantów, nie dawał się pobić Francuzom z ich stu-tysięczną armią kolonialną przez cztery długie wojenne lata, urządzając nawet wypadki na tereny brytyjskiej Rodezji. Skapitulował dopiero 13 listopada 1918 r., gdy wreszcie dotarła do niego wieść o klęsce cesarstwa. Mianowanie von Lettowa generałem było ostatnim aktem podpisanym przez Wilhelma II przed kapitulacją.

W okresie międzywojennym legenda kolonialna była niezwykle popularna. Zbudowano liczne pomniki ku czci bohaterów wojny w Afryce i nadawano na ich cześć nazwy ulicom. Utracone kolonie wspominano z takim samym żalem jak „ukradzione” Pomorze czy Górny Śląsk.

Wspomnienia von Lettow-Vorbecka pod nazwą „Heia-Safari!” (tak brzmiał

Dopiero kolejne klęski skłoniły NSDAP, by w 1943 r. z żalem zawiesić kolonialne szkółki.

Po wojnie zachodni Niemcy, obserwując kłopoty sąsiadów z dekolonizacją, dziękowali Bogu, że akurat ten problem alianci im rozwiązali już w 1918 r. Nowe niepodległe państwa w Afryce stały się dla odmiany przedmiotem rywalizacji RFN i NRD. Zarówno władze w Bonn, jak i w Berlinie Wschodnim chciały uznania ich w afrykańskich stolicach za jedyne państwo niemieckie w zamian za atrakcyjne programy pomocy. Oczywiście dla czarnych postępowców bardziej wiarygodni byli NRD-owcy, którzy zaludnili swe uczelnie studentami z krajów Trzeciego Świata. A NRD-owscy doradcy pojawili się w Ugandzie, Angoli i Mozambiku w czasie wojen, co RFN-owski „Spiegel” złośliwie nazwał wskrzeszeniem Afrika Korps, tyle że pod hasłami socjalizmu.

Rewolta 1968 r. na zachodzie zaowocowała akcjami studentów na rzecz usuwania pomników i nazw ulic ku czci herosów kolonialnego podboju. Co więcej, polityczna poprawność zaczęła walczyć z wszelkimi rozrywkowymi wyobrażeniami ludzi z Trzeciego Świata. Autorzy wystawy w Berlinie doszukali się rasizmu w reklamach nie tylko czekolady Sarotti z czarnoskórym Maurem, lecz także mydła Sunlicht sławiących biel jako ideał piękna. Czy jednak czekoladki z czarnym chłopczykiem w turbanie były formą rasizmu? Raczej naiwnej fascynacji egzotyką.

Berlin z opóźnieniem doczekał się wreszcie w latach 90. roszczeń Namibii i Tanzanii o odszkodowania za stłumione rebelie plemienne z początku wieku. Krwawa historia kolejny raz odbiła się naszym sąsiadom czkawką.

Jak podsumować kolonialny epizod Niemców? Najlepiej zrobił to chyba dziennikarz „Süddeutsche Zeitung”, pisząc o kolonialnej epopei: „Okrutnie, bez sensownego planu i bez ekonomicznego sukcesu”.

Dzisiejsza RFN, zmagając się z ogromną rzeszą imigrantów, może tylko z rozrzewnieniem wspominać czasy, gdy tubylców z Togo, Samoa czy Kamerunu pokazywano w ogrodach zoologicznych jako wielkie dziwo. Kolonialna fala wróciła nad Ren jak niespłacony dług z przeszłości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Niemiecki kolonializm – fragmenty historii i teraźniejszości” czynna jest w Niemieckim Muzeum Historycznym w Berlinie do 14 maja 2017 r. Szczegóły na: www.dhm.de.



Identyfikator dla ludności murzyńskiej w Namibii. To tam ludzie po raz pierwszy stali się numerami. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Grupa wziętych do niewoli uczestników powstania plemienia Herero, 1907 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

2 września 1914 r. i poddał się dopiero po dwóch miesiącach. W walkach poległo 187 Niemców. Japończycy zapłacili za zdobycie kolonii znacznie większą cenę – 556 zabitych i 1247 rannych.

W Afryce opór był silniejszy, bo oparty na całkiem sporych wojskach złożonych z tubylców. Oddziały askarysów przypominające brytyjskich Gurkhów były dobrze wyszkolone, bitne i wytrzymałe na niewygody. Najszybciej skapitulowała kolonia Togo – już w sierpniu 1914 r. W Namibii aż do 1915 r. wojska Rzeszy walczyły wsparte przez część Burów z ich legendarnym dowódcą partyzant-kim Christiaanem de Wetem. Walki w Kamerunie trwały rok dłużej, do 1916 r.

Najwięcej jednak dumy przyniosła Niemcom obrona Afryki Wschodniej, czyli obecnej Tanzanii. Tutaj błysnął talentem geniusz wojny manewrowej – płk Paul von Lettow-Vorbeck. Z garstką białych

okrzyk wojenny jego wojsk) stały się bestsellerem, a sam dowódca stał się liderem Kolonial-Kruger-Bundu. Askarysi stali się synonimem wiernych tubylców i część z nich wyjechała po 1919 r. do Niemiec. W 1933 r. brali nawet udział w pochodzie NSDAP w Lipsku. Oprócz jednak takich chwil chwały Murzyni, uciekinierzy z kolonii w III Rzeszy, podlegali ścisłym ograniczeniom. Chociaż nie obowiązywało ich formalnie hitlerowskie ustawodawstwo norymberskie, gestapo pilnowało, by nie „hańbili aryjskiej krwi i nie wiązali się z Niemkami”. Część z nich za złamanie zakazów trafiła do obozów koncentracyjnych, inni żyli z występów w egzotycznych spektaklach i filmach.

Za to naziści serio planowali odbicie „zrabowanych” posiadłości. Zorganizowano nawet kursy dla niemieckich dziewcząt szykujące je do objęcia plantacji w byłych koloniach.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Oleg Zakirow (1952–2017)

Dzisiaj zamiast recenzji smutna informacja. Dotarła do mnie wiadomość, że w swoim mieszkaniu w Łodzi – po długiej, ciężkiej chorobie – zmarł Oleg Zakirow. Były funkcjonariusz smoleńskiego KGB, który w latach 80. podjął prywatne śledztwo w sprawie zbrodni katyńskiej. Dokonał wizji lokalnej w miejscu straceń, dotarł do żyjących świadków i sprawców. Zebrał tajne dokumenty.

Spotkały go ostre szykany. To, co robił, potraktowano jako zdradę. A KGB zdrady nie wybacza. Zakirow został wyrzucony z pracy, był zastraszany, grożono mu śmiercią. Musiał uciekać do Polski... I przeżył tu wielkie rozczarowanie.

Miałem zaszczyt go poznać. Przeprowadziłem z nim wywiad, który znalazł się później w mojej książce „Sowietci”. Była to niezwykle gorzka, bolesna rozmowa dla Zakirowa, ale również dla mnie. Słuchając go, wstydyłem się za państwo polskie. Niech posłuchają zresztą państwo sami:

Nie uzyskał pan żadnej pomocy od polskich władz?

Żadnej. A wcześniej wiele mi obiecywano. I to obiecywał nie byle kto. Czołowy polski dyplomata w Rosji, który później zrobił w Polsce zawrotną karierę, był ministrem. Osobiście zapewniał mnie, że Polska zatroszczy się o człowieka, który badał Katyń. Że dostanę mieszkanie, stopień wojskowy, przyzwoitą pracę. Ale gdy

przyjechałem, nikt nie chciał ze mną gadać. Przykro to mówić, ale zostałem oszukany.

Przykro też słuchać.

Ja potem próbowałem się spotkać z tym człowiekiem. Nie chciał mnie jednak przyjąć. Nie odpowiadał na telefony. Jego sekretarka mówiła, że jest zajęty. Wreszcie udało mi się z nim skontaktować i skłonić go do spotkania. Zgodził się. Wziąłem ostatnie pieniądze i pojechałem z Łodzi do Warszawy. Niestety, pocałowałem kłamkę. Pomimo obietnicy pan minister nie wpuścił mnie do gabinetu.

Jak pan się urządził w Łodzi?



FOT. ARCHIWUM

Na początku pracowałem na czarno na budowie, ale ta praca szybko się skończyła. Moja sytuacja była dramatyczna, nie miałem środków do życia. Trudno o tym mówić, ale będę szczerzy: zebrałem

na Piotrkowskiej. Chodziłem wieczorami na bazy i zbierałem zepsute warzywa i owoce, które wyrzucali handlarze. Znosiłem je do domu. Moja rodzina to jadła. Prezydent Kwaśniewski pod presją dziennikarzy dał mi order. Na początku odmawiałem jego przyjęcia, ale w końcu dałem się namówić. No cóż, powiedziałem, przypnę go sobie do ubrania i jak będę zebrał, może dostanę więcej pieniędzy.

A jak dziś wygląda pańska sytuacja, ma pan pracę?

Nic, proszę pana, nie mam. Odszedł wielki Rosjanin i dobry człowiek. Cześć jego pamięci. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pani Eliza

Wybitne nasze pisarki XIX i XX w. miały z reguły skomplikowane życie osobiste, czego dobrym przykładem jest Eliza Orzeszkowa. Pochodziła z ziemiańskiej rodziny osiadłej w Milkowszczyźnie w pobliżu Grodna. Gdy miała 17 lat, wydano ją za mąż za dwukrotnie starszego właściciela majątku w Ludwinowie

W tej sytuacji pisarka związała się z adwokatem, Stanisławem Nahorskim.

Kolejny mariaż wywołał jeszcze większy skandal, gdyż jej wybraniec był żonaty. Nie myślał przy tym o rozwiązaniu swojego małżeństwa, albowiem jego żona była osobą chorą psychicznie i z tego powodu zapowiedział, że nigdy jej nie opuści.

Związki ze Święcickim i Nahorskim nie mieściły się w ówczesnych normach obyczajowych. Na łamach czasopisma „Bluszcz” pojawiła się nawet opinia, że „kobieta, która rozwodzi się, ani szlachetną, ani utalentowaną być nie może”, i wrócono pisarce „najhłaniebniejszą przyszłość”.

Pan mecenas zapewnił Elizę stabilizację, chociaż nie był typem wiernego partnera. Wprawdzie wysoko cenił jej talent, ale nie przepadał za literaturą. Nie lubił także otoczenia partnerki, a szczególnie emancypantek i sawantek, które uważał za „skończone wariatki”.

Przez wiele lat razem mieszkali, ale konkubinat zalegalizowali dopiero ćwierć wieku później, gdy zmarła Leokadia Nahorska. Małżeństwo nie trwało jednak długo, dwa lata później 70-letni adwokat doznał śmiertelnego ataku serca podczas imprezy imieninowej pisarki, a Orzeszkowa już nigdy więcej nie związała się z żadnym mężczyzną.

Do końca życia mieszkała w domu Nahorskiego, zmarła 18 maja 1910 r. Spoczęła u boku męża na cmentarzu farnym w Grodnie, a ich grób zachował się do dziś. ©©

Kobieta, która się rozwodzi, utalentowaną być nie może

na Wołyniu, Piotra Orzeszkę. Małżeństwo układało się fatalnie i kiedy po powstaniu styczniowym mąż trafił na Syberię, pani Eliza powróciła do rodzinnej Milkowszczyzny. Rozpoczęła starania o unieważnienie małżeństwa, a jednocześnie nawiązała burzliwy romans z lekarzem, Zygmuntem Święcickim, co wywołało oburzenie w kręgach ziemiańskich.

Orzeszkowa próbowała samodzielnie prowadzić rodzinny majątek, nie były to jednak łatwe lata dla polskich ziemian. W efekcie Eliza sprzedała Milkowszczyznę i przeniosła się do Grodna, gdzie niebawem uznano jej małżeństwo za nieważne.

Związek ze Święcickim nie miał przed sobą przyszłości. Lekarz był wprawdzie kawalerem, ale nie zdecydował się na porzucenie intratnej posady w Mińsku, a potem przeniósł się do Petersburga.

W łóżku z wrogiem



Jacek Przybylski

Historia tłumaczki FBI, która zamiast inwigilować dżihadystę z Syrii, wzięła z nim ślub, przypomina scenariusz amerykańskiego serialu. W prawdziwym świecie służby specjalne od dawna używają seksu jako broni

Zabójcze techniki uwodzenia. Szybkie samochody. Luksusowe hotele. Między innymi tak wygląda świat agentek służb specjalnych, które wyciągają z wrogów tajemnice lub wystawiają ich prosto pod lufy zawodowych morderców. Czasem jednak o tym, że serce to nie sługa, przekonują się nawet pracownice najlepszych służb świata i nagle giną od własnej broni.

Wiele wskazuje na to, że tak właśnie było w przypadku 38-letniej Danieli Greene, zatrudnionej w FBI tłumaczki, która w styczniu 2014 r. została przydzielona do zespołu inwigilującego dżihadystę Abu Talha al-Almaniego. Terrorysta – zwany „gwiazdą ISIS” – z nim trafił na Bliski Wschód, występował w Niemczech jako raper Deso Dogg. Karriery co prawda nie zrobił, ale umiejętnie czarnoskóry ekstremista – uchodzący za jednego z najbardziej brutalnych zagranicznych bojowników w szeregach Państwa Islamskiego, który występował na filmach, trzymając w rękę świeżo ścięte głowy – zrobił na pani Greene takie wrażenie, że agentka posiadająca dostęp do zastrzeżonych dokumentów skontaktowała się z nim za pośrednictwem Skype’a, po czym w tajemnicy przed szefami wyleciała do Stambułu. W czerwcu 2014 r. miała tam ostrzec dżihadystę przed zagrożeniem ze strony Federalnego Biura Śledczego i – chociaż formalnie wciąż była żoną amerykańskiego żołnierza – poślubić islamskiego kochanka. Następnie, jak poinformowała telewizja CNN, wspólnie z nim przedostała się na terytoria kontrolowane przez terrorystów. Już dwa tygodnie później tłumaczka FBI wysłała e-mail, z którego wynikało, że doszła do wniosku, iż popełniła błąd. Greene uciekła więc z Syrii do Stanów Zjednoczonych, gdzie błyskawicznie trafiła za kratki. Agentka,



FOT. FOTOLIA

która do tego czasu najwyraźniej zdążyła już wyleczyć się z naiwności, zgodziła się współpracować z amerykańskimi śledczymi. Zapewne to dzięki temu skazano ją zaledwie na dwa lata więzienia. Latem zeszłego roku z powrotem cieszyła się więc już życiem na wolności. Jak podała CNN, obecnie pracuje jako hostessa w jednym z amerykańskich hoteli i z obawy o bezpieczeństwo swoich bliskich odmówiła komentarza do swej nieudanej bliskowschodniej misji.

SŁODKIE PUŁAPKI

Sama sprawa nie świadczy najlepiej o FBI i może odbić się na reputacji całego środowiska. Już po serialu „Homeland” – w którym rozwiązała, zaburzona emocjonalnie agentka CIA zakochuje się w amerykańskim żołnierzu będącym w rzeczywistości agentem islamistów – prawdziwe funkcjonariuszki Centralnej Agencji Wywiadowczej wyraziły w mediach oburzenie tym, że w popularnym serialu przedstawia się je jako alkoholiczki, które nieustannie wykorzystują seks jako tajną broń.

Z medialnych opowieści wynika jednak, że piękne agentki od wieków skutecznie zastawiają sidła na mężczyzn, którzy są zbyt próżni lub zbyt naiwni, aby w porę rozpoznać w namiętnej kochance śmiertelnie groźną przeciwniczkę. Przekonał się o tym już biblijny Samson uwiedziony i zdradzony przez Dalilę, a także wielu współczesnych przywódców.

Nie bez powodu przed ryzykiem związanym z takim romansem wiele państw ostrzega dyplomatów, zanim ci udadzą się na dyplomatyczną placówkę. „Honey trap”, czyli słodkie pułapki, w celu zbierania argumentów na skompromitowanie przeciwników, stosują służby najróżniejszych krajów: od KGB do Mossadu. Nowoczesne technologie ułatwiają agentom dokumentowanie mocno nieobyczajnych zachowań prezydentów, premierów, ambasadorów czy pierwszych sekretarzy. I to nawet wtedy, gdy sami bohaterowie nie wiedzą jeszcze, że za kilka-kilkanaście lat zajmą tak istotne stanowiska.

W 2009 r. boleśnie przekonał się o tym Kyle Hatcher, drugi sekretarz ambasady USA. Rosyjskie służby chcąc nakłonić zaledwie 34-letniego dyplomata do odegrania roli podwójnego agenta, pokazały mu film, który z pewnością nie spodobałby się jego młodej małżonce. A gdy główny bohater odmówił, opubli-

kowały go w Internecie. Na jednym ze słynniejszych filmów ostatnich lat kompromitujących pracownika amerykańskiego Departamentu Stanu można było zobaczyć oficjalne zdjęcie pana Hatchera, a następnie nagrania pokazujące tegoż samego mężczyznę obdzwanianego rosyjskie prostytutki i próbującego umówić się z nimi na spotkanie. Następne kadry pokazywały już mroczny hotelowy pokój i trudną do rozpoznania parę uprawiającą seks. Hatcher przyznał, że pierwsza część filmu była prawdziwa – przyszły dyplomata przybył jednak wówczas do Moskwy jako osoba prywatna, gdy nie pracował jeszcze dla amerykańskich władz. Według ekspertów prawdopodobnie wpadł w sidła rosyjskich służb, które na wszelki wypadek obserwują i na wszelki wypadek nagrywają bardzo wielu zagranicznych turystów, którzy – zdaniem agentów KGB – mają potencjał, by w przyszłości zostać ważnymi osobistościami. Zebrane w ten sposób materiały wykorzystują do szantażu dopiero, gdy ich ofiara rzeczywiście zajmie stanowisko istotne z punktu widzenia Kremla.

W sidła rosyjskich służb wpadł też 37-letni dyplomata z Wielkiej Brytanii. Nagranie ukazujące Jamesa Hudsona w towarzystwie dwóch rosyjskich prostitutek również w 2009 r. trafiło do Internetu. W tym przypadku nie było jednak mowy o montażu, więc choć dyplomata nie był żonaty, to i tak musiał zrezygnować z piastowanego stanowiska.

Piękna „Cindy” przekonała poszukiwanego przez wywiad inżyniera do wyjazdu do Rzymu. Tam czekali już na niego agenci Mossadu

Rok wcześniej, podczas wizyty Gordona Browna w Chinach, jeden z doradców premiera uwierzył, że jest tak seksowny, iż błyskawicznie podczas wizyty w Szanghaju poderwał azjatycką piękność i namówił ją na namiętą noc w hotelowym pokoju. Gorzka prawda dotarła do niego dopiero nad ranem, gdy okazało się, że wszelki ślad zaginął zarówno po przepięknej Chince, jak i po tajnych dokumentach z jego teczek oraz po szyfrowanym telefonie BlackBerry,

służącym do odbierania wiadomości z Downing Street.

Na pocieszenie brytyjski dyplomata mógł tylko przypomnieć sobie historię z 2005 r. – jeden z pracowników japońskiego konsulatu w Szanghaju popełnił wówczas samobójstwo, gdy zorientował się, że jego romans z hostessą w barze karaoke był tak naprawdę efektem zimnego szpiegowskiego wyrachowania, a nie pięknego romantycznego uniesienia.

Rząd w Londynie wyciągnął wnioski z głośnych wpadek. We wrześniu 2016 r. dziennik „The Daily Telegraph” donosił więc, że przed wyjazdem brytyjskich dyplomatów na szczyt G20 w Chinach pracownicy resortu spraw zagranicznych zostali wprost ostrzeżeni, że będą na nich czekać piękne agentki chętne na erotyczne przygody z naiwniakami. Dyplomatów ostrzegano wówczas nie tylko przed niebezpiecznym seksem, lecz także przed akceptowaniem wręczanych przez chińskich gospodarzy darmowych pendrive’ów, kart SIM czy ładowarek.

A CO TO JEST MOSSAD?

Niektórzy mogą się dziwić, że takie ostrzeżenia wciąż są potrzebne, skoro już trzy dekady wcześniej, w 1986 r., w „słodką pułapkę” zastawioną przez Mossad wpadł jeden z najsłynniejszych izraelskich inżynierów Mordechaj Vanunu. Został on śmiertelnym wrogiem swego kraju, gdy ujawnił mediom, że Izrael posiada bombę atomową. Vanunu żył w Londynie, gdzie izraelscy szpiegowie nie mogli zrobić mu większej krzywdy bez wywoływania skandalu dyplomatycznego. Mossad wysłał więc po niego seksowną blondynkę, udającą słodką i naiwną 26-letnią studentkę z USA. Vanunu podejrzewał, że może to być pułapka. Wprost zapytał więc swą piękną przyjaciółkę, czy nie jest przypadkiem agentką Mossadu. – Nie, nie, nie. A co to jest Mossad? – miała wówczas odpowiedzieć słodziutka „Cindy” (tak brzmiał kryptonim, pod którym Cheryl Hanin pracowała dla izraelskiego wywiadu). Kobieta przekonała Vanunu do spędzenia „kilku romantycznych dni w mieście miłości”, a następnie zaprowadziła go do mieszkania, które miało należeć do jej siostry. Tam czekali już na niego nieco mniej słodcy agenci Mossadu, którzy po nafaszerowaniu go narkotykami wywieźli do Izraela, gdzie



W serialu „Homeland” agentka CIA zakochuje się w żołnierzu będącym agentem islamistów. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

po błyskawicznym procesie Vanunu trafił na kratki na 18 lat.

Jak to możliwe, że zdolny inżynier, zdający sobie sprawę z ewentualnego ryzyka, dał sobie tak bardzo zawrócić w głowie? Otóż izraelskie tajne służby dokładnie opracowały jego portret psychologiczny i podstawily mu pod nos dokładnie taką kobietę, jaką sobie wymarzył. „Cindy” była niezwykle mądra (jej iloraz inteligencji wynosił 140) i dobrze wytrenowana w uwodzeniu mężczyzn. – Dopiero gdy ludzie z Mossadu rzucili się na mnie w mieszkaniu w Rzymie, zrozumiałem, chociaż przez moment ciągle myślałem, że ona też jest ich ofiarą. Po trzech dniach na statku, którym płynąłem do Izraela, doszedłem do wniosku, że ona była częścią planu – wspominał w 2015 r. Vanunu w wywiadzie dla izraelskiej telewizji.

– Jej zadanie było proste: zabrać mnie w miejsce, gdzie mogę zostać porwany. Nie interesowała się więc, co mówiłem lub robiłem – wspominał po latach izraelski inżynier w rozmowie z brytyjskimi mediami. Słynna „Cindy”, wraz z mężem – byłem majorem wywiadu – prowadził już w tym czasie spokojne życie w Orlando na Florydzie.

Wiadomo, że oddane Izraelowi niebezpieczne agentki działają nadal. Erotyczne sidła na izraelskich żołnierzach stawiają z kolei bojownicy palestyńscy. I to czasem nawet bez narażania

własnych agentek. Członkowie Hamasu zakładają na portalach społecznościowych fałszywe profile z użyciem zdjęć pięknych dziewcząt, a następnie uwodzą wojskowych, zachęcając ich do wielogodzinnych pogaduszek i zwierzeń. Palestyńscy bojownicy okazują się na tyle skuteczni w kuszeniu izraelskich wojskowych, że wielu żołnierzów niższych rangą dało się namówić do ściągnięcia na swoje prywatne smartfony specjalnych aplikacji, dzięki którym Hamas przejmował kontrolę nad ich telefonami.

W krajach totalitarnych czy w reżimach autokratycznych agentki mogą czasem dostać rozkaz, aby pójść do łóżka z wrogiem. Nie oznacza to jednak, że służby państw demokratycznych nie stosują „słodkich pułapek” – po prostu do ich zastawienia zamiast profesjonalnych funkcjonariuszek wykorzystują przedstawicielki najstarszego zawodu świata. Kompromitujące romanse wykorzystują też polskie służby. Jednym z najsłynniejszych przypadków „romantycznej wpadki” zagranicznego dyplomaty w Polsce jest historia Irvina Scarbecka, 39-letniego pracownika amerykańskiej ambasady w Warszawie, który w 1959 r. nawiązał romans z 22-letnią Urszulą Discher.

UWAGA NA POLKI!

Piękna Polka często spotykała się ze starszym Amerykaninem, a agencji UB

wykorzystali te schadzki do zrobienia parze kompromitujących zdjęć, służących potem do szantażu żonatego dyplomaty. Amerykanin uwierzył, że jeśli nie zgodzi się na współpracę, to ogromne niebezpieczeństwo grozi nie tylko jemu, ale również jego młodej kochance. Posłusznie wykradał więc, kserował i przekazywał komunistycznym służbom tajne informacje dotyczące NATO.

Agencji FBI aresztowali go dopiero w 1961 r. – Fizycznie jest mężczyzną ze stali. Wewnątrz to jednak dziecko – tak w 1961 r. bronił Scarbecka jego adwokat. Członków ławy przysięgłych jego historia jednak zbyt nie wzruszyła. Były dyplomata usłyszał wówczas maksymalny wyrok: 10 lat więzienia.

Od tego czasu amerykańskim dyplomatom jeszcze przed wyjazdem na placówkę oficerowie specjalizujący się w kwestiach bezpieczeństwa wyświetlali na projektorze zdjęcia pięknych Polek i wielokrotnie ostrzegali przed wielkim niebezpieczeństwem związanym z polskimi kochankami. „Przekaz był jasny: unikajcie polskich blondynek za wszelką cenę” – wspominał w jednym z wywiadów David M. Evans, dyplomata, który w latach 60. XX w. przyjechał do Warszawy na miejsce Scarbecka. Evans w wywiadzie przeprowadzonym przez Charlesa Kennedy’ego opowiedział również historię amerykańskiego dyplomaty, który w Warszawie miał – nie podejrzewając żadnego ryzyka – po prostu wejść do windy. Na kolejnym piętrze weszła do niej ubrana w płaszcz piękna Polka. Winda ruszyła do góry i nagle stanęła. Para zaczęła wzywać pomocy. Gdy niedaleko zablokowanej windy dyplomata usłyszał męskie głosy, miał pomyśleć: „Oho, pomoc już jest. Wszystko w porządku”. Tymczasem kiedy zatrzasknięte drzwi nagle się otworzyły, piękna Polka zrzuciła ponoc płaszcz i w stroju Ewy zaczęła przytulać się do dyplomaty, a „technicy od windy” zrobili „parze” zdjęcia.

Oczywiście czasem zamiast pięknych kobiet służby specjalne na całym świecie wykorzystują również do zdobywania informacji przystojnych mężczyzn, którzy biorą np. na cel kobiety w średnim wieku, marzące o tym, aby znów mogły poczuć się niezwykle seksowne i atrakcyjne. Słynny swego czasu „agent Tomek” to tylko jeden z wielu przykładów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



TYLKO U NAS!

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ O ZGUBNYM KULCIE MARSZAŁKA

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Jan Pisuliński – Zbrodnia „Wiśła” / Jakub Ostromecki – Zagadka śmierci Świerczewskiego / David M. Crowe – Prawdziwe oblicze Schindlera / Piotr Semka – Afera pułkownika Redla / Aleksander Podrabinek – Koszmar sowieckich psychuszek / Arkadiusz Karbowski – Łotysze w Waffen-SS / Łukasz Czarnecki – Historia harakiri

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl d16181790b

Chrześcijanie w Syrii wielokrotnie mi mówili, że muszą być spełnione trzy warunki, by mogli zostać na tamtej ziemi: dach nad głową, dostęp do szkoły i kościół – mówi Darek Malejonek, znany muzyk reggae, a jednocześnie wolontariusz Salezjańskiego Wolontariatu Misyjnego „Młodzi Światu”, który w ostatnich miesiącach dwukrotnie odwiedził chrześcijan w Aleppo. Nie jechał tam z pustymi rękami, lecz z pomocą dla tych, którzy mimo wojny i nasilającego się terroryzmu postanowili zostać w Syrii. Na ratunek coraz mniejszej społeczności chrześcijańskiej w Syrii i sąsiednim Iraku pospieszyły też inne polskie organizacje, takie jak fundacja Pomoc Kościołowi w Potrzebie (PKwP), Caritas oraz Fundacja Anny Walczyk. – Nie odmawiamy pomocy również muzułmanom. Przed wojną oni żyli tam wszyscy w zgodzie i nie chcemy, by oskarżenia, że Zachód wspiera tylko chrześcijan, jeszcze bardziej pogorszyły te relacje – podkreśla ks. prof. Waldemar Cisko, dyrektor PKwP.

Wyznawcy Chrystusa byli w Iraku i Syrii od zarania chrześcijaństwa. W Iraku jeszcze 80 lat temu według oficjalnego spisu z 1935 r. stanowili oni 12 proc. mieszkańców tego kraju. W 2014 r., gdy Państwo Islamskie zajęło w dużej mierze chrześcijańskie tereny Równiny Niniwy, w 38-milionowym Iraku było już tylko 600 tys. chrześcijan. Połowa z nich opuściła Irak, reszta mieszka w obozach dla uchodźców w irackim Kurdystanie oraz w okolicach Bagdadu. W Syrii chrześcijanie stanowili do 2011 r. ok. 5 proc. mieszkańców. Po 2004 r. niektórzy chrześcijanie iraccy emigrowali też do bezpieczniejszej wówczas Syrii. Ksiądz Cisko ocenia jednak, że i tu mogła wyjechać nawet połowa z nich.

NIE TYLKO PIENIĄDZE

– Chcemy pomóc im wrócić i dlatego przygotowujemy projekt odbudowy mieszkań 700 rodzin w Aleppo. Na jedną rodzinę potrzebujemy ok. 1–2 tys. euro, w zależności od stopnia zniszczeń wojennych – opowiada ks. Cisko o jednym z licznych projektów jego fundacji. Wśród innych projektów aktualnie realizowanych jest m.in. akcja „Dar dla Aleppo”, czyli odbudowa Szpitala św. Ludwika w Aleppo, prowadzonego od 1905 r. przez siostry józefitki, na co trzeba zebrać 318 tys. euro. W akcję tę zaangażowali się dolnośląscy hierarchowie Kościołów katolickiego, ewangelicko-augsburskiego, greckokatolickiego oraz

Ratunek dla ziemi ochrzczonej krwią



Witold Repetowicz

Polską pomoc widać w Syrii znacznie wyraźniej niż tę płynącą z innych krajów



FOT. PRACISZKIE STOWARZYSZENIE POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE

prawosławnego, a także lokalne władze. Odrębnie fundacja kierowana przez ks. Ciskę od dawna wspiera leczenie dzieci z Aleppo w placówkach prowadzonych przez tamtejsze siostry zakonne. W marcu ten projekt postanowiła

wesprzeć również premier Beata Szydło, przeznaczając na ten cel 1,5 mln zł. – Za te pieniądze prowadzimy najbardziej potrzebne badania dla tamtejszych dzieci, a także kupujemy protezy i finansujemy operacje, np. niedawno przeznaczyliśmy

2 tys. dol. na operację serca małej dziewczynki, która inaczej by umarła – mówi ks. Cisko. I podkreśla, że zbierane środki nie trafiają w ręce syryjskich instytucji rządowych, lecz bezpośrednio do potrzebujących.

PKwP prowadzi też akcję „Mleko dla Aleppo”. Mimo że po wyparciu z miasta dżihadystów na to największe do niedawna miasto w Syrii przestały wreszcie spadać bomby i zapanował względny spokój, to i tak panuje tam bieda, a warunki życia są straszne. Brakuje i prądu, i jedzenia, 80 proc. mieszkańców jest wysiedlonych ze swych domów, a 70 proc. z nich żyje poniżej poziomu ubóstwa. Szczególnie cierpią małe dzieci, które są niedożywione. Tymczasem nie trzeba dużych pieniędzy, by to zmienić. PKwP chce dostarczyć mleko ok. 2850 dzieciom w wieku poniżej 10. roku życia. Całoroczny koszt projektu to 811 tys. zł i 40 proc. tej kwoty już jest zebrane. Wydatek na jedno dziecko na miesiąc to raptem 7 dol. – Innym naszym projektem jest „Food Package”, czyli paczki żywnościowe. Dostarczamy je kilku tysiącom rodzin. Jedna kosztuje zaledwie 40 euro i to pozwala takiej wieloosobowej rodzinie przeżyć przez miesiąc – wyjaśnia ks. Cisko.

Niezwykłą ofiarnością wykazuje się w Syrii s. Urszula Brzonkalik, pełniąca od lutego 2015 r. posługę w Konwencie Franciszkanek Misjonarek Maryi w Aleppo. W październiku 2016 r. była pomysłodawczynią projektu polegającego na przekazaniu odzieży 900 rodzinom z tego ogarniętego wojną miasta. Ubrania były szyte na miejscu, a sfinansował je rząd polski z tzw. małego grantu. Siostra Urszula zaangażowana jest też w projekt Caritasu „Rodzina rodzinie”, w ramach którego syryjskim rodzinom, przeważnie chrześcijańskim, przekazano już ok. 20 mln zł. Kwota ta pochodzi z dobrowolnych wpłat polskich rodzin, osób indywidualnych, parafii, organizacji katolickich oraz firm.

Są trzy możliwości włączenia się w akcję – jednorazowy datek w dowolnej wysokości, partycypacja w sponsorowaniu danej rodziny przez okres sześciu miesięcy lub objęcie patronatu nad daną rodziną. To ostatnie rozwiązanie polega na pokryciu kosztów potrzebnych na przeżycie określonej rodziny przez sześć miesięcy. Kwota ta szacowana jest wcześniej przez Caritas i często kształtuje się na poziomie 500 zł miesięcznie, za co kupowane są głównie żywność oraz mazut, wykorzystywany nie tylko do ogrzewania, lecz także do produk-

cji elektryczności w generatorach. Siostra Urszula i inne franciszkanki z Aleppo nie tylko pracują w tym mieście, lecz także docierają do chrześcijan w północnej Syrii. Chrześcijanie bowiem nie mieszkają wyłącznie na terenach kontrolowanych przez rząd, ale również w prowincji Al-Hasaka. Dominujący tam Kurdowie zapewnił tamtejszym chrześcijanom, głównie Asyryjczykom, pełną swobodę wyznania i udział we władzach, a chrześcijańskie oddziały walczą w ramach koalicji Syryjskich Sił Demokratycznych przeciwko Państwu Islamskiemu. Jednak siostry, by docierać w tamte tereny, musiały często przejeżdżać przez opanowane przez rebeliantów tereny, na których, nie bez powodu, chrześcijan nie ma. 8 marca br. s. Urszula została odznaczona polską odznaką honorową „Bene Merito”, przyznaną przez ministra spraw zagranicznych.

MOST WARSZAWA – ALEPPO

Pomoc w Syrii niosą też polscy salezjanie, którzy dostarczają paczki żywnościowe 4 tys. rodzin. – Jednak żywność to nie wszystko. Dzieci muszą się uczyć i trzeba je wydobywać z powojennej traumy – podkreśla Malejonek. Dlatego miejscowi salezjanie prowadzą też szkoły dla dzieci, a ich polscy bracia zbierają na to pieniądze. Ponadto organizują też wyjazdy nad morze dla 300 dzieci. – Mniejszości takie jak chrześcijanie nie przetrwałyby tam bez naszej pomocy – mówi Malejonek. – Organizacje muzułmańskie pomagają tylko muzułmanom, a chrześcijańskie pomagają wszystkim – dodaje. Jednak pomoc chrześcijańskich organizacji dla muzułmanów może mieć skutki też dla miejscowych chrześcijan. Wiele islamskich organizacji pomocowych jest bowiem finansowanych przez Saudów, a ci często warunkują to przyjęciem szerzonej przez nich wahabickiej ideologii. A w świecie wahabitów nie ma miejsca dla chrześcijan.

Malejonek wraz z Salezjańskim Wolontariatem Misyjnym, Narodowym Centrum Kultury oraz Muzeum Powstania Warszawskiego zorganizował 12 kwietnia wielkanocny koncert dla Aleppo. – To taki most Warszawa – Aleppo. Zaraz potem z zebranymi pieniędzmi ruszam do Syrii – podkreśla muzyk. I dodaje, że polską pomoc widać w Syrii znacznie wyraźniej niż tę płynącą z innych krajów, choćby z Niemiec. – Polacy są szczerzy i Syryjczycy są nam za to wdzięczni – dodaje.

Ksiądz Cisko od wielu lat działa też w Iraku. – We wrześniu 2015 r. organi-

zowaliśmy obóz dla chrześcijańskich uchodźców z opanowanej przez Państwo Islamskie Równiny Niniwy. Dostarczyliśmy tam kontenery, które przeznaczono na mieszkania, a później partycypowaliśmy w kosztach utrzymania tego obozu i zaopatrzenia mieszkańców w żywność, a także organizacji sześciu szkół. Dla tych ludzi to, by ich dzieci się uczyły, jest niezwykle ważne – mówi ks. Cisko.

POWSTRZYMAĆ EXODUS

Od 2009 r. na irackiej Równinie Niniwy oraz w Bagdadzie działa też Fundacja Anny Walczyk, która współpracuje m.in. z franciszkankami z klasztoru znajdującego się w parafii św. Józefa w bagdadzkim Mansur. Ktoś, kto nie zna irackiej stolicy, mógłby się bardzo zdziwić, spacerując po jej centrum. Na każdym kroku wyrastają tam kościelne wieże zwieńczone krzyżami. Jednak po upadku Saddama bezpieczeństwo w Bagdadzie, zwłaszcza chrześcijan, znacznie się pogorszyło i dziś wiele kościołów jest opustoszałych. Siostry franciszkanki też opuściły klasztor w Bagdadzie i udały się na północ, do głównego centrum chrześcijaństwa na Równinie Niniwy, tj. miasta Karakosz. Jednak w 2014 r. weszło tam Państwo Islamskie, więc siostry musiały znów uciekać, tym razem z powrotem do Bagdadu. – Siostra Ebtisam bardzo chciała wracać do irackiej stolicy, ale klasztor był już w ruinie – mówi o przełożonej siostrze Anna Walczyk, prezes fundacji, która pomogła w odnowieniu klasztoru. Wcześniej wysyłała również pomoc do Karakosz. – Z zebranych pieniędzy fundujemy paczki, ale wszystko jest kupowane na miejscu, bo tak jest taniej – mówi Walczyk. Ostatnią akcję zorganizowała zimą. – Siostry zorganizowały w klasztorze przedszkole, które chcemy wspomóc, fundując zabawki. Na święta natomiast zebraliśmy 5 tys. euro dla klasztoru i na paczki świąteczne dla 60 tamtejszych rodzin.

Wszyscy pomagający chrześcijanom w Syrii i Iraku wierzą, że można powstrzymać ich exodus, ale pod określonymi warunkami. – Oni potrzebują poczucia bezpieczeństwa i świadomości, że ich współwyznawcy z Europy będą się o nich troszczyć również po zakończeniu wojny, bo bieda tak szybko nie zniknie – mówi ks. Cisko. – Jeden z patriarchów powiedział mi, że Syria to ziemia ochrzczona krwią 20 mln męczenników chrześcijańskich. Tyłu ich bowiem tam podobno zginęło od czasów ukrzyżowania Jezusa Chrystusa – dodaje Malejonek.



„UCHODŹCY” NA JACHTACH

Jak wiadomo, uchodźcy uciekają przed wojną, tragediami i biedą. Do tej pory przyplływali wielkimi statkami, które mafia przemytników po pobraniu słonych opłat porzuciła u wybrzeży Europy. Czasem przesadzano ich na pontony i małe łódki. Rynek się jednak najwidoczniej mocno rozwinął i zainteresowali się nim Rosjanie oraz Ukraińcy. Jak niedawno zeznał przed włoską komisją obrony prok. Francesco Paolo Giordano – na włoskie wybrzeże docierają teraz zupełnie inne

transporty „uchodźców”. Teraz wschodnia mafia zaoferowała wysyłkę do Europy w komfortowych warunkach i dowozi imigrantów luksusowymi jachtami. Według śledczego z Włoch jachtami przyplwają zwykle ok. 50–60 osób. Większość z nich stanowią majątni Syryjczycy i Egipcjanie. Na razie nie wiadomo, jaką odpowiedź na te rewelacje będą mieli unijni politycy sztywno trzymający się „polityki otwartych drzwi”.

FOT. FOTOLIA

MODNY BRUD

Sprzedawanie podartych dżinsów za cenę wyższą niż spodnie bez dziur – to nawet dość mocno już spowszedniało. Chociaż, gdyby głębiej się zastanowić, to wciąż śmiesz. Moda i zespólny z nią system poszukiwania tego, co jeszcze można ludziom sprzedać, zaowocowały właśnie nowym pomysłem. Amerykańska sieć odzieżowa Nordstrom wyszła naprzeciw tym, którzy chcą się wyróżnić noszeniem dżinsów oblepionych błotem (a sami widocznie nie mają dość fantazji i czasu, by wytarzać się w jakiejś kałuży). Uruchomiła linię ubrań dżinsowych z fabrycznie naniesionymi śladami brudu. Para takich spodni kosztuje w przeliczeniu ok. 1,6 tys. zł. Marka Nordstrom twierdzi, że to oferta dla tych, którzy postrzegają dżins jako typowy strój amerykańskiego pracownika, a noszący je będą pokazywać światu, iż nie boją się zająć, w których mogą się pobrudzić. Jeden z prezenterów telewizyjnego show podsumował to najlepiej: „A więc mamy parę dżinsów, które wyglądają, jakby nosił je ktoś do brudnej roboty,

dla tych, którzy tak nie pracują, bo inaczej nie byłoby ich na takie spodnie stać”.

BOYSBAND DZIEWCZĄT

Pewnie państwa ten tytuł zdziwi. Jednak czy w świecie, w którym płęć nie jest tym, co się od lat wydawało, ale chwilowym stanem emocji, naprawdę może dziwić „boysband” złożony z dziewcząt? Taki zespół powstał w Chinach. Marketingowo doskonale wpisał się w oczekiwania tamtejszych nastolatek, które wielbią chłopięce grupy muzyczne określane nawet jako „husbands” – bo dziewczęta zakochują się w muzykach i marzą o ślubie z nimi. Grupa dziewcząt ubranych jak chłopcy i tak wystylizowanych występuje pod nazwą Acrush. Od razu zyskała rzesze wiernych fanek (w mediach społecznościowych ich profile obserwują już miliony). Podobno dlatego, że dziewczęta lepiej wiedzą, czego oczekują nastoletnie fanki. Oficjalnie jednak Acrush nie wypowiadają się na temat orientacji seksualnej – zakazał im tego menedżer.

KOMICY EKSPERTAMI

To historia, która sporo mówi o obecnej modzie na ćwiczenia fizyczne oraz o kondycji dziennikarstwa telewizyjnego, zwłaszcza tego w paśmie śniadaniowym. Właściciel stacji TV Wisconsin pozwał dwóch komików, którzy używając fałszywych dokumentów, przekonali wydawców porannych wiadomości, że są ekspertami fitness. Wystąpili w informacyjnym paśmie amerykańskiej stacji jako „Chop” i „Steele”. Pokazywali tam widzom takie ćwiczenia jak uderzanie o siebie raketami do tenisa czy łamanie patyków znalezionych przed siedzibą stacji. Telewizja złożyła pozew m.in. za wprowadzenie w błąd pracowników i widzów. Komicy się bronią, twierdząc, że chcieli pokazać, jak łatwo dostać się do telewizji i zaprezentować zmanipulowane informacje. Ich prawnicy twierdzą, że część winy za pokazywanie fałszywych ćwiczeń ponosi stacja telewizyjna – bo żart komików można było zdemaskować prostym sprawdzeniem informacji w wyszukiwarce internetowej. ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



Vienna Life LANGTEAM

MARATONY ROWEROWE



22/04 WARSZAWA - WILANÓW

13/05 KRAKÓW

27/05 GDAŃSK

01/07 KROKOWA

16/09 DĄBROWA GÓRNICZA

30/09 KWIDZYN



- FANTASTYCZNA ATMOSFERA
 - NIEZAPOMNIANE WRAŻENIA
 - RYWALIZACJA DLA KAŻDEGO
- RUSZAJ NA ROWER I DOŁĄCZ DO NAS!**

4 DYSTANSE
DO WYBORU

WWW.VIENNALIFEMARATON.PL

Patroni Medialni



Sponsor Tytularny



Organizator



Partnerzy



Sponsorzy Wspomagający

Oficjalna Woda





SZEWACH WEISS

Między Spartą a Atenami

Święto Niepodległości Izraela według kalendarza świata zachodniego przypada między końcem kwietnia a połową maja. W tym roku obchodziliśmy Dzień Niepodległości 2 maja, w przededniu ważnego święta w Polsce – rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. Nie można przy takiej okazji nie podkreślić, jak wielki był dorobek polskich Żydów w powstaniu 69 lat temu niepodległego Państwa Izraela. I nie chodzi wyłącznie o legendarnego Davida Ben Guriona, twórcę niepodległego Izraela, który pochodził z Polski, gdzie nosił nazwisko Dawid Grün, i który 14 maja 1948 r. odczytał Deklarację niepodległości głoszącą ustanowienie Państwa Izrael.

Z powodu ciągłego zagrożenia Państwo Izrael stało się mocarstwem wojskowym

Organizacja Narodów Zjednoczonych 29 listopada 1947 r. podjęła decyzję o utworzeniu dwóch państw – żydowskiego (wtedy jeszcze nie było wiadomo, jak będzie nazwane, określano je mianem państwa żydowskiego) i palestyńskiego – oraz o ustanowieniu Jerozolimy „międzynarodowym” miastem pod patronatem ONZ. Już na początku grudnia rozpoczęły się bitwy między narodowymi ruchami palestyńskimi i podziemnymi siłami przyszłego Państwa Izrael. Największą z tych podziemnych organizacji była Hagana, której kilku komendantów pochodziło z Polski. Wśród nich Mosze Sneh, z wykształcenia lekarz, urodzony w Radzynie Podlaskim. Na czele dwóch innych podziemnych organizacji również stali Żydzi urodzeni w Polsce. To na podstawie tych sił już po powstaniu Państwa Izrael utworzono armię. Ponad 90 proc. z ok. 46 tys. izraelskich żołnierzy pochodziło z Hagany. Podkreślam to w kontekście naszych

wspólnych dziejów i wpływu, jaki Żydzi z Polski mieli na tworzenie oraz istnienie w pierwszych latach Państwa Izrael, na wygranie wojny o niepodległość, w której ledwie utworzone państwo liczące ok. 700 tys. Żydów mierzyło się z armiami państw arabskich.

W marcu 1949 r., kiedy podpisywano porozumienia o rozejmie, izraelska armia liczyła już prawie 150 tys. żołnierzy. Ich liczba od maja 1948 r. do marca 1949 r. zwiększyła się zatem o ok. 100 tys. osób. Pochodziły one z różnych krajów europejskich, m.in. Rumunii, Węgier, ale zdecydowaną większość z nich, może ok. 80 proc., stanowili Żydzi z Polski. Czekali oni na emigracji, by móc przyjechać do Izraela, przybywali w różny sposób, często nielegalnie. Ben Gurion zaapelował do organizatorów migracji, by w pierwszej kolejności do Izraela trafiali młodzi ludzie, którzy mogą wesprzeć państwo w walce. Wielu przypłaciło to życiem. Jestem właśnie w drodze z Jerozolimy do Hajfy i mijam chyba jeden z najbardziej tragicznych cmentarzy na świecie. Pochowanych jest na nim ok. tysiąc młodych żołnierzy, którzy stracili życie w wojnie o niepodległość. Byli ostatnimi żyjącymi w swoich rodzinach, wszyscy ich bliscy zginęli w Holokauście, a oni przyjechali walczyć o swoją ojczyznę i polegli.

Wielu ojców Państwa Izrael, którzy dali początek temu krajowi, tworząc tymczasową radę kierującą państwem podczas wojny, aż do pierwszych wyborów parlamentarnych miało polskie pochodzenie. Kiedy po raz pierwszy w Izraelu wybierano posłów w Knesecie, ponad połowa ze 120 parlamentarzystów była związana z polskimi ziemiami. W rządzie wybrany już przez parlament służyło 12 ministrów, a wśród nich pięciu pochodzących z Polski, i to na najważniejszych stanowiskach z premierem Ben Gurionem na czele.

Nie ma się co temu dziwić. Przed wojną w Polsce żyło 3,5 mln Żydów. Przez setki lat na polskich ziemiach tworzyły się żydowskie kultura, literatura, nauka, rozwijały się gminy żydowskie. Żydzi mieli w nich bardzo szeroką autonomię i przeszli tam bardzo ciekawy „kurs polityczny”, decydując o swoich sprawach, rozwijały się dziennikarstwo, związki zawodowe i ruch syjonistyczny. Żydzi z Polski czuli, że są w centrum żydowskiego świata.

Obecny Izrael jest jakby między Spartą a Atenami. Jest jak Sparta, bo w dalszym ciągu granice nie zostały jasno określone, nie zaznał pokoju, a z powodu ciągłego zagrożenia Państwo Izrael stało się mocarstwem wojskowym. Przypomina Ateny, ponieważ panuje tu demokracja, istnieje konstytucyjna kultura polityczna, mimo że parlament nie skończył prac nad ustawą zasadniczą. Ma klasyczny proporcjonalny system wyborczy i system wielopartyjny. Z 8,5 mln obywateli Izraela 6,5 mln to Żydzi (podkreślam, że 69 lat temu było ich poniżej 700 tys.), a 2 mln to Arabowie, którzy mają prawa wyborcze i swoich posłów (ponad 10 proc.) w Knesecie.

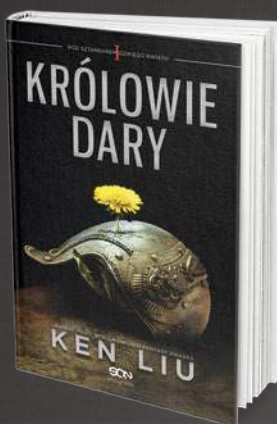
Jednak wracając do Sparty, armia i budżet na wojsko mają ogromny wpływ na całe życie w Izraelu i na kulturę demokratyczną również. Judea i Samaria mają szeroką autonomię, ale znajdują się pod kontrolą izraelskiej armii. To wygląda jak absurd, ale jedyne niepodległe terytorium palestyńskie to Strefa Gazy, gdzie istnieje rząd Hamasu, choć zdarzają się tam zbrojne incydenty, a nawet wojny.

Wydaje mi się, że dopóki nie będzie stabilnego porozumienia między Palestyńczykami żyjącymi w Judei i Samarii a Palestyńczykami ze Strefy Gazy, dopóty trudno będzie dojść do umowy pokojowej. Takie porozumienie jest naszą nadzieją. Na pewno moją. ©©

oprac. raw

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA **PÓŁROCZNA** TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ **DWIE KSIĄŻKI KENA LIU: „KRÓLOWIE DARY” I „ŚCIANA BURZ”**



145 zł

oszczędzasz 134 zł

PRENUMERATA **DWULETNI**A TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ **YANOSIK GTR** WRAZ Z ROCZNĄ TRANSMISJĄ DANYCH



Yanosik GTR

Najszybszy komunikator dla kierowców.
Ponad 1,5 mln unikalnych użytkowników miesięcznie.
Bądź informowany o aktualnej sytuacji na drodze!

- **ostrzeżenia** m.in. o kontrolach prędkości, fotoradarach i wypadkach
- wygodna funkcja **mobilnego parkomatu**
- wskaźnik **EKOjazdy** dla obniżenia kosztów paliwa i napraw
- specjalny tryb dla **motocyklistów**
- **automatyczne** uruchamianie bez konieczności montażu

490 zł

oszczędzasz 775 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl d16181790b



Z Pawłem Borysem, prezesem Polskiego Funduszu Rozwoju

rozmawia Edyta Hołdyńska

EDYTA HOŁDYŃSKA: Polski Fundusz Rozwoju powstał już rok temu. Rząd wiązał z nim ogromne nadzieje, a jakie są realne efekty prac?

PAWEŁ BORYS: Koncentrowaliśmy się na realizacji ważnych dla gospodarki programów rozwojowych zawartych w Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju. Powstała dobrze skoordynowana platforma różnych instrumentów finansowych i doradczych, które umożliwiają szybkie i efektywne wdrażanie programów rozwojowych, wykorzystujących doświadczenia potężnych banków rozwoju, takich jak niemieckie KfW, amerykański Exim Bank czy chiński CDB. Opracowaliśmy także nowe regulacje ubezpieczeń eksportowych, które powinny wejść w życie w 2017 r. Grupa PFR to sam PFR jako centrum strategiczne i inwestycje, ale także Bank Gospodarstwa Krajowego, Korporacja Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych, Agencja Inwestycji i Handlu, Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości oraz Agencja Rozwoju Przemysłu. Nie łączymy instytucji, ale tworzymy zintegrowany model ich działania. To był bardzo intensywny rok i jestem przekonany, że wdrażane zmiany instytucjonalne i programy są pozytywnie odbierane przez przedsiębiorców.

PFR to miały być wielkie, flagowe inwestycje rozwojowe. Na co wydano pieniądze?

Nasze działania w obszarze inwestycji to np. Trasa Łagiewnicka w Krakowie, finansowanie promów dla Polskiej Żeglugi Bałtyckiej, terminal DCT w Porcie Północnym, podniesienie kapitału Banku Ochrony Środowiska oraz Polskiej Grupy Górniczej czy inwestycja w nową strategię dla Zakładów Cegielskiego w Poznaniu. W programie Start in Poland powstało pięć funduszy venture capital o wartości blisko 2,8 mld zł. Sukcesem zakończył się też pierwszy etap programu Scale UP, gdzie wybrano 10 firm, które otrzymają 60 mln zł na wsparcie w ekspansji. Dużym zainteresowaniem cieszył się także Kongres Innowatorów. Fundusz wdrażający program „Mieszkanie Plus” zawarł ponad 70 porozumień z samorządami na inwestycje mieszka-

niowe. W eksporcie Agencja Inwestycji i Handlu bardzo sprawnie otworzyła już 12 przedstawicielstw handlowych na świecie, a w najbliższych trzech latach powstanie kolejnych 50. Warto też wspomnieć o ponad 20-procentowym wzroście finansowania eksportu przez KUKE i BGK do 60 mld zł. W listopadzie otworzyliśmy też tzw. jedno okienko dla przedsiębiorców. To platforma skupiająca wszystkie produkty Grupy PFR w jednym miejscu i zespół doradców, do których można dzwonić po informacje. Realizujemy także projekty elektromobilności. Razem z LOT opracowaliśmy założenia projektu Centralnego Portu Komunikacyjnego oraz wspólnie z PZU przejęliśmy Pekao SA.

Mamy w Polsce miejsce na sześć-siedem dużych banków uniwersalnych. Te mniejsze będą miały problemy, bo nowe wymogi płynnościowe, kapitałowe i marże są dziś dużo bardziej restrykcyjne. Klienci zyskają na tym, że zapewniliśmy im bezpieczeństwo kapitałowe oraz będziemy nastawieni na długoterminowy rozwój, w tym stałe podnoszenie jakości usług. Lokalny bank to lokalna decyzyjność, a to tworzy dobre kadry, zdolności menedżerskie, silne kompetencje do tworzenia strategii i podejmowania decyzji inwestycyjnych w Polsce. To szczególnie ważne przy finansowaniu małych i średnich firm, bo z dnia na dzień mogłyby zostać odcięte od kredytu przez sytuację za granicą. Uważam, że

Rozwój to nie tylko start-upy

Dlaczego PFR dopłacił do transakcji zakupu części udziałów Pekao SA?

Włosi zaczęli wyprzedawać na giełdzie udziały w Pekao SA. Wychodzenie drugiego co do wielkości banku w Polsce w sposób nieuporządkowany – bo tak oceniam wyprzedaż na giełdzie – nie jest dobrą praktyką. Wówczas Mateusz Morawiecki, prezes PZU i ja spotkaliśmy się z przedstawicielami UniCredit i wyraziliśmy chęć podjęcia wstępnych rozmów. PZU samo z siebie nie miało zdolności kapitałowej, żeby przeprowadzić transakcję przejęcia. Od początku stworzyliśmy więc konsorcjum, które wspólnie miałyby ponad 10 mld zł, z czego PFR wyklada ok. 4 mld zł, a PZU ok. 6 mld zł. Daliśmy PZU finansowanie, by budowało większą grupę finansową opartą nie tylko na ubezpieczeniach, lecz także na bankowości. Po przejęciu Pekao SA oczekujemy blisko 10-procentowej stopy zwrotu z inwestycji.

Czy mamy szansę w Pekao SA stworzyć innowacyjną bankowość?

warto, aby ten bank przystąpił też do systemu płatności BLIK. Umożliwi to rozwój najnowocześniejszego w Europie systemu płatności mobilnych oraz płatności bezgotówkowych, co jest także jednym z priorytetów planu Morawieckiego.

Na jakim etapie są zapowiadane wsparcie start-upów i rozwój innowacji, które miały być kołem zamachowym naszej gospodarki? PFR powstał przecież także w tym celu.

Inwestycje i innowacje mają z jednej strony podnieść jakość infrastruktury, wzmocnić nowoczesne sektory przemysłu i usług, ale z drugiej zapewnić zdolność gospodarki do tworzenia bardziej zaawansowanych i wyżej płatnych miejsc pracy, a przez to dobrobytu Polaków. Innowacje w PFR nie sprowadzają się jedynie do start-upów. Uruchomiliśmy pięć funduszy inwestycyjnych



FOT. MAREK WISNIEWSKI/PB/FORUM

służących budowie rynku finansowania wysokiego ryzyka na każdym z etapów rozwoju biznesu, tzw. venture capital. Pozostałe fundusze przeznaczone są do większych inwestycji, transferu nowych technologii do biznesu i rozwoju sieci „aniołów biznesu”. Mamy też fundusz dedykowany fazie ekspansji firm i wspierający współpracę dużych firm z mniejszymi, tzw. Corporate Venture Capital. To wszystko wypełnia istniejące dziś luki, jeśli chodzi o dostępność finansowania

innowacji. PFR to jednak nie tylko innowacje. Innym ważnym obszarem jest dla nas infrastruktura.

Co nam właściwie da Centralny Port Komunikacyjny? Jego budowa pochłonie ponad 30 mld zł.

Wszystkie badania pokazują, że w ciągu kilku lat Okęcie wyczerpie swoją przepustowość. Poza tym jest to lotnisko w mieście. Gdy remontują pas na Okęciu, samoloty latają nad głowami mieszkańców Ursynowa. W innych miastach lotniska są bardziej oddalone od centrum. Warszawa traci na tym z punktu widzenia urbanistycznego. Przewozy pasażerskie to jedno, ale projekt ma nawet ważniejszy wymiar ogólnogospodarczy. Z perspektywy gospodarki i logistyki mamy duże atuty, które możemy przekuć w sukces. Tworząc lotnisko o znaczeniu regionalnym, ale też centralny punkt przewozów kolejowych z dobrymi połączeniami drogowymi, mamy od Portu Północnego, do Śląska i dalej na południe, dobre połączenia komunikacyjne. I końcówka Nowego Jedwabnego Szlaku mogłaby być właśnie w naszym centralnym porcie. Wówczas stajemy się centrum logistycznym o znaczeniu europejskim, a za logistyką zawsze idą inne inwestycje.

To był jeden z głównych zarzutów do poprzedniego rządu. Rząd buduje drogi, a Polacy nie mają pieniędzy w portfelach.

Moim zdaniem dobra infrastruktura sama z siebie nie zbuduje dobrobytu – czego przykładem jest Portugalia – ale jest ona warunkiem sine qua non silnej gospodarki. Każdy na niej korzysta. Jest istotna z punktu widzenia bezpieczeństwa transportu, a także mieszkańców miast, którzy będą oddaleni od lotniska. Jednocześnie dobra infrastruktura podnosi potencjał wzrostu gospodarczego od 0,2 do 0,3 proc PKB i czyni z Polski znaczącego gracza w handlu europejskim. Mamy szansę być realnym centrum szlaków handlowych północ-południe i wschód-zachód.

Jakie są szanse na to, by plan Morawieckiego się ziścił? Aby te wszystkie przedsięwzięcia przyniosły widoczne efekty dla polskiej gospodarki?

Część efektów widać już teraz w silnym przyspieszeniu wzrostu gospodarczego w Polsce, ale dużo programów ma wymiar długoterminowy. Jest w nim zapisanych 200 inicjatyw, z czego 40 dotyczy PFR. Przykładowo jeśli chodzi o innowacje, to kluczowe jest połączenie trzech elementów. Przede wszystkim potrzebna jest współpraca dużego biznesu z małymi firmami. Narodowe Centrum

Badań i Rozwoju, PARP i PFR stworzyły specjalne programy do takiej współpracy. Kolejne elementy to współpraca biznesu z uczelniami, transfer technologii z nauki do biznesu. I tym zajmuje się głównie minister Jarosław Gowin, wdrażając reformę. Jako PFR wspieramy ten proces. I ostatni element to środki finansowe dla start-upów i dla tych firm, które są już w fazie ekspansji. Problem w Polsce był taki, że finansowanie było tylko na wczesnym etapie. Potem była luka, trudno było dostać dofinansowanie od 10 do 30 mln zł. I co się działo z tymi firmami? Musiały lecieć do Berlina, do Londynu, do Stanów Zjednoczonych, żeby pozyskać kapitał. Staramy się zbudować kompletny rynek pozyskiwania kapitału dla lokalnych przedsiębiorstw od momentu, kiedy startują, do wejścia na giełdę.

Są także plany wspierania samej giełdy. Jak to będzie wyglądało?

Istotną rolę odgrywa tu Plan Budowy Kapitału, czyli Pracownicze Programy Kapitałowe oraz przekształcenie OFE, a także nowe produkty inwestycyjne, tzw. REIT, czyli notowane na giełdzie fundusze nieruchomości wypłacające stały dochód. Ten program zbuduje długoterminowo w Polsce silną bazę inwestorów prywatnych i wzmocni warszawską giełdę oraz lokalny rynek obligacji.

Wierzy pan, że Polacy znowu zaufają rządowym programom oszczędnościowym?

Ważna jest odbudowa zaufania i zapewnienie stabilności. CBOS badało ostatnio opinię Polaków na ten temat i okazało się, że ponad 70 proc. popiera pomysł, by 75 proc. środków z OFE przekazać na Indywidualne Konta Emerytalne, a 25 proc. do Funduszu Rezerwy Demograficznej. Większość popiera, by u pracodawcy tworzyć dodatkowe formy oszczędzania korzystające z ulg fiskalnych. Jeżeli te programy zostaną wdrożone, to za dwa-trzy lata będziemy już w zupełnie innym miejscu, jeśli chodzi o długoterminowe nawyki oszczędnościowe. Nasz rynek kapitałowy w obecnej sytuacji, w której 60 proc. aktywów jest w rękach inwestorów zagranicznych, nie sprzyja bezpieczeństwu. Pogłębiając ten rynek lokalnym kapitałem, możemy go wzmocnić. Jako PFR podkreślamy tempo realizacji programów rozwojowych. Sporo pracy jeszcze przed nami.



Jak nie utopić w Mierzei



Stefan Sękowski

Rząd widzi w budowie kanału łączącego Zalew Wiślany z resztą Bałtyku sztandarowy projekt morski. Co zrobić, by nie stał się tylko kosztownym pomnikiem władzy?

Ponad 10 lat od ogłoszenia pomysłu Jarosław Kaczyński dopina swego. Na początku kwietnia prezydent Andrzej Duda podpisał specustawę, która ma ułatwić przekopanie Mierzei Wiślanej. Pod koniec kwietnia wybrano jej koordynatora. Prace mają ruszyć w przyszłym roku i zostać zakończone w 2022 r.

Według rządzącego Polską PiS ta inwestycja ma strategiczne znaczenie dla naszej gospodarki, ale też dla bezpieczeństwa. Kanał ma mieć długość 1,3 km. Dzięki niemu na Zalew Wiślany będą mogły wpłynąć statki o długości 100 m, szerokości 20 m i zanurzeniu 4 m. Tak przynajmniej zapowiada Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej.

I dziś mogą to robić, ale nie jest to proste. Mierzeja Wiślana oddziela Zalew

Wiślany od reszty Bałtyku. Z Zatoką Gdańską łączy Zalew jedynie Cieśnina Piławska o szerokości najwyżej 750 m. A ta znajduje się na wodach terytorialnych Rosji. Moskwa obwarowała możliwość przepływania przez nią statków (zwłaszcza pod banderami innych krajów) licznymi warunkami, co bardzo utrudnia transport tą drogą. Z przyczyn obiektywnych Rosja może zresztą w każdej chwili zamknąć ten przesmyk całkowicie (co zresztą zdarzało się już w przeszłości) i akwen będzie pozbawiony połączenia z pełnym morzem.

Kanał miały nie tylko zabezpieczyć to połączenie w przyszłości. Niektórzy, tak jak rzecznik prasowy MG MiŻS Piotr Jasina, mówią o zwiększeniu przeładunku w porcie w Elblągu do 3,5 mln t

rocznie (czyli dziesięciokrotnie). Korzyści miałyby przynieść nie tylko handel, lecz także rozwój turystyki, zwłaszcza jeśli za przekopem Mierzei miałyby pójść np. połączenie kanałami z jeziorami mazurskimi. Były to zysk nie tylko dla Elbląga, lecz także dla takich miast jak Frombork. Budowa kanału ma mieć także znaczenie geostrategiczne, gdyż umożliwi wpłynięcie w okolice Elbląga mniejszych jednostek Marynarki Wojennej.

Te korzyści są na tyle duże, że gdy 24 lutego 2017 r. Sejm przyjmował „ustawę o inwestycjach w zakresie budowy drogi wodnej łączącej Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską”, czyli podpisaną niedawno specustawę, poparły ją wszystkie partie obecne w parlamencie oprócz koła Unii Europej-



FOT. KACPER KOWALSKI/FORUM

o środowisko naturalne i chce, by rosyjski rząd oprotestował budowę kanału. Rosjanie rzucili do walki także swoją propagandę. Jak podało DoRzeczy.pl, pod koniec kwietnia kanał Rossija 24 wyemitował materiał, z którego wynika, że inwestycja grozi katastrofą ekologiczną i gospodarczą dla położonej na Mierzei Krynicy Morskiej. Takie głosy mogą się pojawiać i w przyszłości, nie można wykluczyć też prób inicjowania lub wspierania przez Moskwę ewentualnych protestów.

Nie oznacza to jednak, że temat jest bezdyskusyjny, a każdy, kto krytykuje przekopanie Mierzei, działa na szkodę Polski. Port w Elblągu nie będzie nową Gdynią. Przede wszystkim takiej wcale nie potrzebujemy. I bez rozwoju Elbląga mamy dostęp do Bałtyku. Mamy cztery porty o podstawowym znaczeniu dla gospodarki narodowej: Świnoujście, Szczecin, a przede wszystkim leżące zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Elbląga Gdańsk i Gdynię, do tego dochodzi ponad 20 mniejszych portów morskich i liczne przystanie. Gdyby miały się spełnić najbardziej optymistyczne zapowiedzi, że Elbląg może zwiększyć liczbę przeładunków do 3,5 mln t rocznie, to i tak będzie to tyle, ile przeładowuje się w położonym 60 km na zachód Gdańsku przez niecały miesiąc, a w Gdyni przez dwa miesiące. Żeby można było w ogóle osiągnąć takie wyniki, trzeba będzie pogłębić port w Elblągu do 5 m (wejście do portu w Gdyni ma głębokość 14 m, a i tak mówi się o potrzebie jego pogłębienia).

Port w Elblągu nie będzie więc samodzielnym portem morskim, który będzie naszym kolejnym oknem na świat. Może za to być miejscem, gdzie przeładowuje się towary i wiezie je dalej, np. właśnie do Gdyni czy Gdańska – a to może się przydać, zważywszy na to, że dziś drogi dojazdowe do tych portów są mało przepustowe. Dodatkowo Elbląg leży bliżej Białorusi i Ukrainy, a tym państwom zależy na dostępie do Morza Bałtyckiego. Przekopanie Mierzei mogłoby też doprowadzić do dywersyfikacji handlu przez ten port, który obecnie obsługuje w dużej mierze kontrahentów z Rosji.

Mieszkańcy samej Mierzei obawiają się, że aby ktoś mógł zyskać, ktoś będzie musiał stracić. Najgłośniejszymi krytykami inwestycji są mieszkańcy Krynicy Morskiej, którzy boją się, że kanał odetnie ich od reszty kraju, co wystraszy osoby chcące tam wypocząć – przynajmniej w kilkuletnim okresie prac nad przeko-

pem. Ministerstwo zapewnia, że tak się nie stanie, gdyż cypel będzie połączony z lądem dwoma mostami zwodzonymi, z których jeden zawsze będzie opuszczony. To jednak nie wszystko, bo budowa i późniejsze funkcjonowanie kanału ma, zdaniem niektórych, negatywnie wpłynąć na tamtejsze środowisko naturalne.

JAK CHRONIĆ MIERZEJĘ?

Tego argumentu nie powinni lekceważyć także ci, którzy z rezerwą podchodzą do wypowiedzi ekologów i nie traktują środowiska naturalnego jako wartości samej w sobie. Turyści przyjeżdżają z reguły nie po to, by oglądać śluzę i statki, ale po to, by właśnie skorzystać z możliwości, jakie daje przyroda. Jeśli więc zasypana zostanie część plaż, zniszczona zostanie roślinność, a nieustanny kontakt z Zatoką Gdańską wpłynie negatywnie na unikalny ekosystem Zalewu Wiślanego, to ludzie nie będą mieli tu po co przyjeżdżać. Jednak czy tak się rzeczywiście stanie? Zdania są podzielone, część ekspertów twierdzi nawet, że kontakt z resztą morza będzie miał zbawienny wpływ na Zalew, gdyż nie będzie się zamulał. Z drugiej strony zagrożone mogą być rośliny rosnące na Mierzei, takie jak np. Inica wodna, porastający wydmy rzadki mikołajek nadmorski czy ulubiona roślina Karola Linneusza – zimoziół północny.

Niebagatelny argumentem są też koszty. Inwestycja ma pochłonąć ok. 880 mln zł. Do tego dojdą jeszcze utrzymanie kanału, a także koszt systematycznego pogłębiania toru wodnego (ok. 4 mln zł rocznie). Te pieniądze wyłożą wszyscy Polacy, stąd też musimy mieć pewność, że skorzystają na niej nie tylko mieszkańcy niewielkiej części kraju. W obecnej sytuacji ważne pytanie brzmi: Jak przekopać Mierzę, by inwestycja przyniosła więcej korzyści niż kosztów i strat?

A te szczegóły nie są jeszcze ustalone. Najprawdopodobniej kanał przebiegnie w miejscowości Nowy Świat, w zachodniej części Mierzei. Na decyzję lokalizacyjną musimy poczekać jeszcze kilka miesięcy, a na ostateczną decyzję środowiskową – na którą czeka zresztą także Komisja Europejska, od której opinii także zależy, czy kanał powstanie – do przyszłego roku. Warto ten czas wykorzystać, by kanał nie stał się kosztownym, ale nieefektywnym pomnikiem obecnej władzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

skich Demokratów, kilku posłów rozsiadniętych po wszystkich klubach i kilkunastu posłów – głównie Nowoczesnej – którzy się wstrzymali.

Sprawę tej inwestycji bardzo łatwo byłoby wykorzystać jako młot na rząd. Skoro jednak opozycja totalna (nie licząc UED, w której prym wiedzie Stefan Niesiołowski) tego nie zrobiła, to widocznie uznała, że nie byłoby jej to na rękę.

TO NIE NOWA GDYNIA

Krytykując przekop Mierzei, łatwo wpisać się w klucz „rosyjskich agentów”. Rzeczywiście, Rosjanie nie są – delikatnie mówiąc – zadowoleni z tego pomysłu. Naszą inwestycję krytykuje m.in. gubernator obwodu kaliningradzkiego Anton Alichanow, który nagle zaczął się troszczyć



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Platformo, wróć?

Jeszcze tylko dwa i pół roku i – coraz więcej sondaży na to wskazuje – ci, którzy tak gorąco pragną powrotu Platformy do władzy, znowu będą mieli powody do radości.

W końcu nic tak nie cieszy jak możliwość obserwowania mężów stanu z PO, którzy dniem i nocą (jak trzeba, to i przy śmietniku), w świątek i piątek, bez ustanku, w pocie czoła i ledwie znajdując nieco czasu na tradycyjną porcyjkę ośmiorniczek oraz kieliszek pomerołu, trudzą się, by wszystkim Polakom dostarczyć do domów ciepłą wodę.

Ba, nic tak nie cieszy jak Platforma, która nie umie lub nie chce pohamować złodziei VAT, a jednocześnie bez umiaru podwyższa podatki uczniom obywatelom, nieprawdaz? A PO doszła w tej materii do mistrzostwa. Podniosła (ręką w rękę z PSL) obciążenia tak wiele razy, że trudno zliczyć, a wywindowanie VAT z 22 do 23 proc. stało się owej osławionej polityki oczywistym symbolem.

Dalej: nic tak nie cieszy jak Platforma, która zadłuża Polaków na dziesiątki lat. Mimo ciągłego wyciskania z podatników coraz wyższych danin PO nigdy bowiem dość publicznych pieniędzy do wydania. Dlatego w ciągu ośmiu lat rządów zaciągnęła na nasze konto tyle długów, ile poprzednie rządy III RP – razem wzięte – przez 18 lat. W ten sposób podwoiła dług publiczny Polski – z pół biliona do biliona złotych. Następnym razem pewnie i w tej dziedzinie pokusi się – na pohybel Polakom – o pobicie własnego rekordu.

Wreszcie nic tak nie cieszy, jak być powtórnie ograbionym przez Platformę z własnych oszczędności. Rząd PO i PSL bez skrupułów skonfiskował połowę składek przyszłych polskich emerytów w OFE (150 mld zł), zawłaszczając je i przekazując zrujnowanemu ZUS. Teraz na ewentualnych zwycięzców z Platformy czeka na kontach w OFE jeszcze druga połowa, chyba że rządowi PiS uda się uprzedzić kasiarzy z PO i, zgodnie z obietnicą, 75 proc. tych pieniędzy przekazać w ten sposób na prywatne konta emerytalne Polaków, aby politycy już nigdy nie mogli się do nich dostać. (Skądinąd szkoda, że 75 proc., a nie całość).

Jednak PO ma z pewnością i inne rozliczne plany, którymi się nie chwali. Na przykład, podobnie jak za swych minionych rządów, nie spieszyła się z budową świnoujskiego gazoportu, zainicjowaną w 2006 r. przez pierwszy rząd PiS, tak i tym razem może nie chce się ścigać z czasem w sprawie doprowadzenia do końca podjętych przez obecny rząd PiS działań w sprawie budowy gazociągu Baltic Pipe ze Skandynawii. Za to może zechcieć podpisać z Rosją następną niekorzystną dla Polski (a korzystną dla Rosji) umowę gazową, jak ta z 2010 r., przed której skutkami częściowo obroniła nas dopiero Komisja Europejska. A to by oznaczało kolejne lata wysokich rachunków za gaz, które każdy Polak będzie musiał płacić Kremlovi. No, ale czegoż się nie robi dla Platformy, czyż nie? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Ucząca się organizacja

Kluczową kompetencją XXI w. jest umiejętność uczenia się. Od wielu lat stosuję zasadę, żeby czytać 30–40 książek rocznie (słucham audiobooków podczas marszobiegów) i uczestniczyć w kilku kursach on-line na najlepszych uczelniach świata, bezpłatnie. To pozwala mi budować kapitał ludzki oraz zmusza mózg do nieustannego treningu, co nie jest bez znaczenia w moim wieku (50 lat). Każdy, kto zna język angielski, może tak się rozwijać i nawet radykalnie zmienić swój zawód lub swoje zainteresowania.

Zebraliśmy grupę ochotników i zaczęliśmy się wspólnie uczyć

Nawyki uczenia się przez całe życie powinny być również kluczową kompetencją organizacji, takich jak firmy, uczelnie, urzędy miast i rządy w wielu krajach świata. Bardzo dobrym przykładem uczącej się organizacji jest moja uczelnia – Narxoz University. Jeszcze rok temu nikt nie zajmował się wykładaniem ani badaniami w obszarze Data Science/Big Data. Zebraliśmy grupę kilkunastu ochotników i zaczęliśmy się wspólnie uczyć. Uczestniczyliśmy w kursach on-line na DataCamp, w MIT, na Uniwersytecie Stanforda i Johns Hopkins University. Potem kilka razy w tygodniu w grupach roboczych

omawialiśmy nasze postępy, wyjaśnialiśmy kwestie, które nie były dla wszystkich jasne.

Zaprosiliśmy najlepszych specjalistów z Polski w tej dziedzinie, aby poprowadzili dwutygodniowe kursy dla naszych wykładowców. Stosujemy te techniki do zarządzania uczelnią, np. w procesie oceny jakości kształcenia, monitorowania postępu w nauce studentów, a nawet stosujemy machine learning w ocenie okresowej kadry. Powstały pierwsze prace naukowe, trwają przygotowania do uruchomienia od września specjalności Data Science/Big Data, po raz pierwszy w Azji Centralnej.

Rusza pierwszy projekt biznesowy Big Data z dużą firmą telekomunikacyjną. Dzięki tym działaniom setki studentów otrzymają możliwość uzyskania kompetencji, które zapewnią im udane kariery na całym świecie. Tworzymy wokół Narxoz klaster Data Science/Big Data, który będzie integrował firmy i naukowców. Obecnie grupa wykładowców kształci się w dziedzinie zwalczania cyberprzestępczości i od września uruchamiamy nowe kursy.

Zarządy firm, miast i polski rząd również powinny uruchomić podobne procesy w swoich organizacjach. Jesteśmy otoczeni przez terabajty danych i umiejętność ich wykorzystanie pozwoli tworzyć nową jakość. W uczących się organizacjach jest innowacyjność i postęp. ©©

Autorem jest rektorem Narxoz University w Alma Ate w Kazachstanie.

TEST „DO RZECZY”: SAMSUNG GALAXY S8+

Piękny, olbrzymi ekran zamknięty w dość smukłej, eleganckiej obudowie to bodaj największa zaleta Samsunga S8+.

W najnowszym flagowcu koreańskiego producenta na szczególną pochwałę zasługuje design. S8+ wygląda bowiem naprawdę znakomicie. Niezwykle wąskie ramki w połączeniu z wyświetlaczem Super AMOLED o przekątnej aż 6,2 cala i rozdzielczości 2960 x 1440 to technologiczny majstersztyk. Ten smartfon jest bowiem zgrabniejszy i poręczniejszy od wielu konkurentów z ekranami o przekątnej 5,5 cala. Do tego obraz w S8+ jest ostry jak żyłeta, kontrast wysoki, kolory żywe, czerń czarna, a i kąty widzenia całkiem niezłe. Na pochwałę zasługuje również wysoka maksymalna jasność ekranu. Do nowych proporcji wyświetlacza (18,5:9 zamiast tradycyjnych 16:9) można się zaś szybko przyzwyczaić.

Cały przedni panel i większość tylnej części obudowy pokrywa ciemne, delikatnie zakrzywione szkło, które sprawia, że najnowszy model flagowej serii Galaxy wygląda elegancko, a nawet zmysłowo. Niestety, to piękne szkło to jednocześnie pięta achillesowa serii S8. Specjalistyczne serwisy testujące wytrzymałość smartfonów – np. SquareTrade – ostrzegają bowiem, że zarówno model Galaxy S8, jak i jego większy odpowiednik są wyjątkowo podatne na uszkodzenia, i to niezależnie od tego, pod

jakim kątem spotkają się z chodnikiem. W tym przypadku wyjścia są więc dwa: można kupić dobre etui albo nieustannie pamiętać, aby bardzo ostrożnie obchodzić się z gadżetem pięknym, acz bardzo delikatnym (choć na szczęście dla miłośników smartfonowych kąpeli odpornym na wodę oraz pył).

Wadą jest też stosunkowo niewielka bateria o pojemności 3500 mAh, przez co telefon wymaga codziennego podłączania do ładowarki. Wbudowany głośniczek gra przeciętnie. Plus Samsungowi należy się jednak za to, że w zestawie znajdują się słuchawki marki AKG.

Poważnym minusem konstrukcyjnym jest umieszczenie skanera odcisków palców tuż obok obiektywu tylnego aparatu. Nie jest to zbyt wygodne, bo często zamiast na skanerze kładzie się palec na obiektywie, ale i do tego można przywyknąć (smartfon przy okazji robienia zdjęć automatycznie przypomina zaś o regularnym czysz-



czeniu obiektywu). Poza tym zamiast z czytnika odcisków palców w przypadku modelu S8+ można skorzystać ze skanera tęczy oka.

Podsumowując, Galaxy S8+ to jeden z najfajniejszych smartfonów, jakie miałem ostatnio okazję testować. Urządzenie jest nie tylko ładne, lecz także szybkie. Płynność działania to zasługa m.in. nowoczesnego procesora oraz 4 GB pamięci RAM. Do dyspozycji są też teoretycznie 64 GB wbudowanej pamięci (w praktyce po zainstalowaniu systemu dla użytkownika zostaje ok. 50 GB), którą można rozszerzyć za pomocą karty pamięci.

Ogromną zaletą tego modelu jest również kapitalny tylny aparat fotograficzny o rozdzielczości 12 megapikseli z obiektywem o jasności f/1.7.

Umożliwia on nagrywanie filmów 4K i robi ostre zdjęcia nawet w słabym oświetleniu. Przedni aparat ma rozdzielczość 8 Mpix i jest wyposażony w autofocus. Cena: 3999 zł.

© Jacek Przybylski

KONTROLUJ SWOJĄ POCIECHĘ

Krzykliwie kolorowe, kiczowate i niezwykle przydatne. Czyli coś, co zachwyci dzieciaki, a rodzicom też może pomóc. GPS W 2 to dziecięcy „smartfon”, który – zwłaszcza latem, gdy maluchy będą jak najwięcej wolnego czasu spędzać na świeżym powietrzu – może zwiększyć ich bezpieczeństwo i w razie potrzeby pomóc je odnaleźć. Generalnie można by rzec, że to rodzaj opasek, jakie Ziobro chciał zakładać aresztantom odbywającym karę w warunkach domowych, tylko w wersji junior.

GPS W 2 to zawierający lokalizator smartfon o wymiarach 31 x 52 x 112 mm, odporny na wstrząsy, piasek i nawet silne uderzenia. Obok czytelnego wyświetlacza zawiera też wejście na kartę SIM i odbiornik ANT GSM. Co to oznacza? Ano to, że dzięki niemu będzie można ustalić miejsce pobytu szkraba nawet z dokładnością do 10 m, co zmniejsza ryzyko pomylenia go wśród innych umorusanych wrzaskunów bawiących się w okolicznych

krzakach, rowach po budowlancach, zapomnianych stawach i innych miejscach dziecięcej szczęśliwości. Urządzenie zaalarmuje rodzica o oddaleniu się dziecka na odległość większą niż zaprogramowana lub przy próbie zdjęcia opaski. Zawiera też przycisk umożliwiający dziecku wysłanie sygnału alarmowego lub połączenie z dwoma ustalonymi wcześniej numerami telefonów. Wbudowany w telefon mikrofon pozwala też na ustalenie, czy Karol,

Zofia albo inny Jaś od sąsiadów nie „wyraża się” zbyt często, sprowadzając naszą pociechę na złą drogę.

Czy pisałem już, że gadżet wyprodukowano w przerażających kolorach: zielonym, niebieskim i – o zgrozo! – różowym? Bateria działa trzy dni, a urządzenie kosztuje ok. 250 zł.

GRAJĄCY STOŻEK

A jeśli już mowa o gadżetach wizualnie niepowalających, ale interesujących i użytecznych, to firma Bose wypuściła właśnie na rynek nowe bezprzewodowe głośniki: SoundLink Revolve. W wykonanej z aluminium obudowie o średnicy 8,2 cm, wysokości 15,2 cm, wadze 660 g – przypominającej nieco ni to stożek, ni to bańkę na mleko, a najbardziej ukraińską pieprzniczkę – kryje się urządzenie zapewniające przestrzenny dźwięk o pełnych tonach, pozbawiony zniekształceń. Całość łączy się z odtwarzaczem za pomocą Bluetooth nawet na odległość 9 m. Na górze głośnika znajduje się sześć przycisków pozwalających na sterowanie urządzeniem. Bateria wytrzyma 12 godzin, a cena gadżetu to 999 zł.



© Wojciech Wybranowski



Dobra umowa czyni przyjaciół

Przechodzimy transformację, która ma jeden cel – absolutną orientację na klienta. I to procentuje – mówi Henryk Mucha, prezes zarządu PGNiG Obrót Detaliczny



Od jakiegoś czasu mamy w Polsce zliberalizowany rynek gazu, na którym funkcjonuje coraz więcej podmiotów. Jak odczuliście te zmiany?

Pierwszy istotny wpływ klientów biznesowych PGNiG Obrót Detaliczny zaobserwowało już w 2015 r. i był to m.in. skutek polityki cenowej naszych konkurentów. Ubiegły rok 2016 był

naszą odpowiedzią na te działania, postawiliśmy na kilka istotnych zmian. Pierwszą była zmiana w strukturze sprzedaży: podzieliliśmy klientów na strategicznych, kluczowych i biznesowych, biorąc pod uwagę wysokość zużycia paliwa gazowego. Do tych największych dedykowaliśmy odpowiednich

doradców handlowych – posiadających gruntowną znajomość specyfiki prowadzonego przez swoich klientów biznesu. Kolejnymi kluczowymi elementami zmiany były rozwój oferty produktowej, jej elastyczność i kompetentne doradztwo. Wszystkich handlowców objęliśmy autorskim programem szkoleniowym,

dzięki czemu bardzo szybko potrafia zrozumieć potrzeby klienta, przygotować ofertę i szybko zamknąć proces sprzedażowy. Takie podejście procentuje – dzięki tym działaniom udało nam się zdobyć wielu nowych klientów.

Konkurencja nie spełniła ich oczekiwań?

Część klientów wraca po negatywnych doświadczeniach z konkurencją w zakresie obsługi i rzeczywistości ekonomicznej, która odbiegała od początkowych ustaleń. Tymczasem sprzedaż produktów energetycznych to działalność specyficzna i z definicji wymaga pewnej uczciwości. My staramy się kreować nasze oferty w sposób transparentny, rzetelny i uczciwy. Staramy się, aby umowy, które zawieramy, były korzystne dla obu stron w myśl zasady „dobra umowa czyni przyjaciół”. To właśnie na tego typu podejściu chcemy budować naszą relację z klientem. To partnerstwo, gdzie nasi klienci mają określone potrzeby, które PGNiG rozumie i realizuje. Dzisiaj nasi klienci biznesowi oczekują pewnej wartości dodanej – w postaci produktu i doradztwa – a w efekcie optymalizacji kosztów wynikających z dostawy gazu i produktów dodatkowych, w tym energii elektrycznej. Nasza oferta z całą pewnością to gwarantuje, dlatego możemy pochwalić się wysokimi wskaźnikami w przeprowadzonym na początku tego roku badaniu zadowolenia klienta.

Jaki trend widać w tych badaniach?

Że PGNiG zdecydowanie czyta rynek i coraz lepiej rozumie biznes swoich klientów. Wie, czego potrzebują, aby ich produkty i usługi były konkurencyjne do tych wytwarzanych przez konkurencyjne podmioty, np. w Europie Zachodniej. Odnotowaliśmy ogólny wzrost satysfakcji z 76 do 86 proc. To, co szczególnie cieszy, to aż 96-procentowy wskaźnik zadowolenia klientów strategicznych, czyli tych największych, którzy zużywają maksymalnie 25 mln m sześć. gazu w skali roku na jeden punkt poboru paliwa gazowego. To pokazuje, że największe podmioty, które mają na ogół największe wymagania i w zakresie oferty, obsługi klienta, i doradztwa, doceniają nasze nowe podejście, nowe produkty, które w zeszłym roku zaimplementowaliśmy do oferty. Chodzą o produkt transzowy i indeksowy oparty na mechanizmie giełdowym. To są produkty, które wymagają perfekcyjne-

go doradztwa. Wiedza na temat dobrego ofertowania i rozumienie potrzeb klientów biznesowych mocno przydadzą się w kontekście tego, co nas w tym roku czeka od 1 października.

Ma pan na myśli koniec taryf w segmencie odbiorców biznesowych?

Tak, choć dla nas ta zmiana jest już właściwie formalnością, ponieważ od dłuższego czasu sprzedajemy nasze produkty po cenach rynkowych. W przypadku naszej spółki brak taryf może natomiast oznaczać migrację części klientów biznesowych lub z grup taryfowych mniejszych do wspólnego miejsca, w którym będą zarządzani jako biznes, z rozróżnieniem na segment strategiczny, kluczowy oraz sektor małych i średnich firm. Każda grupa już posiada dedykowaną ofertę, indywidualne podejście w procesie sprzedaży, jak również różne kanały sprzedaży – w tym kanał pośredni – tj. sprzedaż produktów PGNiG poprzez partnerów handlowych.

A co z klientem detalicznym?

Jeszcze dwa i pół roku temu PGNiG Obrót Detaliczny nie do końca postrzegało takiego klienta rynkowo, co wynikało z pozycji przedsiębiorstwa (udziałów w rynku). Obserwujemy rynek, zachowania i oczekiwania klientów, dlatego 1 września 2016 r. wprowadziliśmy drugi kluczowy (obok gazu) produkt w naszej ofercie sprzedażowej dla klientów indywidualnych – energię elektryczną w pakiecie „Prąd i Gaz”. To według niezależnych badań rynkowych w dalszym ciągu najlepsza oferta na rynku pod względem ceny, nie pobieramy żadnych opłat abonamentowych. Mamy już ponad 30 tys. podpisanych umów w ramach pakietu „PiG” oraz 74 tys. nowych klientów gazowych pozyskanych w 2016 r. Istotna jest dla nas także właściwa obsługa klienta, głównie poprzez sieć biur obsługi klienta, których obecnie mamy 131. Aby umożliwić klientom łatwiejszy kontakt z nami i naszą ofertą, otwieramy w największych miastach Biura Obsługi Klienta Premium, zlokalizowane głównie w galeriach handlowych. Mamy już pięć takich placówek i rozważamy kolejne lokalizacje. Jesteśmy zaawansowani w procesie usprawnienia komunikacji z naszymi klientami przez kanały WWW, czyli eBOK i e-Fakturę.

Komunikacja poprzez kanał WWW stopniowo przygotowywać nas będzie do działań w obszarze e-commerce, a także bez wątpienia uczy nas, jak rozmawiać z naszymi nowymi klientami, którzy dzisiaj korzystają ze smartfonów i portali społecznościowych. Pracujemy nad innowacyjnością naszych produktów oraz ich optymalizacją w zakresie użytkowania efektywności energetycznej. Prowadzimy też działania w obszarze społecznym – mam na myśli np. akcję „Świadomy Klient”, którą zainicjowaliśmy w 2016 r., a która spowodowała, że coraz więcej naszych klientów ma świadomość, że nie każdy, kto przedstawia się, że jest z PGNiG, jest faktycznie z PGNiG (nie prowadzimy domowej sprzedaży). W efekcie podszywająca się pod nas nieuczciwa konkurencja ma z nami coraz większy problem.

W PGNiG Obrót Detaliczny nie sprzedajecie gazu i prądu klientom indywidualnym i biznesowym, ale również LNG i CNG. Jak wygląda wasza strategia na tym polu?

Zamierzamy bardzo mocno rozwijać sieć stacji regazyfikacyjnych LNG, czyli skroplonego gazu ziemnego, zwłaszcza dla naszych klientów biznesowych, którzy prowadzą działalność gospodarczą w tych częściach Polski, w których nie ma stacjonarnego połączenia z gazem. Jest to proces prowadzony w oparciu o rachunek ekonomiczny, na pewno jest to obszar, który będzie się bardzo mocno rozwijał. Chcemy jako spółka wykorzystywać potencjał terminalu LNG (gazu ziemnego w postaci sprężonej) w Świnoujściu. Będziemy się starać, aby nasz udział w tym rynku był adekwatnie wysoki. Z drugiej strony CNG, czyli rozwój naszego biznesu w oparciu o partnerów – przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej, firmy komunikacyjne, przedsiębiorstwa komunalne, komunikacyjne, które zachęcamy z bardzo dobrym skutkiem do zakupu autobusów gazowych, ponieważ jesteśmy przekonani, że gazomobilność jest dojrzałym technologicznie uzupełnieniem dla elektromobilności.

Kolejna nasza aktywność w obszarze LNG, którą realizujemy, to bunkrowanie statków. Bunkrujemy od września 2016 r. i prowadzimy rozmowy z kolejnymi potencjalnymi partnerami, bez wątpienia chcemy być istotnym oferentem na tym rynku.

rozmawiała Lidia Orzechowska

Świat szuka ciszy

Ciszę należy umieścić na liście gatunków zagrożonych wyginięciem



Joanna Bojańczyk

W XIX-wiecznych powieściach opowiada się o wiejskiej ciszy. O świecie śpiewają ptaki, pieją koguty, w dzień słychać odgłosy niemechanicznych prac rolnych: rąbania, piłowania, klepania kos, młócki. Wieczorem wszystko cichnie, słychać szczerkanie psów, wieczorne ptaki.

Tyle literatura piękna. Wiem, że to nie powróci, i nawet o tym nie marzę. Za każdym jednak razem, kiedy jestem na wsi, myślę, czym jest wiejska cisza dziś. Dzisiaj w wiejskiej ciszy warczą traktory, motory, 15-letnie volkswageny, maluchy i inne maszyny, a przebijającym się przez nie motywem jest nie kukanie kukułki, ale disco, rap, heavy metal czy cokolwiek, co można puścić ze sprzętu grającego przy grillu, w samochodzie, w ogródku, z głośnika przyczepionego do chałupy.

Cisza jest dziś towarem deficytowym nie tylko w mieście. Staje się dobrem rzadkim również na wsi. Właściwie dostępnym jedynie dla tych, których stać na kupno kilku hektarów.

A gdy w czasie wakacji ludność wylega w plener, nagłośnienie staje się globalne. Morza szum, ptaków śpiew? Zapomnij. W kurortach ścigają się na moc i repertuar – głośniki na plaży, w smażalni, na

kempingu i w wypożyczalni rowerów. Głos Rihanny mknie przez lasy i góry. Żeby zaznać ciszy, trzeba uciec daleko. Nawet jeśli już człowiek tam jednak dotrze, to jest ryzyko, że obok zaparkuje bmw z włączonym stereo.

TYLKO KROPLE DESZCZU

Paweł Huelle stworzył kiedyś słuchowisko o człowieku walczącym o ciszę, którego wszędzie brali za wariata. Był bez szans w pojedynku z decybelami i tymi, którzy uważali, że bez nich życie nie może istnieć.

Oto pojawiła się jednak osoba, z którą można wiązać pewne nadzieje. Podeszła do problemu nie ze sztandarem walki w rękę, ale metodycznie i naukowo. Gordon Hempton, amerykański bioakustyk, człowiek o przezwisku Sound Tracker, od 30 lat z mikrofonem w rękę przemierza świat w poszukiwaniu miejsc czystych akustycznie. Ukazała się właśnie jego książka „Earth is a Solar Powered Jukebox”. Polecam wszystkim zainteresowanym tematem ciszy.

Co to są miejsca czyste akustycznie? Takie, do których przez co najmniej 15 minut nie dociera żaden hałas wytworzony przez człowieka. Dźwięki natury – krople spadające z korony drzew w czasie deszczu, pohukiwanie sowy, pękanie kry, szum strumienia – nie liczą się jako hałas. Nawet jednak cieniutki odgłos rozmowy wydobywający się ze słuchawek smart-

fona to już hałas. 15 minut – wydaje się niewiele, ale i tak jest to pościg mozolny. Nasycenie sprzętem elektrycznym, urbanizacja, drogi, koleje, korytarze powietrzne, a ostatnio drony sprawiły, że nawet kilkanaście minut ciszy jest trudne do zlokalizowania. Do tej pory Hemptonowi udało się znaleźć na świecie zaledwie 50 miejsc akustycznie naturalnych.

W Stanach Zjednoczonych oznaczył ich 12. Najcichszym jest National Olympic Park, las deszczowy Hoh w stanie Waszyngton. Poziom dźwięku w tym miejscu wynosi mniej niż 20 decybeli, mniej niż w studiu nagraniowym. Hempton nazwał to miejsce „cal kwadratowy ciszy” (One Square Inch of Silence, OIS) i oznaczył czerwonym kamieniem. Hoh znajduje się w środku unikalnego ekosystemu przyrodniczego, który ma 200 cieków wodnych, 300 gatunków ptaków, 70 – ssaków, 200 – roślin.

Niestety, nawet najcichsze miejsce osacza naciskająca ze wszystkich stron cywilizacja. Głównym zagrożeniem są samoloty. Z leżącego w odległości 70 km od lasu Hoh lotniska Tacoma w Seattle oraz z nieodległej bazy wojskowej co 20 minut odlatują odrzutowce. Jeszcze na początku nowego tysiąclecia latały raz na godzinę...

ŚPIEWAJĄCE WYDMY

Hempton nie jest jedynym rejestratorem dźwięków natury. Brytyjski akustyk Trevor Cox opublikował „Sonic Wonderland” – przewodnik po najciekawszych



miejscach dźwiękowych planety. Autor nakreślił ich mapę, którą można oglądać na stronie internetowej Sonicwonders.org. To punkty ciszy; ich poziom nagłośnienia to od 20 do 67 dB (odgłosy wiatru – 120, deszcze – 35 dB, dżungla – 153 dB).

Pustynia Mojave w Kalifornii słynie z wydm, które śpiewają. Ich dźwięk o niskiej częstotliwości słychać na odległość wielu kilometrów. Głęboka cisza panuje na uniwersytecie Salford w Szkocji. Jego mury są tak bardzo dźwiękoszczelne, że pozwalają słyszeć tylko odgłosy własnego ciała.

Inchindown w Szkocji, podziemne zbiorniki paliwa wybudowane przed II wojną światową, obecnie puste, zanotowały rekord najdłuższego echa na świecie – 112 sekund.

„Trzeba przywrócić naszym uszom muzykę natury. Nad tym pracuję” – pisze w swojej książce Gordon Hempton.

Jest udowodnione, że zanieczyszczenie dźwiękowe ma negatywny wpływ na biosferę i człowieka. Powoduje stres, przyczynia się do chorób serca, nerwic, depresji. Tylko w ciszy można skupić się nad sobą i nad otoczeniem. Cisza nie jest nieobecnością czegoś, lecz obecnością wszystkiego. „Zapraszam każdego, żeby udał się w dziewicze miejsce, gdzie w ciszy mógłby przeżyć eksperyment duchowy i cielesny” – pisze Hempton. Twierdzi, że poszanowanie ciszy w przestrzeni publicznej mogłoby zapewnić głęboką zmianę społeczną.

Wiadomo, że hałas jest zabójczy dla przyrody. Badano to wielu naukowców. Wykonane w roku 1993 szwedzkie badanie pokazało jego przerażające efekty. Gdy nad ogrodem zoologicznym przełatywał wojskowy odrzutowiec, tygrysy syberyjskie, lisy i rysie zjadały swoje dzieci w odruchu obrony przed zagrożeniem. Wykazano, że zwierzęta wykształcają dźwiękowe nisze, w których docierają do nich tylko te dźwięki, których potrzebują do przetrwania. „Włamanie” do tego systemu nawet na kilka sekund wywołuje poczucie niebezpieczeństwa. Wystawione na nieznane sobie dźwięki zwierzęta uruchamiają instynkt przetrwania. Raport amerykańskiego Fish and Wildlife Service potwierdził, że sowy, które słyszały dźwięk pił oraz ciężarówek, zaniedbywały młode i wyrzucały jajka z gniazd.

POKOŁENIE GŁUCHYCH

Tyle zwierzęta. A człowiek? Jak podaje raport „Zagrożenie hałasem” opracowany w roku 2012 przez Biuro Analiz Senatu RP, w Polsce „głównym zagrożeniem jest hałas komunikacyjny, szczególnie drogowy, a coraz mniejsze znaczenie ma hałas przemysłowy. Zwiększa się oddziaływanie hałasu związanego z rozwojem komunikacji lotniczej”.

Narażenie na hałas dotyczy u nas 13 mln osób. Specjaliści oceniający stan słuchu społeczeństwa sygnalizują poważne zagrożenia. Liczne i komplek-

sowe badania, prowadzone od początku lat 90. wśród dzieci i młodzieży ze szkół i z uczelni, wykazały, że od 20 do 30 proc. badanych ma problemy ze słuchem. Szacuje się, że ok. 7 mln dzieci i młodzieży powinno zostać przebadanych.

Jednym ze wskaźników określających stopień zagrożenia hałasem są mapy akustyczne. Zgodnie z postanowieniem dyrektywy 2002/49/WE Parlamentu Europejskiego państwa członkowskie są zobowiązane do wykonania na swoim terytorium strategicznych map akustycznych dla określonych czterech obszarów o szczególnym znaczeniu.

Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) w latach 1999 i 2009 przeprowadziło badania ankietowe na temat uciążliwości hałasu. Wynika z nich, że dwie trzecie badanych osób odczuwa uciążliwy, męczący hałas, natomiast jedna trzecia twierdzi, że styka się z nim sporadycznie.

Hałasowi jednak nie tylko jesteśmy poddawani, lecz także sami go generujemy. W mieście muzykę słychać wszędzie: w sklepie, supermarkecie, centrum handlowym, u fryzjera, w warsztacie samochodowym, na stacji benzynowej. W twoim własnym samochodzie, kiedy na światłach obok stanie trzęsące się basami auto młodzieńca w bejsbolówce.

Najgorsze jest, że od wszechobecnego zanieczyszczenia dźwiękowego nie ma ucieczki. Człowiek jest bezbronny. Jedynym ratunkiem byłaby głuchota.

Tylko dlaczego prawo iluś tam bawiących się na imprezie ma być ważniejsze niż prawo mieszkających w sąsiedztwie skazanych na słuchanie tego we własnych domach? Dlaczego nie można wieczorem posiedzieć nad morzem bez towarzystwa raperów? Zapytany o to, co by było, gdyby wyłączył muzykę, kierownik kolejnej knajpy, gdzie prosiłam o jej ściszenie, powiedział, że ludzie by nie przyszli. Być może to prawda, ale widziana z jednej strony. Jedni by przyszli, inni nie. Ja znam takich, którzy do knajpy z disco w ogóle nie wsuną nawet nosa.

Jesteśmy świadkami zmiany cywilizacyjnej. Ciszę należy umieścić na liście gatunków zagrożonych wyginieciem. A to oznacza utratę instynktu samozachowawczego ludzkości. Dźwięki natury: szum wiatru, lasu, morza, śpiew ptaków od prapoczątków były pilotami prowadzącymi człowieka w bezpieczne miejsca. Jeśli one zamilkną, co nam zostanie?



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Bieda na przednówku

W dawnych czasach, a może nawet i niedawnych, bo jeszcze przed I wojną światową, maj i czerwiec uznawane były za biedne i chude miesiące. Na wsi późną wiosną określano mianem „przednówka” – okresu, kiedy kończą się zapasy zimowe, a jeszcze nie ma nowych zbiorów. Dla zwierząt zaczynał się on i kończył wcześniej niż dla ludzi; od marca, kiedy schodzą śniegi, aż do połowy maja, gdy pojawia się pierwsza trawa i można wreszcie wypuścić bydło, owce i kozy na pastwisko. Na przednówku głodowały bosc Antki i Janki Muzykanty. W XVII w. często wtedy najeżdżali nas Tatarzy, kiedy głód panował w ułusach na Krymie. Jak podaje „Kucharka litewska”: „Miesiąc ten [maj – przyp. J.K.] najtrudniejszy do dyspozycji stołu, wszystkie bowiem zapasy zimowe już skończone, zwierzęcy w nim nie ma, z jarzyn zaledwie się ukazują zieleniny i szparagi, mleko zaś w większej jest obfitości, jaja po zimie tanieją oraz raki poławiać się zaczynają”.

Cóż więc pojawiało się na stołach w XIX w.? Po raz pierwszy po zimie szpinak, o którym nie piszę, bo nie jada tego nawet mój koń. Natomiast wiele było ciekawych potraw przyrządzanych z resztek zapasów albo z dojrzewających powoli na polach warzyw. Na śniadanie wspomniana „Kucharka...” poleca omlęt zawijany z sześciu żółtek, śmietany, mąki i ubitej z białek piany, posmarowany konfiturami lub marmoladą. Innym kresowym przysmakiem są pezy przygotowywane z ciasta bez cukru, gotowane na parze nad rondlem, gdzie na przemyślanej konstrukcji z drewna i słomy kładzie się uformowane z ciasta bułeczki namoczone w roztopionym maśle. Po wyjęciu z naczynia każdą obiera się ze skórki i podaje z masłem z podsmażoną cebulką albo ze śmietankowym sosem z żółtkami, cukrem i wanilią.

Zup uwagę zwraca przede wszystkim cytrynowa przygotowywana ze zwykłego, wołowego bulionu zmieszanego z litrem śmietany, żółtkami, poda-

wana z kaszą ryżową. Natomiast nowością są szparagi, których przepis podajemy poniżej.

Chude miesiące na przednówku można urozmaicić sobie, podając słodkości, np. szmur zaparzany, przygotowywany z mąki gotowanej w wodzie z masłem, z którego potem formuje się ciasto, rozkłada na blasze, posypuje cukrem, rodzynkami oraz migdałami i piecze w piecu. Albo krem z palonego cukru i śmietanki czy też absolutne novum – kołduny z serem zwane szałtanosami.

Jeśli chodzi o mięsa, w maju nie ma wielkiego wyboru – w końcu co było do ubicia, już zjedzono na Święta Wielkanocne. „Kucharka...” podaje kilka zwykłych dań z indyka, jest też pieczeń z cielęciny po amatorsku, gdzie mięso najpierw należy przygotować do skruszenia, zakopując je w jamie na 12 godzin, i podawać pieczone, nadziewane serem, koprem i pietruszką. Wśród ryb dominują potrawy postne – np. zupa z miętusów czy klasyczny łosoś pieczony na ruszcie. ©



Szparagi w sosie

Skrobiemy szparagi z włókien, ucinamy zbyt długie łodygi, wiążemy je w pęczki i gotujemy w osolonej wodzie, aż staną się miękkie. W tym czasie przygotowujemy sos: sześć żółtek ucieramy razem z kilkoma łyżkami cukru, rozprowadzamy to w półtorej szklanki białego, wytrawnego wina, podgrzewamy lekko, cały czas mieszając, aż zacznie gęstnieć – wtedy odstawiamy. Kiedy szparagi już gotowe, wyjmujemy je na sito, aby obciekły, zalewamy roztopionym masłem z kawałkami startego suchara lub opisanym sosem i podajemy na stół.

Szałtanosy – kołduny na słodko

Do 2 kg kwaśnego twarogu wbijamy 4 całe jajka, mieszamy i formujemy z tego kulki. Bierzymy 1 kg mąki pszennej, białko jednego jajka i niewielką ilość soli. Mąkę przesiewamy, dodajemy ciepłej wody i ugniatamy, wyrabiając ciasto na stolnicę, aby stało się miękkie; jeśli przykleja się do rąk – dodajemy mąki. Odstawiamy na 20 min. po czym rozwałkowujemy. Kładziemy na nie kulki z twarogu i oblepiamy, formując woreczki. Gotujemy w osolonej wodzie, odczujemy, podajemy z roztopionym masłem ze startym sucharkiem i osobno – ze świeżą, kwaśną śmietaną.

CURRY PIECZARKOWE Z SOCZEWICĄ I BROKUŁAMI

Soczewicę odkryłam podczas wyprawy na sześciotysięcznik w Himalajach. Codziennie Szerpowie gotowali ryż z czymś, co nazywali dhal i co smakowało tak wyśmienicie, że postanowiłam zabrać zapas tego nepalskiego dhal ze sobą do Polski. Wielkie było moje zdumienie, kiedy odkryłam, że dhal to po prostu soczewica, która także w naszym kraju jest od dawna znana, ale chyba (niesłusznie) trochę zapomniana. Osobiście uwielbiam soczewicę i gotuję ją dwa-trzy razy w tygodniu w szybkich jednogarnkowych przepisach, które wymyślałam na bieżąco. Dzisiaj polecam curry pieczarkowe z soczewicą i brokułami. Smacznego!

Składniki:

- 7 małych pieczarek • pół brokułu
- 7 łyżek czerwonej soczewicy
- 2 ziemniaki • 1 łyżeczka kminu rzymskiego • 1 łyżka pasty curry albo 1 łyżeczka przyprawy curry w proszku • pół łyżeczki ostrej papryki • pół łyżeczki cząbrku
- pół łyżeczki kminku • 1 łyżeczka majeranku • pół łyżeczki kurkumy
- 2 liście laurowe • 1 pomidor • ćwierć łyżeczki dobrej nierafinowanej soli morskiej • świeża kolendra i świeży lubczyk.

Przygotowanie:

(O)¹ Do garnka wlej ok. dwóch szklanek gorącej wody, zagotuj.

Wymieszaj, gotuj przez chwilę (ok. 30 s).

(Z) Pieczarki umyj, pokrój w plasterki. Ziemniaki obierz, umyj, pokrój w kostkę. Dodaj do garnka.

Wymieszaj, gotuj przez chwilę.

(M) Dodaj liście laurowe, paprykę, kmin rzymski, curry, cząber, kminek, majeranek.

Wymieszaj, gotuj przez chwilę.

(W) Dodaj szczyptę dobrej, nierafinowanej soli i soczewicę.

Wymieszaj, gotuj przez chwilę.

(D) Dodaj dość drobno pokrojonego pomidora.

Wymieszaj, gotuj przez chwilę.

(O) Dodaj kurkumę i – jeśli potrzeba – gorącej wody. Powinno jej być odrobinę więcej niż warzyw w garnku.

Wymieszaj, gotuj pod przykryciem przez chwilę.

(Z) Dodaj brokuł podzielony na mniejsze kawałki.

Wymieszaj, gotuj na małym ogniu jeszcze ok. 10–15 min – aż soczewica spuchnie i wchłonie wodę.

Podawaj ze świeżymi ziołami.

¹ Symbole oznaczają pięć żywiołów odpowiadających pięciu głównym smakom w starożytnej chińskiej filozofii gotowania według pięciu przemian (O – ogień: gorzki, Z – ziemia: słodki, M – metal: ostry, W – woda: słony, D – drzewo: kwaśny). Tak przyrządzone jedzenie lepiej smakuje. ©©

oprac. raw

Beata Pawlikowska
jest podróżniczką, pisarką, dziennikarką.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

„Łowcy smaków” do rondla

Nie będąc ful wegetarianami, jadamy w domu mięso coraz rzadziej. Raz w tygodniu, czasem nawet nie, i to przeważnie drób, od ssaków zachowując abstynencję. Staramy się również unikać wędlin.

W naszej ewolucji jedzeniowej nie jesteśmy osamotnieni – wokół znajomi zachowują się podobnie. A już w pokoleniu 20 minus rezygnowanie z mięsa stało się epidemią. Nie jesteśmy fanatykami, uważamy, że zjedzony raz na jakiś czas befsztyk nas nie zabije, nie wstrząsamy się także z obrzydzeniem na widok schabu. Po prostu jemy więcej jarzyn, fasoli, klusek, ryb i nie czujemy się z tego powodu nieszczęśliwi.

Jednym z objawów tej dość powszechnej zmiany nastawienia jest rosnąca liczba blogów kulinarnych i książek kucharskich operujących hasłami rozmaitych diet – wegetariańskiej, wegańskiej, makrobiotycznej, bezglutenowej.

Mam w rękę jedną z nich – „Łowcy smaków”. Autorka – Ina Rybarczyk – od trzech lat prowadzi również blog True Taste Hunters poświęcony przepisom bez glutenu i bez cukru.

Ponad 140 przepisów kuchni roślinnej, kokietykujących również zdjęciami autorki – trzeba przyznać, bardzo atrakcyjnej. Kto sądzi, że uda się gotować te potrawy, używając tylko swojskich składników, ten jest w błędzie.



INA RYBARCZYK
**„ŁOWCY
SMAKÓW”**
REBIS 2017

Trzeba zaopatrzyć się w to, co niedawno w polskiej kuchni było egzotyką. Mleko migdałowe, olej kokosowy, tahini, komosa ryżowa, bataty, humus, czerwony ryż, sezam... Nie mówiąc o jarmużu, soczewicy, ciecierzycy ani kaszy jaglanej – składnikach, które przecież od zawsze istniały w naszej kuchni, ale jakoś zapomniane i niedocenione nie znajdowały zastosowania w dawniejszych dziełach kulinarnych.

Dopiero gdy pojawili się Jamie Oliver, Nigella Lawson, Yotam Ottolenghi, została im przywrócona utracona cześć. Problem tylko, że gdy nie gotuje się systematycznie i często z użyciem tych składników, one lubią przyczaić się w lodówce i dyskretnie przekroczyć termin ważności.

W książce jest sporo fajnych przepisów o różnym stopniu trudności. Niby mało skomplikowanych, ale jednak zdobycie składników i przygotowanie tego wszystkiego w warunkach domowych może się okazać niełatwe. Albo tylko pracochłonne – kuchnia wegetariańska jest dużo bardziej pracochłonna niż kuchnia mięsna, tego nie da się ukryć. Trudno, dla zdrowia trzeba jednak cierpieć. Zakasać rękawy i do rondla. ©©

NASZ TEST: NISSAN NP300 NAVARA

Japończycy odmienili swój pick-up i starali się stworzyć wołu roboczego, który będzie jednocześnie na tyle ładny, aby chcieli nim jeździć nie tylko rolnicy, leśnicy i policjanci (ewentualnie bojownicy w różnych regionach świata). Łagodnie zarysowane nadwozie, a także chromowane elementy i reflektory LED sprawiają, że navara trzeciej generacji może się też podobać biznesmenom oraz prezesom, którzy szukają auta o potężnym, wręcz atletycznym wyglądzie, aby na firmowym parkingu wyróżnić się spośród kolegów jeżdżących tzw. miejskimi terenówkami.

Dla części męskiej społeczności może to być również dobry sposób na podbudowanie ego menedżerów cierpiących na kryzys wieku średniego – siedząc za kółkiem gigantycznej navary, spoglądamy bowiem z góry na dachy nie tylko osobówek, lecz także wielu SUV-ów. I kto jest debeściak?

W KABINIE

W pięciosobowej wersji Double Cab – wybieranej przez zdecydowaną większość kupujących – wnętrzu navary nie przypomina już dawnych surowych półciężarówek, lecz raczej kabinę typowego SUV-a. Co prawda nadal dominiuje twardy plastik, ale skórzane podgrzewane fotele – Nissan chwali się, że opracowano je we współpracy z projektantami z NASA – są na tyle wygodne, że podróżujący z przodu auta mogą w zasadzie zapomnieć, że jadą wozem zaprojektowanym z myślą o ciężkiej pracy w trudnym terenie. Tylna kanapa jest już mniej wygodna – brakuje miejsca na nogi, a wyżsi pasażerowie będą też narzekać na zbyt intymne relacje z podsuftką – ale nawet ona nadaje się nie tylko do przewozu na wpół śpiących robotników.

Na desce rozdzielczej zamontowano 7-calowy wyświetlacz dotykowy, który umożliwia obsługę nawigacji, a także systemu pokładowej rozrywki (który poprzez Bluetooth można połączyć ze smartfonem). Bardziej majętni użytkownicy docenią również to, że do półciężarówki Nissana można podczepić przyczepę z ładunkiem ważącym do 3,5 tony. Pociągniemy więc za sobą np. kilkumetrową motorówkę lub luksusową przyczepę kempingową. Ci, którzy potrzebują głównie wołu roboczego, ucieszą się zaś, że na pakę ważącego dwie tony auta można zapakować aż jedną tonę ładunku.

JAZDA

Pod maską czterodrzwiowego testowego pick-upa znajdował się silnik Diesla o pojemności 2,3 l i mocy 190 KM. Auto od 0 do 100 km/godz. rozpędza się w 10,8 s. Pick-up Nissana szczegó-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



nie dobrze sprawuje się w terenie, a nawet na podmiejskich trasach.

Mimo 5,3 m długości odmieniona japońska półciężarówka nieźle daje sobie radę na zakrętach, przechylając się co prawda, ale w sposób, który nie podwyższa tętna u kierowcy i pasażerów. Jednocześnie sztywne zawieszenie dobrze tłumi drobne nierówności na utwardzonych drogach (niestety, gorzej radzi sobie z tym zadaniem podczas jazdy w terenie). Kabina jest całkiem nieźle wytłumiona, ale przy wyższych prędkościach autostradowych we wnętrzu robi się już zbyt głośno.

Automatyczna skrzynia biegów zazwyczaj sprawuje się dobrze, choć mogłaby nieco szybciej reagować na gwałtowne naciśnięcie pedału gazu.

W trudnych warunkach przydaje się nie tylko odłączany napęd 4 x 4 z trzema trybami jazdy (po asfalcie, po łatwym terenie lub po piasku, śniegu i po głębokim błocie), lecz także opcja włączenia reduktora czy asystenta zjazdu, który pomaga przy jeździe w dół po stromych zboczach. Po stronie plusów zapisać można też stosunkowo niskie zużycie paliwa: podczas naszego testu navara spalała średnio w cyklu mieszanym 8,3 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP navara zdobyła cztery gwiazdki na pięć.

Auto zapewnia dobrą widoczność. W najbogatszej wersji wyposażenia dostępny jest także przydatny system kamer 360 stopni. Przy podjeżdżaniu pod strome wzniesienia – gdy przez przednią szybę widzimy wyłącznie maskę oraz mniej lub bardziej zachmurzone niebo – możemy na ekranie obserwować, jak wygląda droga przed autem i po jego bokach. System nie tylko sprawdza się w trudnym terenie, lecz także znacząco ułatwia wykonywanie manewrów na parkingu.

CENA

Ceny nowej navary w testowanej wersji Double Cab zaczynają się od 126 tys. zł. Za wołu roboczego z siedmiostopniową automatyczną skrzynią biegów trzeba już jednak zapłacić co najmniej 154 tys. zł. Koszt najwygodniejszej wersji to zaś 159 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Ranger, Mitsubishi L200, Toyota Hilux, VW Amarok ©©

JACEK PRZYBYLSKI

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %

**polski
produkt**

**ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL**

ORGANIZATOR:



PARTNER MERYTORYCZNY:



PARTNERZY:



assecO



Paged
COLLECTION





MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Wyzwania dobrej zmiany

MARCIN MAKOWSKI: Po siedmiodniowej przerwie znowu przyleciałeś do Polski. Sporo spotkań z ministrami, politykami. Dobra zmiana zmierza w dobrym kierunku?

MATTHEW TYRMAND: To moja najdłuższa przerwa w wizytach w Polsce od lat, ale wynikała nie z lenistwa, tylko z tego, jak byłem zajęty w związku z wyborami w USA. Jeśli pytasz o kierunek zmian, słowa, które usłyszałem od moich rozmówców, nie układają się w wesołą historię. Oczywiście prawica nadal sprawuje władzę w Polsce i wzmacnia się na świecie, ale rządy Prawa i Sprawiedliwości chwilami po prostu rozczarowują. I to nie ze względu na wektor ideowy, ale na nieustanną walkę wewnątrzgabinetową i personalne intrygi, które odciągają Polskę od wprowadzania koniecznych reform i reprezentowania spójnego stanowiska na arenie międzynarodowej. Największe straty pod tym względem przynosi tarcie pomiędzy „wielką czwórką”, tj. Kancelarią Prezesa Rady Ministrów, Kancelarią Prezydenta, MON i MSZ. Jednocześnie odbywa się to kosztem podważania kompetencji ludzi, którzy zamiast igrzysk władzy wolą realnie coś zmieniać.

I miałeś odwagę powiedzieć to swoim rozmówcom prosto w twarz?

Oczywiście. Każdemu ministrowi i politykowi, z którym rozmawiałem, powiedziałem, że jeśli dobra zmiana będzie walczyć ze sobą, trudno będzie lansować jej pozytywny wizerunek w Waszyngtonie, a ja będę musiał wybrać strony. W tym przypadku wybór jest dla mnie jasny i otwarcie stawiam na ludzi, którzy myślą o wolnym rynku, wychylają głowy poza swoje gabinety i nie boją się świata. Takimi osobami są dla mnie Morawiecki, Gowin i Streżyńska choćby dlatego, że nie traktują współpracy jako podważającej ich wpływy. Po przeciwnej stronie tego wektora stoją połajanki słowne pomiędzy Markiem Magierowskim a Beata Mazurek, odpowiedzialnymi za komunikację Pałacu Prezydenckiego i Klubu Parlamentarnego PiS. Jeśli oni nie mogą się dogadać, dogryzając sobie publicznie, to jaki sygnał wysyłają wyborcom, nie mówiąc już o zagranicznych politykach?

Spotkałeś się również z Jarosławem Kaczyńskim. Co z twoich ust usłyszało ucho prezesa?

Jarosław Kaczyński jest świadomy tego, co się dzieje wokół niego i partii. To była bardzo ciekawa rozmowa, trwała prawie półtorej

godziny i wielu rzeczy nie musiałem mówić od podstaw, ponieważ czyta naszą kolumnę regularnie. Nie ukrywam, że byłem tym wyróżniony. Uważam, że prezes jest spoiwem, które scala rozczłonkowaną polską prawicę, i nawet jeśli nie zgadzamy się w kwestiach ekonomicznych i przedstawiałem mu moje wątpliwości, to jest otwarty na argumenty. Wiele czasu poświęciliśmy na omówienie prezydentury Trumpa, starałem się pokazać, kto jest ważnym graczem w Waszyngtonie i jakimi priorytetami się kieruje. Podkreślałem też problem ze zbyt częstymi wizytami posłów i przedstawicieli rządu niższego szczebla w Waszyngtonie, którzy nie wnoszą wiele do polsko-amerkańskich relacji, rozmywając przez to znaczenie wizyt najważniejszych osób, jak np. prezydent Duda, Waszczykowski, Morawiecki. To właśnie z przygotowanych spotkań na wysokim szczeblu rodzą się ważne umowy, np. niedawna decyzja o transporcie gazu z USA, która niezwykle mocno wiąże ze sobą oba kraje, przyczyniając się do zwiększenia bezpieczeństwa energetycznego Polski.

Jak udało ci się namówić Kaczyńskiego do zdjęcia w czapce z napisem: „Make America Great Again”?

Wcale nie musiałem go namawiać. Wyciągnąłem czapkę na stół, chciałem ją założyć do zdjęcia, ale prezes wziął ją pierwszy i włożył ze śmiechem na głowę. To tylko pokazuje, jaki ma do siebie dystans i że rozumie media, czego nie można powiedzieć o wiecznie naburmuszonej Beacie Mazurek. Właśnie takimi detalami zdobywa się sympatię, również największego sojusznika Polski. Mogę zdradzić, że to zdjęcie powędrowało do Stephena Bannona, głównego doradcy Donalda Trumpa. ©





od teraz
Telewizja Republika
ZA DARMO w Internecie

www.telewizjarepublika.pl



republika



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Falstart konstytucyjny

ANDRZEJ DUDA: *Chcę, aby w sprawie Konstytucji Rzeczypospolitej w przyszłym roku, roku 100-lecia niepodległości, odbyło się referendum.*

BEATA MAZUREK: *To inicjatywa prezydenta Andrzeja Dudy, my ją szanujemy, ona wymaga namysłu i ustalenia, o jakie zmiany chodzi.*

ELŻBIETA WITEK: *To nie jest pomysł pana prezydenta, to pomysł PiS. Już w ubiegłym roku pan prezes Kaczyński o tym mówił.*

Co do tego, że zmiany w konstytucji są potrzebne, panuje więc ponadpartyjna zgoda, choć oczywiście każdy chciałby zmienić co innego

ADAM BIELAN: *Myślę, że większość członków Prawa i Sprawiedliwości, naszego obozu politycznego, dowiedziała się o tym z przemówienia pana prezydenta.*

STANISŁAW KARCEWSKI: *Nie kupuję kota w worku. Prezydent nas nie uprzedził.*

To pierwsze reakcje polityków PiS na zapowiedź prezydenta, że zamierza zorganizować referendum konstytucyjne. Jeśli ktoś jeszcze

nie rozumie, w jakiej rozsypce znajduje się obóz rządzący, to lepszego dowodu mieć nie będzie. Jeśli prezydent rzucił pomysł referendum w sprawie zmiany konstytucji bez konsultacji z własnym obozem, na dodatek wykorzystując do tego jedno z ważniejszych świąt państwowych, to zachował się – delikatnie mówiąc – niefrasobliwie, narażając się na takie oto spontaniczne komentarze co bardziej wyrywnych polityków PiS dystansujących się od prezydenckiej inicjatywy.

Potrzeba zmian w konstytucji jest oczywista, rok temu mówił o tym nawet potencjalny kontrkandydat prezydenta w najbliższych wyborach Donald Tusk. „Konstytucje powinny być – oczywiście – możliwie trwałe, ale jednak są zmiennymi aktami prawnymi i zmiany, jakie zachodzą w Polsce i wokół Polski, bezwzględnie takiej właśnie refleksji, a w konsekwencji zmian w konstytucji, będą – jak sądzę – wymagały”. Co do tego, że zmiany w konstytucji są potrzebne, panuje więc ponadpartyjna zgoda,

choć oczywiście każdy chciałby zmienić co innego.

Było więcej niż oczywiste, że prezydenckie zaproszenie do rozmowy zbankotuje opozycja. Wygląda jednak na to, że i partia rządząca nie podchodzi z entuzjazmem do pomysłu własnego prezydenta, bo pierwsze wypowiedzi są wyraźnie lekceważące. A przecież nawet jeśli prezydent ze swoją inicjatywą wyszedł trochę przed PiS-owski szereg, to politycy tej partii powinni zacisnąć zęby i poudawać entuzjazm dla pomysłu własnego prezydenta. Nawet jeśli się jest naburmuszoną, bo prezydencki rzecznik niedawno odsyłał nas do szkoły.

Postępująca „adrianizacja” (patrz „Ucho prezesa”) prezydenta przez własną partię szkodzi mu bardziej niż własne błędy i mocno nieprzemysłane czasami wypowiedzi. Jeśli PiS chce mieć swojego prezydenta przez kolejną kadencję – a będzie mu jeszcze bardzo potrzebny, zwłaszcza w przypadku utraty władzy – to czas najwyższy zacząć go wspierać, bo „szorstką przyjaźń” między premierem a prezydentem już przerabialiśmy i nie skończyło się to dobrze dla ich obozu. ©©

PODSŁUCHANE

Pasztet

Jarku, mamy problem.
Jak poważny, Joachim?

Nie, no nie aż tak bardzo. Taki tam. Problemik.
No, mówże!

Andrzej... znaczy prezydent... miał wystąpienie właśnie z okazji 3 Maja.
Wiem, który dziś jest. I wiem, wyobraź sobie, kto jest prezydentem.

No i zapowiedział, że chce referendum w sprawie konstytucji zrobić w przyszłym roku.
Że co chce?!

Referendum...
Zgłaszał się z tym? No, co się tak trzęsiesz? Pytam, czy się zgłaszał.

No... niby tak. Taki list do ciebie napisał. Czytałem ci. To znaczy, nagłówek czytałem.
Kiedy?

Z miesiąc temu. Ale jak przeczytałem, od kogo to i początek: „Szanowny panie prezesie...”, to już dalej nie chciałeś

słuchać. Miałeś ważne spotkanie z panią Goss.

No tak, pamiętam. Znaczący spotkanie z panią Janiną, nie list. A co tam było?

Właśnie zapowiedź, co ogłosi. I jeszcze ciebie cytował, że też chciałeś zmiany konstytucji.

A czemu ty to właściwie przeczytałeś, skoro to do mnie list był?

A nie... ja tak przypadkiem tylko... Bo właśnie jak pani Janina wtedy przyjechała, to przywiozła tu nam pastet domowy i w coś musiałem zawiązać. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Biorąc pod uwagę splugawienie konstytucji przez PiS, w wypadku tej partii nie należy mówić o obchodach, ale odchodach Święta 3 maja”.

TOMASZ LIS,
publicysta, na Twitterze

fol. Jerzy Gumowski



Na łów

tw. nęciskach, gdzie się wysypuje zwierzętom spady z sadów, ma tyle wspólnego z myślistwem co egzekucja” (2016). Również druga strona politycznej barykady grzeszy analogicznie. W marcu media nazwały „egzekucją” rozstrzelanie przez pisowskiego ministra środowiska, Jana Szyszko, 400 bażantów spośród 500, które mu wypuszczono pod lufę z klatek OHZ-u (ekspert prawa łowieckiego, członek PZŁ, mecenas Miłosz Kościelniak-Marszał: „— *To przypominało raczej rzeź*”). Te hodowlane bażanty nie umiały nawet dobrze fruwać.

Taki rodzaj „polowań” dla dostojników Europa zna od stuleci. Czasami były to „łowy” bardzo ceremonialne, jak chociażby w trakcie sławnego erfurckiego Zjazdu Monarchów (1808), który — gdy idzie o XIX wiek — rozmachem ustąpił tylko Kongresowi Wiedeńskiemu. Zorganizował to „polowanie” książę weimarski przy skraju lasu Ettersburg. Panowie ze strzelbami „czatowali” wewnątrz łoży wytornego pawilonu, wokół którego na ciasnej, ogrodzonej przestrzeni kotłowały się dziesiątki polapanych uprzednio jeleni, danieli, saren, dzi-



Juliusz Słowacki: „Bo milcząc strzelce idą na łowy...”



ków, zajęcy i wszelakiej innej zwierzyny. Dostojni myśliwcy osiągnęli znaczne sukcesy i nie przeszkadzało im to, że kolejnym stopniem takiego „polowania” mogłoby być już tylko zawieszenie spętanych celów na balustradzie łoży. Charakterystyczny jest tu przykład krótkowzrocznego cara Aleksandra I, który nie dał rady trafić jelenia z 20 kroków i dopiero gdy podprowadzono mu zwierzaka na 5 metrów — wcelował.

Polityczny rywal Aleksandra I, cesarz Napoleon, też miał kłopoty łowieckie, lecz trochę inne. Pewnego razu Wielki Łowczy cesarstwa, marszałek Berthier, zorganizował dla monarchy polowanie w lasach podparyskich. Załatwił sprzęt, nagonkę plus zwierzyń, i popełnił tylko jeden drobny błąd: miast dzikich, kupił prawie tysiąc oswojonych królików, nie wiedząc, że są one przyzwyczajone do otrzymywania dwóch posiłków dziennie. Kiedy więc cesarz trzymając

flintę szedł wzdłuż lasu, króliki wzięły go za pastucha i radośnie oblepiły ze wszystkich stron. Zrozpaczony Berthier ganiał pomiędzy nimi i siekł je batem, pragnąc rozprościć i dać monarsze szansę strzału. Koniec końców wygrał tę batalię, ale wówczas obrażony Bonaparte był już dawno nieobecny, wracał do Paryża.

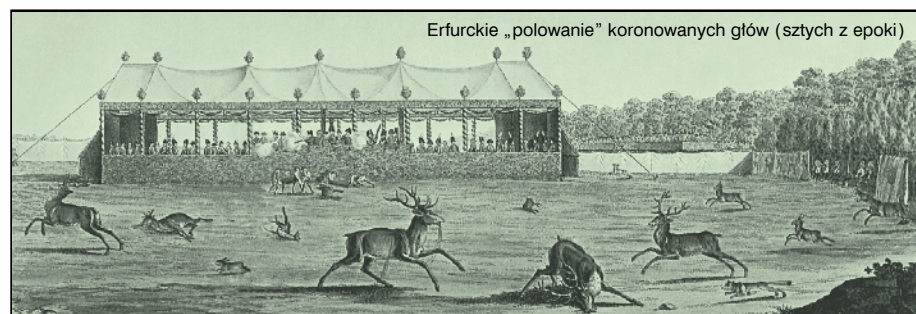
W tamtym XIX stuleciu nie tylko imperia europejskie miały swe myśliwskie anegdoty. Kiedy zmarł car Aleksander III (1894), do Białego Domu zajeżdżał blisko południa korespondent agencji Reutersa, pytając jak prezydent Cleveland przyjął tę wiadomość. Rzecznik prasowy Clevelanda kazał dziennikarzowi poczekać chwilę, ruszył do pustego Gabinetu Ovalnego (bo prezydent był nieobecny, wyjechał na ulubione łowy), tam bez pośpiechu przespacerował się trzykrotnie wokół prezydenckiego biurka oraz fotela, i wrócił z komunikatem, że „*pan prezydent jest tym faktem zalamany, więc osobście nie wyrazi kondolencji, gdyż smutek odebrał mu głos*”. Tymczasem blisko zmierzchu korespondent AP znalazł prezydenta polującego w górach Północnej Karoliny i ten mu rzekł: „— *Nie znalazłem go wcale, więc nie mam tu o czym gadać. Ludzie wysocy rangą nie powinni zabierać głosu o propos rzeczy, o których wiedzą tyle co nic*”. Redakcja „*New York Herald Tribune*” przedrukowała obie depesze — i tę AP, i tę Reutersa — komentując je tak: „*Do wieczora głębokim smutkiem prezydenta znacznie osłabił*”.

Cleveland był pasjonatem łowów, ale który myśliwy nie jest? Już poeta Wespazjan Kochowski (wiek XVII) głosił: „*Jeżeli nie myśliwy — to nie jest żywot na świecie szczęśliwy*” (wiersz „*Myślistwo*”). Oni uprawiają swoje hobby „*con amore*” (stad żart, że ich motory to nie „*władza, pieniądze i seks*”, tylko „*władza, pieniądze i myślistwo*”), co nie bez politowania komentowała (1970) Magdalena Samozwaniec:

„*Myśliwi z radością zacierają łapy,
Ubili odyńca, niosą łosie chrapy,
Mają w nosie damy, miłosną obłapkę,
Na bigos myśliwsky odczuwają chrapkę*”.

Ciekawostka: polscy konsumenci nie odczuwają „*chrapki*” na dziczyznę, więc ma ona niskie ceny w punktach skupu, skąd jest eksportowana, a później — jak mówi leśnik Antoni Konieczny — wraca do kraju „*pod postacią bardzo drogich wyrobów*” (2016). To jest Polska właśnie. ©

Waldemar Łysiak



Erfurckie „polowanie” koronowanych głów (sztych z epoki)

Niegdyś, w dawnej Polsce, łowiectwo vel myślistwo było uwielbiane, obecnie jest tolerowane, a mnóstwo ludzi o gołębih sercach nie cierpi tego „*mordowania zwierząt*”, chociaż hurtowa codzienna hekatomba zwierząt za pomocą umaszynowanych rzeźni zupełnie nie wadzi tym miłośnikom szyneczki, paróweczki, kotlecika lub grilla. Schody zaczynają się wówczas, kiedy raban podnoszą rolnicy i właściciele rozmaitych „*terenów zielonych*”, „*gruntów rekreacyjnych*”, itp. Wiesława Lewandowska: „*Polski Związek Łowiecki jest dziś jedną z najbardziej krytykowanych organizacji społecznych, a Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych Rolników i Organizacji Rolniczych zgłasza nawet postulat jego delegalizacji*” (2016). Na co myśliwi odpowiadają, że wszelkie pod ich adresem zarzuty to bzdura, bo „*gospodarka łowiecka, którą państwo zleciło właśnie Polskiemu Związkowi Łowieckiemu, jest prawidłowym elementem ochrony środowiska przyrodniczego*” (2016). Takie przepychanki kontrmyśliwsko-myśliwskie będą nad Wisłą trwały jeszcze długo.

Inne medialne sensacyjki dotyczące łowiectwa przynosi co roku osoba najbardziej znanego (spośród 118 tys. zrzeszonych) myśliwca III RP, Bronisława Komorowskiego. Bywa on tak ściśle utożsamiany ze swym hobby, że podczas „*ciszy wyborczej*” przed elekcją prezydencką 2015 twitterowcy, nie mogąc używać nazwisk kandydatów, serwowali bieżące notowania Komorowskiego (ostatnie, z wyborczego wieczoru, znali dzięki przeciekom od pracowników firmy wykonującej badania exit poll) jako stopień poparcia dla „*kielbasy myśliwskiej*”. Gdy auto prezydenta Dudy miało awarię opony — media przypominały, że jest to limuzyna po Komorowskim, która pokonywała liczne polne drogi i leśne dukty za sprawą łowów „*organizowanych w tajemnicy m.in. koło Niepołomic, Krzeska-Królowej, Niwy, Różana, Kobylan, Suchożebrów, Płońska i Budy Ruskiej*”. Tych myśliwskich tajemnic „*Bronek*” zwany „*Gajowym*” miał dość dużo. Choćby za sprawą mamienia elektora-tu, że wieś strzelbę na kołku definitywnie i odtąd będzie polował wyłącznie aparatem fotograficznym. Piotr Gociek i Cezary Gmyz: „*Niezwykłe to musiały być aparaty, skoro położyły trupem dwa dorosłe byki jelenie. Polowanie odbyło się na terenie OHZ Arłamów. Ośrodek Hodowli Zwierzyny (dla myśliwych «ohazet») to takie miejsce, gdzie trzyma się dzikie zwierzęta, żeby jakiś notabł mógł pewnego dnia przyjechać i je sobie zastrzelić. Polowanie w OHZ, a zwłaszcza na*

ODLICZAMY CZAS DO OTWARCIA!

14 LIPCA 2017

-20%

na rezerwacje dokonane
do 31.05.2017

340 PRZESTRONNYCH POKOI Z WIDOKIEM NA MORZE
RESTAURACJE I BARY Z MORSKĄ SCENERIĄ ZA OKNEM
BASEN Z ILUZJĄ NIESKOŃCZONOŚCI NA DACHU
AQUAPARK Z PIERWSZĄ W POLSCE SZTUCZNĄ FAŁĄ DO SURFINGU
SALA BALOWA NA 1 000 OSÓB
50 M OD PIASZCZYSTEJ PLAŻY

Radisson Blu Resort, Świnoujście

al. Baltic Park Molo 2

+ 48 91 40 40 700

reservations.swinoujscie@radissonblu.com

eprasa.pl/d16181790b